

ANTONIO MANZINI STWORZYŁ
NAPRAWDĘ NIESAMOWITEGO BOHATERA
ANDREA CAMILLERI

ANTONIO
MANZINI

ŻEBRO
ADAMA

ŚLEDZTWA ROCCA SCHIAVONE #2

ANTONIO
MANZINI

ŚLEDZTWA ROCCA SCHIAVONE

**ŻEBRO
ADAMA**

przełożył
Paweł Bravo



Warszawskie Wydawnictwo Literackie

Tytuł oryginału: *La costola di Adamo*

Projekt okładki: *Izabella Marcinowska*

Redaktor prowadzący: *Aleksandra Janecka*

Redakcja: *Anna Walenko*

Redakcja techniczna: *Anna Sawicka-Banaszkiewicz*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*

Korekta: *zespół*

Zdjęcie wykorzystane na okładce

© Jayne Szekely/Arcangel Images

2014 © Sellerio editore via Siracusa 50 Palermo

e-mail: info@sellerio.it

www.sellerio.it

Published in agreement with Sellerio Editore, Italy
and Book/lab Literary Agency, Poland.

All rights reserved.

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2017

© for the Polish translation by Paweł Bravo

ISBN 978-83-287-0627-9

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Wydanie I

Warszawa 2017

Wujowi Vincenzo

*Mężczyzna przechodzi przez wiele pór roku,
podczas gdy kobieta ma prawo tylko do wiosny.*

JANE FONDA

Spis treści

Piątek

Sobota

Niedziela

Poniedziałek

Wtorek

Środa

Czwartek

Podziękowania

Piątek

To były marcowe dni, które w nagłych przeblyskach słońca niosą obietnicę mającej dopiero nadejść wiosny. Ciepłe, chociaż ulotne promienie nasycają kolorami świat i budzą w ludziach nadzieję. Ale nie w mieszkańcach Aosty.

Padło przez całą noc, krople wody zmieszanej ze śniegiem smagały miasto aż do drugiej. Potem temperatura obniżyła się o parę stopni i deszcz ustąpił miejsca śniegowi, który prószył aż do szóstej, pokrywając jezdnie i chodniki. Pierwsze promyki świtu, niemrawe, jakby złożone niemocą, ukazały pobielone miasto, a ostatnie spóźnione płatki tańczyły piruety nad ziemią.

Nad górami wisały czapy chmur, chwycił lekki mróz. Nagle zerwał się wściekły wiatr, który wtargnął na ulice jak oddział pijanych kozaków, siekąc ludzi i wszystko, co napotkał na swej drodze. Na ulicy Brocherel ludzi nie było. Znak zakazu postoju kiwał się na boki, gałęzie drzew skrzypiały jak kości artretyka. Nieubity jeszcze śnieg unosił się z ziemi, wirując w powietrzu. Jakaś nieumocowana okiennica stukała rytmicznie o ścianę. Z dachów kamienic sfruwały kłęby zmrożonego pyłu.

Kiedy Irina skręciła z ulicy Monte Emilius w ulicę Brocherel, podmuch wiatru uderzył ją prosto w twarz, gwałtownie podrywając jej włosy związane w koński ogon. Lekko zmrużyła niebieskie oczy. Gdyby ktoś zrobił jej z bliska zdjęcie i usunął tło, wyglądałaby na wariatkę pędzącą na motorze, bez kasku, sto dwadzieścia na godzinę.

Ale ten mroźny nagły cios był dla niej niczym muśnięcie. Nawet nie zapięła kołnierza płaszczyka z szarej wełny. Dla osoby urodzonej w Lidzie, nieopodal granicy z Litwą, był to zaledwie wiosenny powiew. Co prawda Aosta w marcu wciąż tkwiła głęboko w zimie, ale w jej rodzinnych stronach na Białorusi panował dziesięciostopniowy mróz.

Irina szła szybko w swoich podróbkach hoganów, które skrzypiały przy każdym jej kroku, i ssła miodowego cukierka kupionego w barze po śniadaniu. Jeśli było coś, co uwielbiała we Włoszech, to właśnie śniadania. Cappuccino i briozka. Syk maszyny spieniającej mleko, które potem dodaje się do czarnej kawy. I na koniec kakaowa posypka. Rozpływająca się w ustach ciepła bułeczka z chrupiącą skórką. Ciągle jeszcze pamiętała tamte śniadania w Lidzie. Niejadalne papki z owsa i jęczmienia, kawa o posmaku ziemi. A do tego ogórki, z samego rana kiszone ogórki, których nie znosiła. Jej dziadek popijał je bimbrem, a ojciec jadł masło łyżeczką wprost z talerzyka, jakby to był karmelowy deser.

Kiedy opowiedziała o tym Ahmedowi, mało nie udławił się ze śmiechu. „Masło? Łyżką?” – pytał. I śmiał się, odsłaniając bielutkie zęby, których Irina mu zazdrościła. Jej zęby były raczej szare. „To dzięki klimatowi – wyjaśnił jej Ahmed. – W Egipcie jest ciepło i zęby są przez to bielsze. Im zimniej, tym się robią

ciemniejsze. Odwrotnie niż skóra. To przez brak słońca. A jeśli do tego jeszcze zjadacie masło łyżką!” I znowu zaczął się śmiać. Irina uwielbiała go. Uwielbiała jego zapach, kiedy wracał z targu. Czowała wtedy jabłka i zioła. Uwielbiała go, kiedy modlił się, zwrócony w stronę Mekki, kiedy przygotowywał ciastka z miodem, kiedy się kochali.

Ahmed był delikatny i troskliwy, nigdy się nie upijał, a jego oddech pachniał miętą. Pił tylko od czasu do czasu piwo, choć mówił, że „Prorok by na to nie pozwolił”. Ale piwo mu smakowało. Irina, patrząc na niego, myślała o mężczyznach w jej kraju, o wódce, którą w siebie wlewali, o ciężkim oddechu i skórze śmierdzącej mieszanką potu, alkoholu i papierosów. Ahmed umiał wyjaśnić także i tę zasadniczą różnicę. „W Egipcie częściej się myjemy, bo żeby modlić się do Allaha, trzeba być czystym. A ponieważ jest ciepło, skóra schnie momentalnie. U was jest zimno, trudniej wyschnąć. To też zależy od słońca – mówił. – Tak czy siak, masła nie jemy łyżkami” – i dalej w śmiech. Ich związek doszedł do kluczowego momentu – momentu wyboru. Ahmed złożył jej propozycję.

Aby za niego wyszła.

Byłyby z tym pewne problemy techniczne. Żeby zawrzeć ślub, Irina musiałaby przejść na islam albo Ahmed na prawosławie. Przeszkoda nie do pokonania. Irina nie mogła stać się muzułmanką. Nie z powodów religijnych, bo wierzyła w istnienie jakiegoś boga równie słabo jak w wygraną w totka, ale ze względu na rodzinę.

Jej rodzina na Białorusi była prawosławna i do tego praktykująca. Tata Aleksiej, mama Rusława, pięcioro rodzeństwa, ciotki, a zwłaszcza kuzyn Fiodor, który ożenił się z córką popa. Jak mogła im powiedzieć: „Hej, od jutra na Boga będę mówić Allah”? Również Ahmed nie mógł zadzwonić do ojca w Fajum i oznajmić: „Wiesz, tato, od jutra będę prawosławny”. Zresztą Ahmed mocno wątpił, czy jego ojciec wiedział, co to prawosławie – pewnie pomyślałby, że syn złapał jakąś chorobę zakaźną. Dlatego Irina i Ahmed myśleli o związku partnerskim. Skłamałiby swoim rodzinom i ciągnęli to dalej. Przynajmniej do kiedy Aosta pozostawałaby ich domem. A potem Bóg – czy Allah – coś by na to poradził.

Dotarła pod numer 22. Wyciągnęła klucze i otworzyła bramę. Piękna ta kamienica! Marmurowe schody, drewniane poręcze. Nie to, co u niej, gdzie na ziemi leżały potłuczone kafelki, a sufit pokrywały plamy wilgoci. Tu była nawet winda. W jej bloku nie. Musiała na swoje czwarte piętro wspinać się po schodach.

A co trzeci stopień był złamany albo krzywy, gdzieniegdzie któregoś brakowało. Nie wspominając już o ogrzewaniu – piec dziwnie świszczął i zaczynał działać, dopiero jak mocno trzasnęło się w obudowę.

Marzyła, żeby zamieszkać w takim miejscu jak to. Z Ahmedem i jego synem Helmim, który miał już osiemnaście lat i nie znał ani słowa po arabsku. Helmi.

Irina próbowała go pokochać, ale on miał to gdzieś. „Nie jesteś moją matką! Spieprzaj do swoich spraw!” – krzyczał. Irina nie reagowała, starając się tym nie przejmować. Myślała o matce chłopca. Wróciła do Egiptu, do Aleksandrii, żeby pracować w sklepie należącym do krewnych, i nie chciała mieć już nic wspólnego ani z synem, ani z mężem.

„Helmi” oznacza spokój. Irina uśmiechała się w myślach: trudno o bardziej niedopasowane imię. Helmi był niczym tykająca bomba. Wychodził, nie wracał na noc. W szkole same kłopoty, w domu pluł w talerz. „Nędzarzu jeden – mówił do ojca. – Nie mam zamiaru skończyć tak jak ty, na straganie z owocami”. „Tak? A co zamierzasz? – krzyczał na niego Ahmed. – Nobla pewno dostaniesz – kpił z jego szkolnych wyników. – Będziesz bezrobotny, o, tak skończysz”. „Już lepsze to, niż sprzedawać jabłka na ulicy albo chodzić do ludzi sprzątać, jak ta służąca, którą wzięłaś do domu. – Helmi wskazywał pogardliwie na Irinę. – Zarobię kasę i przyjdę ci pomachać, jak cię będą do szpitala zabierać. Ale nie martw się, trumnę będziesz miał na mój koszt”.

Zwykle takie kłótnie kończyły się tym, że Ahmed walił syna w twarz, ten trzaskał drzwiami, za każdym razem powiększając rysę na ścianie, która sięgała już prawie do sufitu. Irina była pewna, że przy następnej awanturze ściana i sufit zwałą się jak podczas trzęsienia ziemi, które nawiedziło Wilno w 2004 roku.

Drzwi windy otworzyły się i Irina poszła od razu na lewo, w stronę mieszkania numer 11. Drzwi ustąpiły już przy pierwszym obrocie klucza. Dziwne, bardzo dziwne, pomyślała. Zwykle musiała przekręcić klucz trzykrotnie. U państwa Baudów sprzątała trzy razy w tygodniu i przez rok nigdy nie spotkała ich w domu o tej porze. Pan Baudo o dziesiątej rano już od dawna był w pracy, a w piątki wychodził o świcie, bo jeździł na rowerze. Pani zaś wracała z zakupów punktualnie o jedenastej, Irina mogłaby według jej powrotów nastawiać zegarek. Może pani Ester dostała grypy żołądkowej, która kosła mieszkańców Aosty gorzej niż średniowieczna epidemia dżumy. Irina weszła do mieszkania, niosąc ze sobą powiew chłodu.

– Pani Ester, to ja, Irina. Zimno na dworze... została pani w domu? – zawołała, chowając klucze do torebki. – Nie poszła pani na zakupy? – Jej głos, zachrypnięty od palenia dwudziestu dwóch papierosów dziennie, odbijał się od przydymionej szyby w drzwiach holu. – Proszę pani!

Otworzyła jedno skrzydło przesuwanych drzwi i weszła do salonu. Na stoliku przed telewizorem stała jeszcze taca z resztkami kolacji. Kości kurczaka, wyciśnięta cytryna, jakaś zielenina, może szpinak. Na kanapie skotłowany koc w kolorze szmaragdowym, kilkanaście niedopałków w popielniczce. Irina pomyślała, że pani pewnie leży z gorączką w sypialni, a jej mąż, Patrizio, sam oglądał wczoraj wieczorem mecz w telewizji. W przeciwnym razie tace byłyby dwie. Na dywanie leżała rozłożona gazeta „Corriere dello Sport”. Na antycznym

stoliku widać było dwa wyraźne ślady po szklance. Potrząsając głową, Irina podeszła, by ją sprzątnąć, i nogą potrafiła pustą butelkę po winie, która zaczęła wirować w miejscu. Podniosła ją i postawiła na tacy. Wysypała niedopałki na talerz z resztkami.

– Proszę pani, leży pani w łóżku?

Żadnej odpowiedzi. Trzymając w rękach tacę z chyboczącą się butelką po merlocie, pchnęła biodrem drzwi do kuchni. Ale nie weszła. Zastygła w progu.

– Co to...? – zaczęła zduszonym głosem.

Drzwiczki kredensów były pootwierane. Na podłodze wały się rozbite talerze i szkło, paczki makaronu, ścierki, sztućce i serwetki. Kilka pomarańczy poturlało się pod otwartą lodówkę. Krzesła leżały wywrócone, stół był przesunięty prawie pod ścianę, strzaskany robot kuchenny wypluwał ze swojego wnętrza przewody elektryczne.

– Co tu się stało? – krzyknęła. Postawiła tacę i odwróciła się w stronę korytarza.

– Pani Ester! – zawołała znowu. Żadnej odpowiedzi. – Pani Ester, co tu się stało?

Weszła do sypialni w nadziei, że zastanie tam panią. Łóżko było niezastane. Prześcieradło i kołdra leżały zwinięte w kącie. Drzwi szafy stały otworem. Cofnęła się w stronę kuchni.

– Ale co...? – Zawadziła o coś stopą. Spojrzała w dół. Zmiażdżona komórka.

– Złodzieje! – krzyknęła i zeszywniała na moment, jakby ktoś przystawił jej nóż do pleców, po czym zaczęła uciekać.

Potknęła się o podwinięty brzeg starego afgańskiego dywanu. Upadła, uderzając kolaniem o podłogę. Chrup!

Rzepka wydała głuchy dźwięk. Uczucie przeszywającego bólu dotarło do mózgu. „Auaaaa” – jęknęła przez zaciśnięte zęby, wstała, trzymając się za kolano. Skierowała się do drzwi wejściowych, pewna, że za plecami ma kilku groźnych facetów w czarnych kominiarkach, z ostrymi zębami dzikich zwierząt. Zahaczyła ramieniem o framugę drzwi, aż zatrzęsła się szyba, i ostry ból wniknął tym razem w obojczyk. Ale go prawie nie zarejestrowała. Zbierając resztki swojej energii, wykuśtykała z mieszkania państwa Baudów. Zamknęła za sobą drzwi. Dyszała ciężko. Na klatce schodowej poczuła się bezpieczna. Popatrzyła na kolano.

Rajstopy były podarte, krople krwi poplamiły jej białą skórę. Pośliniła dwa palce i potarła ranę. Ból z ostrego zmienił się w tępy i uporczywy, ale dawał się znieść. Zrozumiała, że tu na podeście schodów wcale nie jest bezpieczna. Jeśli złodzieje są w środku, to zaraz mogą otworzyć drzwi i zaatakować ją nożem albo łomem. Zaczęła schodzić, krzycząc: „Na pomoc! Złodzieje! Złodzieje!”. Zapukała do drzwi na drugim piętrze, ale nikt nie otwierał. „Na pomoc! Złodzieje! Otwórzcie!”

Schodziła dalej. Najchętniej zbiegałaby po dwa stopnie naraz, ale nie pozwalało jej na to kolano. Trzymała się kurczowo drewnianej poręczy, dziękując Bogu, że włożyła sportowe buty z gumową podeszwą, kupione na straganie koło domu. Gdyby miała buty na skórze, z pewnością zjechałaby po tych marmurowych schodach na tyłku. Pukała po kolei do drzwi na pierwszym piętrze. Walila pięściami, wciskała dzwonki, kopała, ale nigdzie nikogo nie było. Nikt nie otwierał. Tylko z jednego mieszkania odpowiedziało jej histeryczne szczekanie psa. Dom umarłych, pomyślała.

Wreszcie dotarła na parter. Otworzyła bramę i wyskoczyła na zewnątrz. Wokół ani żywej duszy. Żadnego baru ani sklepu, gdzie można by biec po pomoc. Spojrzała na kamienice przy ulicy Brocherel. Nikt nie stał w oknie, nikt nie wchodził ani nie wychodził. Niebo było ołowianoszare. Żadnych samochodów w pobliżu. O dziesiątej rano wydawało się, że świat – przynajmniej tutaj – zastygł w bezruchu i że poza nią w całej dzielnicy nie ma ani jednej żywej istoty. „Na pomoc!” – krzyknęła znowu. Nagle, jakby cudownym zrządzeniem losu, na rogu pojawił się starszy pan okutany grubym szalikiem, z małym kundelkiem na smyczy. Irina pobiegła w jego stronę.

Emerytowany chorąży Paolo Rastelli, rocznik 1939, stanął jak wryty pośrodku chodnika. Kobieta bez płaszcza, z rozwianymi włosami i z zakrwawionym kolanem szybko kuśtykała w jego kierunku, łapiąc powietrze jak ryba wyrzucona na brzeg. Wrzeszczała coś. Ale chorąży jej nie słyszał. Widział tylko otwarte usta, które jakby przeżuwały powietrze. Postanowił włączyć aparat słuchowy w prawym uchu, który zawsze wyłączał, kiedy szedł na spacer z Flipperem. Ta krzyżówka yorkshire’a z trzydziestoma dwiema innymi rasami była bowiem gorsza od butelki z nitrogliceryną.

Liść poruszony wiatrem, bulgotanie w rurze czy po prostu wyobraźnia czternastoletniego kundelka wystarczyły, żeby zaczął ujadać ostrym, przenikliwym głosem, który przyprawiał chorążego o dreszcz gorszy, niż uczyniłby to dźwięk skrobania paznokciem po tablicy.

Tuż po włączeniu aparat strzelił mu w mózg serią wyładowań elektrostatycznych. Potem, jak należało się spodziewać, szum przeszedł w szczekanie rozdrażnionego Flippera i wreszcie chorąży mógł uchwycić sens słów wpływających z otwartych ust kobiety: „Na pomoc! Proszę mi pomóc! Złodzieje!”.

Flipper, który stracił wzrok w prawym oku, a lewe zgasło mu już wiele lat wcześniej, czekał nie na kobietę, lecz na kołyszący się w podmuchach wiatru billboard po drugiej stronie ulicy. Paolo Rastelli miał tylko parę sekund na decyzję. Rozejrzał się – nigdzie żywego ducha. Czasu, by złapać komórkę i zadzwonić na policję, nie było, bo kobieta zbliżała się, krzycząc jak opętana: „Niech mi pan pomoże!”. Mógłby umknąć przed tą jasnowłosą zjawą podobną do erylidy, ale

musiałby najpierw przekonać do tego gwóźdź w swojej piersi oraz płuca na granicy rozedmy. Tak więc, podobnie jak w wojsku, kiedy obejmował wartę przed magazynem materiałów wybuchowych, stanął na baczność w oczekiwaniu, aż wydarzy się to, co ma się wydarzyć, nieuniknione jak zły los. Przeklinał Flippera i jego poranne sikanie, które oderwało go od krzyżówek.

Był piątek 16 marca, godzina 10.10.

Kiedy zadzwonił budzik, brakowało dwudziestu minut do ósmej. Wicekwesor Rocco Schiavone, od paru miesięcy na służbie w Aoście, wstał jak co rano i podszedł do okna sypialni. Powoli, z napięciem godnym pokerzysty odsłaniającego karty, które pozwolą zgarnąć mu całą pulę, odsunął ciężkie zasłony, żeby popatrzeć na niebo, w daremnej nadziei na choćby jeden promień słońca.

– Do dupy z tym – wymamrotał.

Także i w ten piątek niebo było szczelnie zamknięte, jak pokrywką szybkaru, chodniki bieleły się od śniegu, a miejscowi przemykali prędko ulicami w czapkach i szalikach. Nawet im zrobiło się zimno, pomyślał Rocco, niesłychane. Zwyczajny początek dnia: prysznic, kapsułka z kawą w maszynie, golenie. Stając przed szafą, nie musiał się zastanawiać, jak się ubierze. Tak samo jak wczoraj, przedwczoraj, jeszcze dzień wcześniej i przez nie wiadomo ile poprzednich dni. Brązowe sztruksowe spodnie, bawełniana koszulka, skarpetki z wełny z domieszką czegoś syntetycznego, flanelowa koszula w kratę, wełniany sweter w serek, zielona sztruksowa marynarka, nieodłączne clarksy. Szybko policzył w pamięci: sześć miesięcy w Aoście kosztowało go dziewięć par butów. Może naprawdę przyszła pora na znalezienie sensownej alternatywy, ale nie umiał jej znaleźć.

Dwa miesiące temu, kiedy musiał chodzić po trasach narciarskich w Champoluc, kupił solidne buty marki Teva, ale mowy nie było, żeby pokazał się w tych traktorach w mieście. Wrzucił na siebie płaszcz i wyszedł do pracy. Jak co rano miał wyłączoną komórkę. Albowiem ubranie się i wyjście z domu wcale nie kończyły cyklu porannych rytuałów. Do pełnego rozpoczęcia dnia brakowało dwóch fundamentalnych punktów: śniadania w barze na placu i porannego jointa.

Wejście do komendy było momentem nadzwyczaj delikatnym. Wciąż pogrążony w nocnych myślach i w nastroju równie szarym jak niebo nad tym miastem, Rocco zjawiał się dyskretnie, szybko, przemykając jak wąż pełzający w trawie. Absolutnie nie mógł spotkać się z posterunkowym D’Intino. Nie o wpół do dziewiątej, w ogóle nie rano. D’Intino pochodził spod Chieti i wicekwesor nienawidził go jeszcze bardziej niż niegościnnego klimatu Aosty. Swą głupotą i niezdarnością ten facet narażał na śmiertelne wypadki swoich kolegów, choć nigdy nie zaszkodził sobie. Tydzień temu posłał do szpitala Casellę, najeżdżając na niego samochodem podczas zupełnie zbędnego manewru cofania na parkingu komendy. Roccowi rozwalił palec u nogi, upuszczając metalową szufladę z fiszkami osobowymi. A niedawno, przez swoją manię odkładania wszystkiego na

miejsce, prawie otruł Derutę, przelewając podchloryn sodu do butelki po wodzie mineralnej. Rocco przysiągł mu – i zaczął w tym celu naciskać na szefa – że spowoduje, iż przeniosą go do jakiegoś komisariatu w Abruzzji, gdzie na pewno bardziej się przyda.

Tego ranka na szczęście nikogo nie spotkał. Pozdrowił go tylko Scipioni, pełniący służbę w dyżurce, choć ograniczył się do kwaśnego uśmiechu i zaraz opuścił wzrok z powrotem na papiery, które przeglądał. Rocco dotarł do swojego gabinetu, zasiadł za biurkiem i wypalił mocno nabitego, solidnego skręta. Kiedy gasił go w popielniczce, było tuż po dziewiątej. Nadszedł czas, żeby włączyć komórkę i zacząć ten dzień. Od razu odezwał się sygnał esemesa.

Zdecydujesz się wreszcie spędzić u mnie chociaż jedną noc?

To Nora. Kobieta, z którą wymieniał płyny ustrojowe, od kiedy przenieśli go z Rzymu do Aosty. Krucha relacja, zbudowana na wzajemnym wsparciu, którą ona jednak popychała w stronę punktu krytycznego, czyli decyzji o stabilizacji. Rocco nie potrafił i nie chciał się z tym zmierzyć. Odpowiadał mu obecny układ, nie potrzebował towarzyszki na stałe. Jego towarzyszką była i na zawsze pozostanie jego żona Marina. Nie widział miejsca dla innej. Nora była piękna i czyniła mu samotność lżejszą, jednak nie mogła rozwiązać jego psychologicznych bolączek. Jeśli ktoś chodzi do psychoanalityka, to znaczy, że chce wyzdrowieć. Rocco jednak nigdy nie postawiłby nogi w gabinecie psychoanalityka. Nikt nie idzie z kobietą do ołtarza w ramach spacerku dla zdrowia. Robi to, bo chce spędzić życie u jej boku. Rocco zrobił ten krok już wiele lat temu i miał wtedy jak najlepsze intencje. Resztę życia zamierzał spędzić z Mariną i koniec. Niestety, czasami nie wszystko wychodzi, coś się psuje, pęka i nie da się tego skleić. Ale to nieważne. Rocco należał do Mariny, Marina do Rocca. Reszta to były dodatki, gałązki, które można poobcinać, jesienne liście.

Kiedy Rocco rozmyślał o twarzy Nory, o miękkich krzywiznach jej ciała, o jej kostkach, poczuł, jakby go ktoś pałąk dzielił po głowie. Przypomnił sobie, co powiedziała mu zeszłej nocy, kiedy leżeli przytuleni na jej łóżku. „Jutro kończę czterdzieści trzy lata i będę królową dnia. Musisz się dobrze zachowywać”. I odsłoniła w uśmiechu idealnie równe białe zęby.

Rocco nie odpowiedział, tylko dalej całował ją i pieścił jej krągłe piersi. Ale kiedy tak cieszył się jej ciałem, wiedział, że następnego dnia będzie musiał kupić jej prezent, może nawet zaprosić na kolację, przez co nie obejrzy piątkowego meczu Roma–Inter. „Tylko żadnych perfum – zaznaczyła. – Nie znoszę też wszelkiego rodzaju szali i nie lubię roślin. Kolczyki, bransoletki i naszyjniki sama sobie kupuję. Podobnie książki. O płytach nie ma co gadać. No to już wiesz, jakiego rodzaju prezentu masz mi nie dawać. Chyba że chcesz mi zepsuć urodziny”.

To jaka opcja prezentu mu pozostawała? Nora wpędziła go w stres. A ściślej,

zmusiła do zastanowienia się, co powinien jej kupić. Kupowanie prezentów, tak świątecznych, jak urodzinowych, należało do rzeczy, których najbardziej nie znosił. Będzie musiał coś wymyślić i straci czas, chodząc po sklepach, chociaż wcale nie miał na to ochoty. Ale jeśli chce znowu wskoczyć pod tę koldrę i nacieszyć się tym ciałem, musi wpaść na jakiś pomysł. Jeszcze dziś, bo dziś były urodziny Nory.

– Ale kicha – mruknął pod nosem, akurat w momencie, kiedy ktoś zapukał.

Rzucił się gwałtownie do okna, by przewietrzyć gabinet. Jak pies gończy zmarszczył nerwowo nos, żeby sprawdzić, czy ciągle czuć konopie, i krzyknął: „Wejść!”. W drzwiach stanęła inspektor Caterina Rispoli. Od progu powąchała powietrze i zrobiła dziwną minę.

– Co to za zapach?

– Robię sobie inhalację z rozmarynu, na katar.

– Ale pan nie ma kataru.

– Właśnie dlatego, że robię inhalacje, to nie mam.

– Z rozmarynu? Nigdy nie słyszałam.

– Homeopatia to nie byle co, Caterina.

– Babcia mnie uczyła, żeby je robić z kulek eukaliptusowych.

– Co?

– Te inhalacje.

– Mnie też babcia uczyła.

– Z rozmarynu?

– Moja sprawa, z czego. Powiesz mi wreszcie, po co przyszedłeś?

Caterina zatrzepotała długimi rękami, po czym odrzekła:

– Mamy tu zgłoszenie, które być może zasługuje na uwagę... – Podała mu papier. – Jeden facet twierdzi, że na skwerze przed dworcem jest spory ruch co noc aż do trzeciej.

– Dziwki? – spytał Rocco.

– Nie.

– Prochy?

– Według mnie tak.

Rocco spojrział na zgłoszenie.

– Trzeba będzie wdrożyć... – I nagle wpadł na cudowny pomysł, który wystarczył, żeby rozświetlić cały dzień. – Zawołaj mi tych kretynów.

– Kogo?

– D’Intina i Michelego Derutę.

Inspektor skinęła głową i wybiegła z gabinetu. Rocco tymczasem zamknął okno, od którego wiało mrozem, choć on, podniecony swoim nowym pomysłem, nawet za bardzo go nie odczuwał. Nie minęło pięć minut, jak weszli D’Intino i Deruta, przyprowadzeni przez Caterinę.

– D’Intino i Deruta – zaczął z powagą Rocco. – Mam dla was ważne zadanie. Wymaga skupienia i odpowiedzialności. Dacie radę?

Deruta rozpromienił się, był tak uradowany, że aż masa jego stu dziesięciu kilogramów zachwiała się na jego stópkach o rozmiarze trzydzieści osiem.

– Jasne, szefie!

– Pewna sprawa! – dodał D’Intino.

– No to słuchajcie. Chcę wam zlecić nocną obserwację obiektową – obydwaj policjanci wręcz spijali mu słowa z ust – na skwerze przed dworcem. Podejrzewamy, że odbywa się tam handel narkotykami. Nie wiemy, koka czy hera.

Deruta spojrział podekscytowany na D’Intina. Nareszcie zadanie na miarę ich możliwości.

– Musicie znaleźć sobie właściwy punkt obserwacyjny, żeby nie rzucać się w oczy. Weźcie dobry sprzęt do rejestracji i róbcie zdjęcia. Chcę wiedzieć, co robią, ile towaru schodzi, kto handluje. Nazwiska. Dacie radę?

– Jasne – zapewnił D’Intino.

– Ale ja mam piekarnię żony – jęknął Deruta. – Wie pan, że często pomagam jej aż do świtu. Zeszłej nocy...

Rocco prychnął, wstał i przerwał mu ostrym tonem:

– Michele, to piękne, że pomagasz żonie, tyrając po godzinach. Ale przede wszystkim jesteś policjantem, do kurwy nędzy, nie jakimś piekarzem!

Deruta pokiwał głową.

– Koordynuje pani inspektor Rispoli.

Deruta i D’Intino przełknęli tę wiadomość jak gorzką pigułkę.

– Dlaczego znowu ona? Zawsze ona! – ośmielił się odezwać D’Intino.

– Po pierwsze dlatego, że Rispoli jest inspektorem, a wy nie. Po drugie dlatego, że jest kobietą i nie mogę jej posłać w teren z tak ryzykownym zadaniem, nie to co was. Po trzecie i najważniejsze dlatego, że ja tak każę. Bo inaczej to cię, D’Intino, na kopach odeślę do Chieti. Jasne?

D’Intino i Deruta przytaknęli jednogłośnie.

– Kiedy zaczynamy?

– Dziś w nocy. Idźcie już, bo muszę zamienić dwa słowa z panią inspektor.

Caterina przez cały ten czas stała cicho z boku. Wychodząc, policjanci rzucili jej nieprzyjazne spojrzenie.

– Szefie, stawia mnie pan w niezręcznej sytuacji wobec nich.

– Spokojnie, Rispoli, pozbyliśmy się ich. A ja teraz potrzebuję porady. Siadaj.

Caterina usiadła.

– Muszę kupić prezent.

– Urodziny?

– Tak. Podam ci dane: kobieta, czterdzieści trzy lata, w dobrej formie,

sprzedaje suknie ślubne, mieszka w Aoście, ma dobry gust, a do tego jest niezłe sytuowana.

Inspektor zamyśliła się.

– Bardzo bliska znajomość?

– Nie twoja broszka.

– Zrozumiano.

– Odpadają kwiaty, szale, rośliny, biżuteria, książki, perfumy i płyty.

– Muszę wiedzieć więcej. To jest Nora Tardioli, ta, co ma sklep w centrum?

Rocco skinął głową.

– Gratulacje, szefie, niezła sztuka.

– Dzięki, ale powtarzam: nie twoja broszka.

– Jak daleko chce pan się posunąć?

– Wcale nie chcę. Myślę raczej o prezencie, który podtrzyma obecny status.

A dlaczego pytasz?

– Bo jakby to miało pójść o krok dalej, to można by kupić pierścionek z brylantem.

– To nie byłby krok dalej, tylko pełna kapitulacja przed wrogiem.

Caterina uśmiechnęła się.

– Muszę chwilę pomyśleć. Czy ona ma jakieś hobby?

– Nie wiem... lubi kino, ale wolałbym nie dawać DVD. Dwa razy w tygodniu chodzi na basen, trzy razy na siłownię. Biega na nartach. I chyba też jeździ na rowerze.

– Czyli to nie Nora ze sklepu ślubnego, tylko minister sportu Josefa Idem?

– Jest teraz... – Rocco spojrział na zegarek – ...kwadrans po dziesiątej. Do południa podrzucisz mi jakiś pomysł?

– Spróbuję.

Nagle drzwi się otworzyły i wszedł Italo Pierron, jedyny podwładny, oprócz Rispoli, którego Rocco uważał za godnego pracy w policji. Miał prawo wchodzić do gabinetu wicekwestora bez pukania i mówić mu per ty, oczywiście poza murami komendy. Lekko skinął głową Caterinie.

– Szefie?

– Co jest, Italo?

Młody policjant miał pobladłą twarz, był wyraźnie poruszony.

– Coś pilnego.

– Dawaj.

– Mieliśmy zgłoszenie telefoniczne. Przy ulicy Brocherel włamywacze zabarykadowali się w mieszkaniu Patrizia i Ester Baudów.

– Zabarykadowali się?

– Tak powiedział Paolo Rastelli, emerytowany chorąży, półgłuchy. W każdym razie tyle zrozumiałem z tego, co mówił, kiedy w tle jakaś kobieta

wrzeszczała: „Są w środku, wszystko rozwalili!”.

Rocco wstał.

– No to idziemy.

– Ja też? – spytała Caterina.

– Zostań. Potrzebuję cię tutaj. Siedź przy telefonie.

– Tak jest.

Pruli bez koguta przez miasto. Rocco sięgnął do kieszeni Itala i wyjął z niej papierosy. Patrzył na idealnie odśnieżone ulice.

– No zobacz, jak sprawnie działają tutaj gminy! W Rzymie wystarczy, że spadnie parę płatków, i jest więcej zabitych niż w trakcie szczytu wyjazdów na wakacje. – Zapalił papierosa. – Dlaczego nie kupujesz cameli? Nie mogę już tych chesterfieldów.

– Wiem, wiem, Rocco, ale wolę chesterfieldy.

– Pilnuj drogi, bo się rozwalimy na jakiejś ścianie albo trafimy staruszkę.

Italo, zwalniając nieco, skręcił w aleję Battaglione Aosta, po czym wyprzedził ciężarówkę i ostro pomknął dalej.

– Gdybyś nie był policjantem, byłbyś świetny w napadach na konwoje.

– A co, szykujesz taki skok?

Obaj się zaśmiali.

– Wiesz, Italo, według mnie powinieneś zapaść sobie chociaż małą bródkę.

– Mówisz? Też o tym myślałem, mam za małe wargi.

– No właśnie, z zarostem mniej byś przypominał łasicę.

– A przypominam?

– Nigdy ci nie mówiłem? Spotkałem wiele osób podobnych do łasicy. Ale nie w policji.

Po sześciu miesiącach znajomości dobrze już się znali i rozumieli. Rocco lubił Itala, ufał mu, zwłaszcza po tym, co razem zrobili jakiś czas temu, gdy przejęli transport marihuany w holenderskiej ciężarówce i podzielili się łupem wartym parę tysięcy euro. Italo był młody i Rocco widział, że tak jak i on trafił do policji całkiem przypadkiem. W tym kluczowym momencie, kiedy jego koledzy ze szkoły trafiali na ulicę, z nożem albo sfluwą, on włożył policyjny mundur. Nic więcej. Dla człowieka urodzonego na początku lat sześćdziesiątych w robotniczej rodzinie na Zatybrzu, gdzie wszyscy sąsiedzi mieli na koncie bliskie spotkanie ze służbą więzienną, były tylko dwie możliwe drogi życiowe. Jako dzieci bawili się w policjantów i złodziei. No właśnie. Rocco został policjantem, Furio, Brizio, Sebastiano, Stampella i inni poszli w złodziejstwo. Ale przyjaciele to, tak czy siak, przyjaciele.

– Jak to możliwe, żeby włamywacze zabarykadowali się w mieszkaniu? To przecież nie bank, żeby brać zakładników.

– Też nie rozumiem.

– Sam pomyśl: jeśli przyłapali ich półgłuchy emerytowany wojskowy i kobieta, to co za problem, żeby pobić ich i natychmiast zwać.

– Może stary miał broń. W końcu był chorążym.

– Zwariować można. – Rocco westchnął, patrząc na ulice i samochody, które ostro trąbiły, gdy kierowane przez Itala bmw wymuszało pierwszeństwo.

– Słuchaj, Rocco, może lepiej wyjąć koguta? Zobaczą, że jesteśmy z policji, i będą szybciej ustępować.

– Nienawidzę jeździć z kogutem.

I tak, pędząc sto dwadzieścia na godzinę, dojechali pod dom przy ulicy Brocherel.

Rocco zapiął płaszcz i obydwaj podeszli do pary, która machała do nich spod bramy. Starszy mężczyzna i kobieta pod czterdziestkę, jasna blondynka z podartymi rajstopami i zakrwawionym kolaniem.

– Policja! Policja! – wrzasnęła kobieta z wyraźnie słowiańskim akcentem.

Jej głos rozbrzmiał echem na pustej ulicy. Pustej, ale tu i ówdzie za kilkoma firankami mignęła ciekawska twarz. Staruszek uciszył kobietę zdecydowanym gestem, jakby chciał jej powiedzieć: zostaw to mnie, to męska rozmowa. U jego stóp kundel, wybałuszając oczy, obszcze kiwał znak zakazu postoju.

– Policja? – zapytał staruszek, patrząc na Rocca i Itala.

– A jak pan sądzi?

– Zwykle policja ma koguta na dachu.

– Zwykle ludzie pilnują swojego nosa – odrzekł poważnie Rocco. – To pan dzwonił?

– Tak. Chorąży Paolo Rastelli. Ta pani jest pewna, że w mieszkaniu zabarykadowali się złodzieje.

– To pańskie mieszkanie?

– Nie – odparł chorąży.

– A więc należy do pani?

– Nie, ja tylko przychodzę tu sprzątać, w poniedziałki, środy i piątki – wyjaśniła kobieta.

– Cicho, siad! – krzyknął staruszek na psa, ciągnąc tak mocno za smycz, że nieborak jeszcze bardziej wybałuszył swoje ślepe oczy.

– Przepraszam, komisarzu, ale on ciągle szczeka i doprowadza mnie do rozstroju nerwowego.

– Wie pan, to normalne u psów – powiedział spokojnie wicekwesor.

– Że co?

– Szczekanie. Leży w ich naturze. – Przykucnął i pogłaskał Flippera, a ten od razu przestał szczekać i zamerdał ogonem. – A poza tym nie jestem komisarzem. Nie ma już komisarzy. Wicekwesor Schiavone.

Spojrzał na kobietę, nadal wystraszoną. Jej włosy wciąż sterczały, pewnie za

sprawą jakiejś siły elektrostatycznej, którą być może wytwarzała błękitna nylonowa bluzka.

– Poproszę klucze – zwrócił się do kobiety.

– Do mieszkania? – zapytała naiwnie.

– Nie, do miasta. Oczywiście, że do mieszkania, jasna cholera! – wyrwało się chorążemu. – Muszą przecież jakoś się tam dostać!

– Zostawiłam je w środku, kiedy uciekałam.

– O, w mordę – syknął półgłosem Rocco. – Dobra, coś poradzimy. Które piętro?

– Trzecie. – Kobieta pokazała na okna. – Pan widzi, tamto okno z zasłonami to salon, obok, z zamkniętymi okiennicami, to pracownia, dalej mała łazienka i potem...

– Dosyć, nie przyszedłem kupić tego mieszkania. Starczy, że wiem, gdzie jest – przerwał jej i ruchem brody wskazał Pierronowi trzecie piętro. – I jak? Dasz radę?

– Od zewnątrz nie ma jak się wspiąć. Potrzeba ślusarza, szefie.

Rocco westchnął i spojrzął na kobietę, która zaczynała się uspokajać.

– Jakże tam są zamki?

– Dwie dziurki – odpowiedziała.

Rocco wzniósł oczy do nieba.

– Dobra, ale jakie to zamki? Płaskie, dwupiórowe?

– Nie wiem. Zamki...

Rocco otworzył bramę.

– A numer mieszkania chociaż pani zna?

– Jedenaście. – Uśmiechnęła się, dumna, że wreszcie może pomóc policji.

Italo wszedł za wicekwestorem.

– A ja co mam robić? – spytał emerytowany chorąży.

– Pan tu zostanie i zaczeka na posiłki – krzyknął Rocco.

Wydawało mu się, że tamten stuknął obcasami.

Kiedy na trzecim piętrze okratowane drzwi windy się rozsunęły, Rocco skręcił w prawo, a Italo w lewo.

– Jedenaście to tutaj – zawołał Italo.

Wicekwestor dołączył do niego.

– Stary typ zamka yale, to dobrze.

Sięgnął do kieszeni i wyjął klucze do swojego mieszkania.

– Co robisz? – spytał Italo.

– Zaczekaj, zobaczysz. – Razem z kluczami Rocco nosił szwajcarski scyzoryk z tuzinem ostrzy i różnych wihajstrów. Wysunął mały śrubokręt. Pochylił się i zaczął majstrować przy zamku. Wykręcił dwie śrubki, potem wziął pilniczek do paznokci. – Widzisz? Trzeba rozepchnąć miejsce między drzwiami

a zamkiem... – Włożył pilnik w szparę, docisnął parę razy. – Płytkowe drzwi. W Rzymie nikt już takich nie zakłada.

– Dlaczego?

– Bo się cudownie łatwo otwierają. – Mówiąc to, Rocco otworzył wreszcie zamek.

Italo się roześmiał.

– Minąłeś się z powołaniem.

– Nie ty pierwszy mi to mówisz.

Rocco uchylił drzwi. Italo zatrzymał go ręką, wyjmując z kabury pistolet.

– Pójdę przodem, nie wiadomo, czy jeszcze tam nie siedzą.

– Jakie siedzą, Italo, nie pierdol! – Rocco energicznie wkroczył do środka.

Przez rozsuwane drzwi przeszli do salonu. Italo skierował się do kuchni. Wicekwesor poszedł dalej korytarzem i zajrzał do sypialni. Nieposłane łóżko. Na końcu korytarza był jeszcze jeden pokój. Zamknięte drzwi. Italo dotarł tam w chwili, gdy Rocco już chwycił za klamkę.

– W kuchni pusto. Totalny bajzel, ale nie ma nikogo. Wygląda jak po przejściu cyklonu.

Rocco skinął głową i otworzył drzwi.

Ciemność.

Opuszczone rolety. Rocco nie mógł nic dojrzeć, ale wyczuwał ostry zapach. Słodkawy, z odorem wymiocin i moczu. Znalazł przełącznik i nacisnął. Błysk światła na moment wypełnił pokój. Potem zwarcie odcięło prąd, a spod sufitu strzeliło parę iskier, niczym małe spadające gwiazdki. Pokój znów zatonął w ciemnościach. Ale ten rozbłysk światła, jak flesz fotografa, utrwalił na siatkówce oczu wicekwestora coś przeraźliwego.

– O, w mordę, Italo, dzwoń na centralę, niech zaraz przyjeżdża tu Fumagalli!

– Fumagalli? Lekarz sądowy? Co tam zobaczyłeś, Rocco?

– Rób, co mówię!

Italo cofnął się do korytarza, wyjął komórkę i usiłował wystukać numer szpitala, cały czas trzymając w ręku pistolet. Okazało się to dość skomplikowane.

Rocco wyciągnął rękę i zaczął posuwać się wzdłuż ścian pokoju.

Palce wymacały brzeg regału z książkami, potem znów ścianę, potem róg. Przesunął ręką po tapecie, odsunął zasłonę, wreszcie znalazł sznurek od rolety. Szarpnął. Szare światło zaczęło wpadać do środka, rozjaśniając wnętrze. Najpierw od dołu: podłoga i przewrócony stół. Przy drugim szarpnięciu pojawiły się dwie zwisające stopy, przy trzecim nogi i bezwładnie opuszczone ręce, aż wreszcie, kiedy roleta została podniesiona do końca, ukazał się cały makabryczny widok. Kobieta wisiała na cienkim kablu podczepionym do haka od żyrandola. Głowę miała pochyloną do przodu, broda opierała się na piersi, czarne włosy zakrywały twarz. Na parkiecie widniała plama.

– Matko Boska – wykrztusił Italo, wciąż z telefonem przy uchu.

– Dzwon po Fumagallego, mówiłem – warknął Rocco.

Odszedł od okna i zbliżył się do ciała kobiety. Chude, kościste stopy przypominały mu rzeźby ukrzyżowanego Chrystusa. Były blade, prawie zielone. Brakowało tylko dziur po gwoździach, żeby wyglądały jak z obrazu Grünewalda. Skóra na kolanach była zdarta, jak u dziewczynki, która dopiero uczy się jeździć na rowerze. Kobieta miała na sobie seledynową koszulę nocną. Jedno ramię naderwane, pod pachą lekko rozpruty szew odsłaniał skórę na boku. Rocco nie spojrział na twarz. Odwrócił się i wyszedł. Mijając Pierrona, wyjął mu z kieszeni paczkę chesterfieldów. Tamten wreszcie się dodzwonił do szpitala.

– Mówi Pierron z komendy policji. Poproszę doktora Fumagallego, to pilne.

– Chodź zapalić, Italo, bo jeszcze ten obraz wdrukuje ci się w siatkówkę i nie będziesz widział niczego innego przez dwa tygodnie.

Italo poszedł za nim jak automat, w lewej dłoni komórka, w prawej pistolet.

– I schowajże wreszcie gnata. Do kogo, kurwa, chcesz strzelać?

Ester Baudo i jej mąż widnieli na każdym ze zdjęć rozstawionych w ramach na pianinie. Zdjęcie ze ślubu, na plaży, pod palmami, przed Koloseum. Rocco od razu rozpoznał, że zrobiono je na Capo d’Africa. To przy tej ulicy była sardyńska knajpka z owocami morza, do której chodzili z Mariną, kiedy należało coś uczcić. Ostatnim razem – już ponad pięć lat temu – świętowali zakup poddasza w Monteverde Vecchio.

Na wszystkich zdjęciach Ester Baudo uśmiechała się, ale samymi ustami. Oczy były zgaszone, przepastne, czarne. I nie śmiały się. Nawet w dniu ślubu.

Jej mąż wręcz przeciwnie. Zawsze radośnie patrzył w obiektyw. Uśmiechnięty i szczęśliwy. Włosy okalały mu czaszkę, łysą na czubku. Rozchylone usta w kształcie serca ukazywały równe białe zęby. Uszy miał małe, odstające.

Rocco przeszedł z salonu do kuchni. Na progu leżała rozbita komórka. Podniósł ją. Wyświetlacz potrzaskany, baterii nie było, karty SIM również. Rozejrzał się dookoła. Italo miał rację. Totalny bajzel. Jakby przeszło stado bizonów. Na podłodze wałało się mnóstwo puszek, paczek z makaronem, sztucców, nawet nóż do chleba. Odłożył komórkę na marmurowy blat, obok plastikowej wagi kuchennej.

Wrócił do pokoju na końcu mieszkania. Powoli, jakby przyciągany przez magnes. Widok ciała dyndającego na haku, na podobieństwo zwierzęcia w rzeźni, był potworny. Zagryzł usta i podszedł bliżej. Podniósł wzrok i zobaczył zmasakrowaną twarz.

Opuchnięta, z rozciętą wargą, z której wypłynęło trochę krwi. Miała jedno oko otwarte, drugie przymknięte i nabrzmiałe. Na szyi sznur z rodzaju tych, jakich używa się do suszenia bielizny. Kobieta przerzuciła go przez hak od żyrandola i przywiązała drugi koniec do nogi szafy, która posłużyła za przeciwwagę,

zapewniającą, że sznur nie popuści. A jednak trochę ustąpił, wyciągając przy okazji kable elektryczne, co doprowadziło do zwarcia. Na ziemi leżał stołek. Na trzech nogach, taki od pianina. Kiedy się przewracał, odpadła od niego poduszka. Może Ester kopnęła ją w chwili, kiedy ostatecznie traciła oparcie, kiedy zdecydowała, że jej wędrówka po tej ziemi dobiegła końca. Szyja była biała, z wyjątkiem okolic gardła. Tam widniała fioletowa smuga szeroka na dwa palce. Fioletowa jak plama na parkiecie.

– Trzecie samobójstwo w tym miesiącu – prychnął za jego plecami patomorfolog.

Rocco nawet się nie odwrócił. Przestrzegając ustalonego już przed kilkoma miesiącami zwyczaju, oszczędzili sobie słów powitania.

– To ty ją znalazłeś?

Schiavone skinął głową. Alberto Fumagalli podszedł i uważnie spojrzał na ciało. Wyglądali jak dwaj turyści w muzeum sztuki nowoczesnej, stojący przed instalacją artystyczną.

– Kobieta, lat trzydzieści pięć, prawdopodobna przyczyna śmierci: uduszenie – zaczął lekarz.

– I za to dali ci dyplom? – odezwał się Rocco.

– Przecież żartuję.

– Jak możesz?

– W mojej pracy, jeśli nie umiesz żartować, szybko skończysz tak jak ona.

– Alberto wskazał głową na zwłoki.

– Ściągniesz ją?

– No chyba tak. Zaczekam, aż przyjdą twoi ludzie i ściągamy.

– Kto przyjechał?

– Dziewczyna i taki grubas.

Czyli posterunkowy Deruta i inspektor Caterina Rispoli. Rocco wyszedł im na spotkanie.

Deruta już był w progu mieszkania, zziębnięty i spocony. Caterina stała jeszcze na półpiętrze i rozmawiała z Pierronem, miętosząc w dłoniach rękawiczki.

– Szedłeś po schodach, Deruta?

– Nie, jechałem windą.

– To czemu sapiesz?

Deruta nie odpowiedział na pytanie Rocca, tylko odezwał się niepewnie:

– Szefie, tak sobie myślałem...

– Co za miła wiadomość!

– Myślałem... czy tam w środku widok nie jest zbyt drastyczny?

– Dla kogo?

– Dla pani Rispoli.

– Jaki widok, Deruta? Ciebie przy pracy?

Deruta skrzywił się, lekko zirytowany.

– Nie! Chodzi o trupa w mieszkaniu!

Rocco popatrzył na niego.

– Inspektor Rispoli pracuje w policji.

– Ale Rispoli jest kobietą!

– To nie jej wina – odparł Rocco, wychodząc z mieszkania na klatkę schodową. Caterina podniosła na niego wzrok.

– Panie wicekwesterze...

– Tylko nie to, Rispoli. Niech mnie pani nie zostawia samego z Derutą, jeszcze i on mi się powiesi...

Caterina uśmiechnęła się i weszła do środka.

– Szefie?

– Słucham.

– W sprawie tego prezentu. Mam pomysł.

– Świetnie, pogadamy za dziesięć minut. – Kiedy Caterina zniknęła w salonie, Rocco zwrócił się do Itala: – Chodźmy gdzieś na kawę.

– Jeśli pan pozwoli, szefie – odrzekł Italo, przechodząc na oficjalną formę – wolę zostać tutaj. Z moim żołądkiem jest coś nie w porządku.

Kręcąc głową, Rocco zszedł po schodach.

Ulica zapełniła się ludźmi. Stali w oknach i przed bramami. Ponad głowami ciekawskich unosił się szum jak z garnka z wrzącą wodą.

– Zwłoki? Złodzieje? Kto? U Baudów?

Tylko na moment zapadła cisza, kiedy brama się uchyliła i Rocco, szczelnie otulony zielonym płaszczem, wyszedł z kamienicy. Gapiów w bezpiecznej odległości utrzymywał Casella.

– Komisarzu... – odezwał się.

– Wicekwesterze, Casella, wicekwesterze, do jasnej cholery! Jak pracujesz w policji, to mógłbyś chociaż tyle sobie przyswoić, nie?

Rozejrzał się, ale nigdzie nie dostrzegł baru ani nawet sklepu. Podszedł do emerytowanego wojskowego.

– Wie pan, czy tu w okolicy jest jakiś bar?

– Że co? – zawołał staruszek, poprawiając aparat.

– Bar. Gdzieś blisko.

– Skręci pan tam za rogiem, w ulicę Monte Emilus, sto metrów dalej jest bar Alpi. No więc jak, to prawda, że znaleźli panią Baudo powieszoną?

Irina patrzyła na niego z lekka przerażonym wzrokiem.

– Umiecie dochować tajemnicy? – zapytał konfidencjonalnym szeptem Rocco.

– Jasne! – potwierdził wojskowy, dumnie wypinając pierś.

– Ja też! – wtrąciła Irina.

– No to się nie dziwcie, że ja także – skwitował Rocco i odszedł, zostawiając ich z niczym.

Jak można się było spodziewać, Flipper znów zaczął obszczekiwać znak zakazu postoj. Chorąży spojrział ze złością na kundla i szybkim ruchem palców wyłączył aparat słuchowy. Na powrót zapanowała miękka cisza. Świat stał się wielkim akwariem, które można było obserwować, ale się w nim nie zanurzać. Uśmiechnął się i lekkim skinieniem głowy pożegnał Irinę, po czym ruszył do domu, gdzie czekały na niego krzyżówki.

Podmuchy wiatru właczały mu lodowate powietrze pod płaszcz. Rocco uznał, że w sumie złożyło się nie najgorzej. Samobójstwo to tylko parę papierów do wypełnienia, załatwi się w jedno popołudnie. Miał prosty plan: zostawić robotę Caselli, pogadać z Rispoli o jej pomysły na prezent dla Nory, wrócić do domu, zdrzemnąć się pół godziny, potem wziąć szybki prysznic i iść do sklepu po prezent, następnie kolacja z Norą o ósmej, po półtorej godziny udawany atak strasznego bólu głowy, który pozwoli mu odprowadzić Norę do domu i zdążyć jeszcze na drugą połowę meczu Roma–Inter. Niezłe.

W chwili, kiedy wiatr ucichł i zaczął siąpić deszcz zimny jak ręka trupa, Rocco wszedł do baru Alpi. Od drzwi zaatakował go zapach alkoholu i cukru pudru. Przyjemny jak uścisk przyjaciela.

– Dzień dobry.

Facet za ladą uśmiechnął się.

– Witam, witam. Co podać?

– Kawę z odrobiną mleka. I rogalik, jeśli pan ma.

– No pewnie, że mam. Proszę sobie wziąć stamtąd. – Wskazał podgrzewaną gablotkę z pleksi, gdzie leżały wypieki.

Rocco wyjął rogalik, podczas gdy barman dociskał głowicę ekspresu do kawy. Z drugiej sali dobiegł stukot kul bilardowych. Dopiero teraz Rocco zauważył, że ściany baru są obwieszane zdjęciami graczy Juventusu i czarno-białymi szalikami. Podeszedł do baru i wyspał do kawy pół torebki cukru. Trochę czasu minęło, zanim cukier rozpuścił się w gęstej cieczy. To był znak, że kawa jest dobrej jakości. Spróbował. Była wyśmienita.

– Robi pan świetną kawę – powiedział do barmana, który wziął się do wycierania szklanek.

– Żona mnie nauczyła.

– Jest z Neapolu?

– Nie, z Mediolanu. Ja jestem z Neapolu.

– Neapolitańczyk, ale kibicuje Juve i uczy się robić kawę od kobiety z Mediolanu?

– A do tego nie umiem śpiewać – dodał barman. Obaj się roześmiali.

Z sali obok wciąż dochodziło stukanie kul. Rocco spojrział w tamtą stronę.

– Chce pan zagrać? – spytał barman.

– Czemu nie?

– Tylko uwaga, tam siedzą zawodowcy.

Rocco szybko dopił kawę i przeszedł do drugiej salki. Po drodze dojadł brioszkę, obsypując sobie płaszcz okruchami.

Grało dwóch facetów. Jeden w roboczym kombinezonie, drugi w garniturze i pod krawatem. Nacierali kredą końcówki kijów i szykowali się do gry w karambol. Na widok Rocca uśmiechnęli się.

– Zagra pan partyjkę? – zwrócił się do niego robotnik.

– Nie, grajcie sami. Mogę popatrzeć?

– No pewnie – odezwał się drugi, o wyglądzie agenta nieruchomości.

– Zobaczysz pan, jak zniszczę Nina. Nino, dzisiaj nie biorę jeńców!

– Dziesięć euro za trzy wygrane partie? – zapytał robotnik.

– Nie, dziesięć za każdą.

– No to mam z głowy całą premię. – Nino zaśmiał się i mrugnął do policjanta.

Agent nieruchomości zdjął marynarkę, podczas kiedy robotnik ze złośliwym uśmiechem smarował kij kredą.

Trzask! Nagle zgasło światło we wszystkich trzech plafonierach oświetlających zielony stół.

– No kurde, Gennaro! – krzyknął agent.

– Przy tym wietrze ciągle mi strzela – zawołał z baru właściciel.

– Lepiej zapłać rachunki, zobaczysz, że przestanie – odparował mu robotnik i obaj gracze zarechotali.

Rocco jednak był poważny. Oparty o ścianę, zastanawiał się nad czymś.

– Jassssna cholera – wysyczał przez zęby – ale ze mnie kretyn. Jak mogłem na to nie wpaść? Co za gówniana robota.

Klnąc, wyszedł z salki, ku zaskoczeniu graczy.

– Alberto, no powiedz, że się mylę!

– Powtórz, Rocco – odrzekł patomorfolog pochylony nad ciałem pani Baudo.

– Kiedy wszedłem, zapaliłem światło. Po chwili zgasło. To znaczy, że wcześniej było wyłączone, kumasz?

– Mów dalej, słucham.

– To oczywiste, że biedaczka, lecąc w dół, pociągnęła i odsłoniła kable. A ja, naciskając przełącznik, spowodowałem zwarcie. Co to znaczy? Że powiesiła się po ciemku. Jak dała radę? Opuściła rolety, zawiązała węzeł i skoczyła?

– Faktycznie, dziwne – przyznał Fumagalli. – No więc?

– No więc musiał tu być ktoś jeszcze. Rolety zostały opuszczone po tym, jak się powiesiła, do jasnej cholery! – zaklął przez zęby Rocco.

– Skoro już przy tym jesteśmy, mam dla ciebie mały drobiazg. Popatrz.

– Patomorfolog wskazał na białą skórę ofiary.

Podeszli do zwłok, które Deruta i Rispoli położyli na podłodze.

– Kabel jest za cienki, żeby spowodować aż taki siniak, widzisz?

– Fumagalli wskazał sine pasmo na szyi Ester. Było szerokie na jakieś dwa palce.

– Kabel, wrzynając się w ciało, zostawił tylko wąski ślad. Widzisz go? Krótko mówiąc, nie tym została uduszona, to proste. A przyjrzałeś się lepiej twarzy?

Rocco opadł na skórzany fotel.

– Oczywiście. Została pobita. Wiesz, co to znaczy?

Fumagalli nie odpowiedział.

Wicekwestor wydał z siebie jęk, stłumiony i złowrogi jak daleki grzmot zapowiadający burzę.

– To znaczy, że to wcale nie było samobójstwo. To znaczy, że muszę się tym zająć i czeka mnie tyle kosmicznych upierdliwości, że nawet sobie nie wyobrażasz.

Fumagalli pokiwał głową.

– Zabiorę teraz biedaczkę do siebie na stół. A ty zadzwoń po prokuratora i dochodzeniówkę.

Rocco gwałtownie wstał. Humor zmienił mu się tak szybko, jak zmienia się pogoda w górach, gdzie wiatr nagle zasnuwa pogodne niebo czarnymi chmurami.

Wyszedł z pokoju i spojrzał na swoich podwładnych.

– Rispoli, dzwoni do Turynu, niech przyślą ekipę kryminalistyczną. Deruta, ty się zajmij tym, co ci zleciłem dziś rano.

– Ale obserwacje mają być robione w nocy – odrzekł policjant.

– To idź sobie odpocząć, piec chleb w piekarni żony, cokolwiek, ale już spadaj.

Deruta jak zbity pies wybiegł z mieszkania. Caterina o nic nie spytała. W przeciwieństwie do Deruty nauczyła się, że kiedy Schiavone wpada w zły humor, lepiej siedzieć cicho i wykonywać polecenia.

– Pierron! – wrzasnął Rocco i Italo zaraz pojawił się w drzwiach.

– Słucham, szefie.

– Rozgoń tych ludzi na ulicy. I sprawdź mi nazwisko tej Rosjanki, co weszła pierwsza do mieszkania, i tego głuchego chorążego. Powiedz Caselli, żeby spróbował zablokować przecieki do prasy. Przepytajcie sąsiadów i niech ktoś zadzwoni do prokuratury. Kolejna upierdliwość dziesiątego stopnia. Rispoli, rozumiesz mnie? – Tak naprawdę nie zwracał się do nieszczęsnej inspektor, zajętej wydzwanianiem do Turynu. Mówił do wszystkich i do nikogo, wymachiwał rękoma, jakby stanął na skraju przepaści i zaczął tracić równowagę. – Dziesiątego stopnia, na bank.

Italo skinął głową, w pełni dzieląc zdanie szefa. Wiedział już, że sklasyfikował on wszystkie upierdliwe sytuacje, jakie przynosi życie, wedle stopni, od szóstego wzwyż.

Na ściśle prywatnej skali stopień szósty był przeznaczony dla dzieci wrzeszczących w restauracji, dzieci wrzeszczących na basenie, dzieci wrzeszczących w sklepie, wrzeszczących dzieci w ogóle. Dalej było namawianie przez telefon na niewiarygodnie korzystne abonamenty telefoniczne i umowy z elektrownią, koce ześlizgujące się w zimową noc z materaca i odsłaniające stopy, a także przyjęcia na stojąco, z bufetem. Siódmy stopień to powolna obsługa w restauracjach, znawcy wina oraz kolega, który obzał się czosnkiem poprzedniego wieczora. Do upierdliwości ósmego stopnia zaliczały się spektakle teatralne trwające ponad godzinę i kwadrans, przyjmowanie oraz kupowanie prezentów, automaty do gry i Radio Maria. Na dziewiątym były zaproszenia na śluby, chrzciny, komunie czy inne uroczystości. A także mężowie narzekający na żony oraz żony narzekające na mężów. Na najwyższym podium, z dziesiątym stopniem upierdliwości, jako szczyt tego, co jego pieprzone życie mogło mu zrobić dla zepsucia dnia, królowało dochodzenie w sprawie zabójstwa. A sprawa Ester Baudo zamieniła się w coś takiego w ciągu paru minut, dosłownie na jego oczach. Stąd ta nagła zmiana humoru. Każdy, kto go znał, traktował to jako oczywisty przeskok emocjonalny. Ci, którzy go nie znali, mogli uznać to za dość przesadzoną reakcję. Bezlitosny, bezsensowny przypadek domagał się bezgłośnym krzykiem jakiegoś rozwiązania, a on nie mógł uchylić się od szukania odpowiedzi. Która znajdowała się gdzieś w tym potwornym bagnie, w czeluściach ludzkiej głupoty, w ohydnych zakamarkach chorego umysłu.

W takich chwilach, kiedy sprawa dopiero pączkowała, niczym skażony kwiat wśród chwastów jego życia, w tych pierwszych minutach, gdyby Rocco dorwał winnego, usunąłby go na trwałe z ludzkiej wspólnoty.

Kiedy wynurzył się z własnych myśli, siedział na środku salonu. W pokoju obok Alberto Fumagalli w milczeniu krzątał się wokół ofiary. Policjanci wsiąkli jak roztopiony śnieg, każdy ze swoim rozkazem. Przeciągnął dłońmi po twarzy i wstał.

– Dobra, Rocco – powiedział półgłosem – popatrzmy, co my tu mamy.

Założył skórzane rękawiczki, które nosił w kieszeni, i spojrzął na mieszkanie innym okiem. Zimnym, zdystansowanym. Bałagan w salonie był właściwie z gatunku tych zwyczajnych. Rozrzucone czasopisma i poduszki od kanap, stolik przed telewizorem pełen różnych drobiazgów, zapalniczek i rachunków, stały tam nawet dwie afrykańskie rzeźbione żyrafy. Do tego obrazka nie pasował jednak burdel w kuchni. Jeśli to naprawdę byli włamywacze, czego tam szukali? Co wartościowego można trzymać w kuchni? Wszystkie szafki stały otworem, z wyjątkiem tej pod zlewem. Rocco ją otworzył. Trzy kosze do segregacji śmieci. Zajrzał do nich. Pojemnik na odpady organiczne był pełny, ten na puszki także. Natomiast kosz na papier prawie pusty.

Leżał w nim tylko pojemnik na jajka, folder reklamowy pielgrzymki do

Medziugorie, elegancka czarna torebka ze sznurkową rączką. Na środku miała coś w rodzaju herbu. Gałązki lauru okalające nazwisko „Tomei”. Rocco przypominał sobie mgliście, że jest taki sklep w centrum. W środku torebki kartka: „Z najlepszymi życzeniami od Ester”.

Na ścianie przy lodówce wisiał wydrukowany przez gminę terminarz wywozu śmieci. Rocco rzucił na niego okiem. Makulaturę z tej ulicy odbierano we czwartki. Czyli wczoraj. To dlatego kosz był prawie pusty.

Przeniósł wzrok na komórkę, którą sam wcześniej odłożył na marmurowy blat. To było kolejne pytanie. Do kogo należała? Do ofiary? Dlaczego ją roztrzaskano? Gdzie się podziała karta SIM?

W sypialni tymczasem miało się wrażenie, jakby przeprowadzono tu staranną rewizję. Włamywacze szukali czegoś w skupieniu i ze spokojem. Jeśli kuchnia wyglądała jak po trzęsieniu ziemi, tutaj widać było rękę kogoś, kto działał z chirurgiczną precyzją. Ale prześcieradła leżały skotłowane, a materac, jak Rocco stwierdził, został nieco zsunięty ze stelaża. Drzwi od szafy były tylko uchylone, komoda i szafki nocne stały nietknięte. Pod oknem, częściowo zasłoniętym roletą, Rocco zobaczył pudełko obite niebieskim aksamitem. Sięgnął po nie. Było puste. Odłożył je na komodę, gdzie widniało kolejne zdjęcie małżeńskie w ramach. Para siedziała objęta przy stole. Rocco skupił się na twarzy kobiety. W duchu obiecał jej, że znajdzie skurwysyna. Podziękowała mu słabym uśmiechem.

Postanowił wrócić na piechotę, na przekór wiatrowi, który zaczął zwiewać śnieżny pył z dachów i gałęzi, tocząc go po asfalcie w małych wirach. Szedł zamaszystym krokiem, z rękoma wciśniętymi głęboko w kieszenie płaszcza, który marnie chronił przed takim zimnem. Podniósł wzrok, ale grube, ciężkie chmury zasłoniły niebo i szczyty gór. Za ostatnimi domami mógł jedynie dostrzec pola białe od śniegu albo czarne od błota. Nie chciał wracać teraz do biura, nie miał ochoty gadać z komendantem ani tym bardziej wyjaśniać prokuratorowi, na co natrafili, bo sam dobrze nie wiedział. Ludzie na ulicy mijali go, nie patrząc, wszyscy pochłonięci własnymi sprawami. Tylko on nie miał czapki. Czuł, jak lodowaty wiatr rozwiewa mu włosy. Na pewno przyplaci to zapaleniem zatok i bólem w karku.

W powietrzu unosił się zapach palonego drewna zmieszany ze spalinami samochodów. Wkroczył bez namysłu na pasy, rzucając wyzwanie losowi. W Rzymie na pewno by go rozjechali. Tymczasem w Aoście kierowcy hamowali bez szemrania. Myślał o tym, co teraz ma przed sobą. Poza fiatem 500, który czekał, aż on przejdzie, tylko pracę. Oraz życie w mieście, które było mu obce i dalekie. Niczego tu nie miał i niczego mieć nie zamierzał, nawet gdyby przyszło mu zostać tutaj dziesięć lat. Nie mógł skończyć w którymś z tych barów, dzień w dzień komentując ze staruszkami winiarskie sukcesy regionu albo najnowsze transfery ligowe.

Nawet niepewna próba nawiązania romansu była krucha jak bibułka. Potrzebował swoich kumpli. W takiej chwili jak ta na pewno by jakoś zrównoważyli upierdliwość sytuacji, która go przerastała. Pomyślał o Sebie, ten chociaż raz wpadł go odwiedzić. Furio, Brizio – gdzie byli? Ciągłe na wolności czy też jego koledzy wpakowali ich znowu do hotelu Roma? Oddałby palec jednej z odmrożonych rąk za pizzę na Zatybrzu, spotkanie przy jointach na Janikulum, partię pokera u Stampelli.

Nagle zorientował się, że stoi przed rzymską bramą Porta Pretoria. Przynajmniej między tymi starożytnymi głazami wiatr nie był tak przenikliwy. Jak tu trafił? To po przeciwnej stronie miasta niż jego biuro. Musiał teraz pokonać z powrotem całą drogę do placu Chanoux i pójść dalej. Postanowił zatrzymać się w barze przy placu. Zaczął iść, tym razem wolniej, bo już wyznaczył sobie metę, kiedy w kieszeni płaszcza zabrzmiała *Oda do radości* Beethovena. To był jego dzwonek w komórce.

– Kto mówi?

– Kochanie, tu Nora. Ciężkie chwile?

– Tak.

– Przeszkadzam?

– Dlaczego zadajesz mi pytanie, na które mogę tylko niegrzecznie odpowiedzieć?

– Co się stało? Co jest nie tak?

– Chcesz wiedzieć? No to ci powiem. Spadło mi na łeb zabójstwo. Starczy?

Nora milczała przez chwilę.

– Dlaczego się wściekasz akurat na mnie?

– Wściekam się na wszystkich. Na siebie w pierwszej kolejności. Wracam do biura. Zaczekaj pół godziny, stamtąd zadzwonię.

– Nie, bo potem zapomnisz. Chciałam tylko powiedzieć, że dziś wieczorem będzie u mnie kolacja. Przyjdzie parę znajomych osób.

– Dlaczego? – zapytał Rocco. Wydarzenia przy ulicy Brocherel zadziały jak gąbka w jego pamięci.

– Jak to dlaczego? – Nora podniosła głos.

Wicekwestor nie był w stanie sobie przypomnieć.

– Mam urodziny, Rocco!

Prezent, do jasnej cholery. Ta myśl przebiegła mu błyskawicą przez głowę.

– O której?

– O wpół do ósmej, możesz?

– Postaram się, przysięgam.

– Zrobisz, jak uważasz. Do zobaczenia. Jeśli będziesz mógł. – Nora rozłączyła się. Jej ostatnie słowa były bardziej lodowate od płyt chodnikowych na placu Chanoux.

Ależ to trudne utrzymywać relacje z ludźmi! Trzeba się angażować, starać, być dyspozycyjnym, a zwłaszcza mieć pozytywny stosunek do życia. Wszystko to, do czego Rocco nie był zdolny. Jego trzeba było ciągnąć za włosy, żeby dalej żył. Coś go popychało z jednego dnia w drugi, zupełnie jak teraz, kiedy stawiał stopy w clarksach. Jeszcze krok, jeszcze jeden krok, mówili sobie żołnierze Brygady Alpejskiej, żeby wytrzymać czterdziestostopniowy mróz na Ukrainie zimą 1943 roku. Jeszcze krok, jeszcze jeden krok, powtarzał sobie wicekwestor Rocco Schiavone co dzień od tamtego odległego siódmego lipca 2007 roku, kiedy jego życie zostało złamane, łódka wywróciła się, a on musiał zmienić kurs.

Siódmy lipca. Rzymski, gorący, lepki dzień. Zabrał mu Marinę. A wraz z nią wszystko, co w Roccu było strawne. O jego dalszej egzystencji decydował już tylko instynkt przetrwania.

Mężczyzna zbliżał się do bramy przy ulicy Brocherel. Kask, aerodynamiczne okulary, obcisły kombinezon z różowo-błękitnej lycry pełen napisów reklamowych, białe podkolanówki, buty z wydłużonymi, zawiniętymi do góry czubkami, przez które chodził jak cyrkowy klaun. Trik-trak, trik-trak, stukały o chodnik blaszki na podszwach. Patrizio Baudo prowadził rower, stawiając szeroko stopy z powodu grubej warstwy izolacji w kroku. Przyglądał się apokalipsie przed swoją kamienicą. Policja, gapię, nawet facet z kamerą.

Co się stało? – pomyślał, idąc w ich stronę. Podszedł do blond policjantki o miłej twarzy i ładnych, głębokich oczach i zapytał na głos:

– Co się stało?

– Doszło do zabójstwa – odburknęła policjantka.

– Że co?

– Kim pan jest?

– Patrizio Baudo. Mieszkam tutaj. – Podniósł dłoń w rękawiczce bez palców, żeby wskazać na okna swojego mieszkania.

Inspektor Rispoli skupiła wzrok na jego twarzy, aż dostrzegła swoje odbicie w lustrzanych szklach.

– Patrizio Baudo? Wydaje mi się, że... Proszę za mną.

Nie miał czasu się przebrać. Siadając przed wicekwestorem, Patrizio Baudo zdjął kask i okulary. Rower oddał policjantowi – sprzętu za sześć tysięcy euro nie zostawia się na ulicy nawet w Aoście. Pobladł, pod oczami miał dwie czerwone pręgi. Wyglądał, jakby ktoś przez półtorej godziny bił go po twarzy. Siedział oszołomiony, gapiąc się na oficera po drugiej stronie biurka. Trząsł się, może ze strachu, może z zimna. Dłonie w skórzanych rękawiczkach ukrył między nogami. Co jakiś czas wyciągał prawą rękę i dotykał krucyfiksę na szyi.

– Poproszę, żeby przynieśli panu jakieś okrycie – powiedział Schiavone, podnosząc słuchawkę.

Phascolarctos cinereus. Zwany potocznie koalą. Patrizio Baudo przypominał

australijskiego misia – taka była pierwsza myśl Rocca, kiedy wszedł do pokoju i uściśnął mu dłoń. A potem zastanowiło go, dlaczego nie uchwycił tego podobieństwa na zdjęciach stojących w całym mieszkaniu.

Proporcje, o to chodziło. Na żywo można je zdecydowanie lepiej ocenić. Oczy lepiej niż martwy obiekt określają odległość i wymiary. Wystarczyło jedno spojrzenie na odstające uszy, szeroko rozstawione oczy i duży nos, który prawie zasłaniał wąskie, niemal pozbawione warg usta. Nie mówiąc już o trudniej uchwytnych cechach. Wszystko na tej twarzy wołało: koala. Ale były też różnice, oprócz diety i warunków życia. Patrizio Baudo różnił się od misia owłosieniem. Zwierzątko jest pokryte piękną puszystą sierścią. Patrizio był łysy jak kolano.

Rocco od dzieciństwa lubił dopasowywać ludzkie twarze do wizerunków zwierząt. Zaczęło się to, kiedy w wieku ośmiu lat dostał od ojca encyklopedię zwierząt wraz z kompletem pięknych tablic z końca dziewiętnastego wieku, przedstawiających liczne ptaki, ryby i ssaki. Siedząc na dywanie w saloniku mieszkania na Zatybrzu, Rocco godzinami je oglądał i uczył się na pamięć ich nazw, a potem zaczął się bawić w odnajdywanie podobieństw do nauczycieli, kolegów i ludzi z okolicy.

Wszedł Casella z czarną kurtką, którą Patrizio Baudo natychmiast narzucił na ramiona.

– Jak... jak to się stało? – zapytał wreszcie słabym głosem.

– Jeszcze tego nie wiemy.

– Co to znaczy? – Czarne zgaszone oczy Patrizia na moment się ożywiły, jakby w jego tęczęwkach zamigotały płomyki.

– To znaczy, że znaleźliśmy ją powieszoną w pokoju.

Patrizio ukrył twarz w dłoniach.

– Ale cała sytuacja nie jest dla nas jeszcze jasna – dodał Rocco.

Tamten wziął głęboki oddech i podniósł na policjanta oczy pełne łez.

– Co nie jest jasne? O co chodzi?

– Nie jest jasne, czy pana żona sama odebrała sobie życie, czy też ją zabito.

Baudo potrząsnął głową, potarł dłonią podbródek.

– Nie rozumiem, jeśli wisiała... to jak możliwe, żeby ktoś ją zabił? Ktoś ją powiesił? Proszę, nie rozumiem...

Weszła Caterina Rispoli z filiżanką herbaty. Dała ją Patriziowi, który podziękował słabym uśmiechem, ale nie wypił nawet łyka.

– Proszę mi wytłumaczyć... ja nie rozumiem...

– Pewne okoliczności śmierci pana żony nam się nie zgadzają. Są to szczegóły, które każą nam myśleć o czymś innym niż samobójstwo.

– Jakie szczegóły?

– Mocno skłaniamy się do wersji o upozorowaniu samobójstwa.

Patrizio Baudo upił łyk herbaty i wyraźnie wstrząsnął nim dreszcz. Znów

dotknął krucyfiksu dłonią w rękawicze. Rocco spojrzął na Casellę.

– Moi ludzie zawiozą teraz pana do domu, proszę zabrać wszystko, co panu potrzebne. Niestety nie może pan pozostać w mieszkaniu, bo ekipa dochodzeniowa nie skończyła badań. Ma pan dokąd jechać?

Patrizio Baudo wzruszył ramionami.

– Ja? Nie... może do matki?

– Dobrze. Posterunkowy Casella odwiezie pana. Matka mieszka w Aoście?

– Niedaleko. W Charvensod.

Rocco wstał.

– Będziemy pana informować, proszę się nie martwić.

– Ale kto to był?! – wykrzyknął nagle Baudo. – Kto mógł coś takiego zrobić? Mojej Ester...

– Obiecuję panu, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby to odkryć, panie Baudo. Zapewniam pana.

– Nie wierzę. Nie mogę w to uwierzyć. Tak po prostu? W jednej chwili? Co się dzieje? Co się dzieje? – Rozglądał się dookoła nieprzytomnym wzrokiem. Caterina spuściła oczy, a Casella gapił się w nieokreślony punkt na suficie. Rocco natomiast stał nieruchomo, zimny, służbisty, ale w środku czuł gniew, podobnie jak ten nieszczęśnik. Który wreszcie wybuchł płaczem. – Nie dam rady... – wybełkotał skulony na krześle; przypominał porzuconą szmatę.

Rocco położył mu rękę na ramieniu.

– Jutro, już na spokojnie, będę pana potrzebować, panie Baudo. Przypuszczamy, że w mieszkaniu doszło do kradzieży.

Patrizio ciągle łkał. Wtem cała ta burza emocji ustąpiła równie szybko, jak nadeszła. Pociągnął nosem i oznajmił:

– Nie jutro. Teraz.

– Teraz pan ma...

– Teraz – powtórzył Patrizio, zrywając się na nogi. – Chcę zobaczyć mój dom. Chcę tam wrócić.

– Przy okazji może się pan przebrać, nie? – wypalił zupełnie nie na miejscu Casella. Rocco zgromił go spojrzeniem.

– No nie może chodzić ubrany jak pajac – dodał tonem usprawiedliwienia, zwracając się do Cateriny.

– Zgoda, jedziemy. – Rocco odstawił na biurko niemal nietkniętą filiżankę herbaty.

Italo prowadził policyjne bmw spokojnie, omijając dziury i wyboje, co w Aoście nie wymagało dużego wysiłku, bo nie było tu dziur i wybojów. Nie tak jak w Rzymie, gdzie co większym mieszkańcy nadawali nawet nazwy, a przyspieszanie na starym bruku było murowanym sposobem, żeby wywołać poronienie. Patrizio Baudo wpatrywał się w okno.

– Zaczynam nienawidzić tego miasta – powiedział.

– Dobrze pana rozumiem – rzucił Rocco z tylnego siedzenia.

– Pochodzę z Ivrei. Ale wie pan, jak to bywa, znalazłem tu pracę, no i... Ester jest stąd. Z Aosty. Bardzo się przyjaźniliśmy... jeszcze przed ślubem. Sam nie wiem, jak to się potem potoczyło. Zakochaliśmy się w sobie i tak dalej.

Białe łydki Patrizia lekko drżały. Ręce zaciskał na udach. Odpiął rzepty na rękawiczkach, ale ich nie zdjął.

– Panie Baudo, jak się czuła żona dziś rano?

– Nie widziałem jej. W piątki pracuję po południu i wstaję o szóstej rano, żeby pojechać na rowerze. Uprawia pan kolarstwo?

– Nie, grałem w piłkę.

– Kiedy miałem dwadzieścia lat, trenowałem w drużynie, bo chciałem być zawodowym kolarzem. Ale tamten świat jest brudny i bezwzględny. Łatwo można zostać na całe życie popychadłem i tylko rozprawiać peleton. A może nie byłem taki dobry. Teraz czasami ścigam się amatorsko.

Italo zatrzymał się na światłach. Patrizio pociągał nosem, ale twarz miał cały czas zwróconą do okna, więc Rocco nie wiedział, czy płacze, czy tylko ma katar.

– Pan ostatni widział Ester. Wczoraj wieczorem...

– Tak, wieczorem. Jak zawsze. Poszła spać o dziesiątej, może wpół do jedenastej. Ja oglądałem telewizję. Leciał film o takim jednym, który przewoził żywe łososie do Jemenu, żeby urządzać zawody wędkarskie. Widział pan?

Rocco milczał. Patrizio wypowiadał na głos chaotyczne myśli, za słowami ukrywając ból, który jeszcze nie do końca dotarł do jego głowy i serca.

– Niezły był. Znaczący ten film. Nie rozumiem ludzi, którzy siedzą przed telewizorem tylko po to, żeby skakać po kanałach. Ma pan tak czasami?

Znów pociągnął nosem. Tym razem cały zadrżał. Rocco zrozumiał, że Patrizio Baudo płacze.

Przy ulicy Brocherel już stała furgonetka wydziału kryminalistyki. Dwaj policjanci rozładowywali sprzęt. Trzeci, niski blondyn, wkładał biały kombinezon. Italo zatrzymał samochód. Rocco wysiadł i ruszył w stronę bramy, a w ślad za nim Patrizio Baudo. Nie kręcili się żadni dziennikarze, co było dziwne. Ale najwyraźniej prasa wołała śledzić dyskusję na posiedzeniu rady regionu, dotyczącą wielkiej imprezy sportowej. Przynajmniej dupy nie będą zawracać, pomyślał Rocco.

Blondasek podszedł się zameldować.

– Aspirant Carini z wydziału kryminalistyki...

– Dobrze, że już jesteście. Gdzie szef?

– Będzie później. Pojechał na południe, do Turynu, ma jakieś zabójstwo.

Rocco po raz pierwszy usłyszał wyrażenie „na południe, do Turynu”. Jeśli chodziło o niego, Turyn zawsze będzie w górze mapy. Jadę do Turynu, na północ

– tak się mówiło. Ale w Aoście było odwrotnie. Trochę jak po drugiej stronie równika, gdzie woda, spływając z umywalki, tworzy wir lewoskrętny.

– Słuchaj, Carini, musimy wejść do mieszkania. To jest mąż ofiary.

Aspirant spojrział na Patrizia, wciąż ubranego jak kolarz.

– Prawdę mówiąc, musiałbym mieć zgodę szefa, zaraz zadzwonię...

– Do nikogo nie będziesz mi tu dzwonił. Dawaj ochraniacze na buty, rękawiczki i nie marudź.

Aspirant spokorniał.

– Jasne, zaczekajcie, zaraz wam przyniosę. – Poszedł do furgonetki, gdzie jego kolega już czekał w gotowości, z walizeczką.

Patrizio patrzył na kamienicę, jakby ją oglądał po raz pierwszy w życiu.

– Żona... jest jeszcze tam na górze?

– Nie sędzę. – Rocco zwrócił się do młodego policjanta pilnującego bramy:

– Przyjechali już z kostnicy?

Tamten potwierdził.

– Kto jest teraz na górze?

– Chyba Scipioni.

Rocco spojrział na Patrizia.

– Jest pan pewien?

– Oczywiście. To mój dom.

Patrizio nie mógł się jednak zdecydować, żeby wejść. Stał na podeście schodów, w papierowym czepku, lateksowych rękawiczkach i ochraniaczach na buty i patrzył na drzwi, podczas gdy policjanci krzętałi się ze swoim sprzętem. Posterunkowy Scipioni, który zabezpieczał wejście, zajęty był rozmową z sąsiadką, bladą kobietą w podeszłym wieku, o błękitnych włosach dopasowanych tonacją do szlafroka. Punkci z King's Road z lat siedemdziesiątych by się na to nie odważyły, pomyślał Rocco, patrząc na jej fryzurę. Kobieta przytakiwała z twarzą schowaną w dłoniach.

– Wchodzimy? – spytał wreszcie.

Patrizio otworzył drzwi, zaskrzypiały zawiasy.

– Było włamanie! – orzekł Carini, oglądając zamek.

– Nie, to ja zrobiłem, żeby wejść – oznajmił Rocco i wszedł do środka za panem domu.

Baudo poruszał się powoli, w milczeniu, ze smutnym skupieniem w oczach. Spojrział na drzwi balkonowe. Ktoś wystawił na zewnątrz jego rower. Natychmiast podszedł, wprowadził go do środka i oparł o kredens w salonie. Uważnie obserwujący go Rocco stwierdził, że wydaje się, jakby pieścił córkę, a nie dotykał sprzętu sportowego.

– To colnago, ponad sześć tysięcy euro – rzucił Patrizio tonem usprawiedliwienia. – Gdzie ją znaleźliście?

Rocco wskazał na sąsiedni pokój. Patrizio bez słowa podszedł do drzwi, otworzył je. Z haka ciągle zwisał sznur. Stał na progu, patrząc w milczeniu. Wydawało się, że wacha powietrze. Wziął głęboki oddech i udał się do sypialni.

– W domu mamy tylko jedną cenną rzecz – powiedział, mijając wicekwestora. Ledwo zobaczył pokój, aż podskoczył. – Tu też byli...

Poszedł otworzyć szufladę w małej komódce pod oknem. Ale zauważył niebieskie zamszowe pudełko, które Rocco na niej postawił. Zajrzał do środka, uśmiechnął się gorzko.

– Znalezli.

– Co było w środku?

– Trzymaliśmy tam złoto.

– Złoto?

– Tak, parę drobiazgów. Zegarek, jakaś bransoletka, spinki do mankietów i broszka, którą moja matka podarowała Ester. Ładna, w kształcie pawia, z niebieskimi i zielonymi kamieniami. Należała jeszcze do mojej babci.

Usiadł na łóżku. Łzy ciekły mu ciurkiem po twarzy.

– Tak mało było warte życie mojej żony?

I tak nieźle, niech pan pomyśli, że życie mojej nie było warte nawet jednego euro. Cena naboju kaliber dziewięć – chciał mu odpowiedzieć Rocco, ale się powstrzymał.

– Zawsze miała pecha – ciągnął Patrizio, głaszcząc łóżko, jakby żona na nim ciągle spała. – W kółko ją bolał brzuch. Wie pan, jak to nazywałem? *Esterichia coli*. – Zaśmiał się cicho. – Tak, *Esterichia coli*... ale starczyło trochę pomasaować i przechodziło. Moim zdaniem miała to na tle nerwowym. – Otarł łzy. Spojrzał na Rocca. – Jestem wierzący, panie komisarzu, ale przysięgam, że od tej chwili koniec z tym. Gdzie był Bóg, jak zabijali moją żonę? Może pan mi powie?

Rocco był najmniej właściwą osobą, żeby odpowiedzieć na to pytanie.

– Proszę mnie odwieźć do matki. Już nie mogę... nie daję rady.

Od pół godziny Rocco siedział w poczekalni prokuratury, studiując sęki i słoje drewna na drzwiach do gabinetu prokuratora Baldiego. Z wielką uwagą, bo za każdym razem dostrzegał na nich inne kształty. Tego zimnego marcowego dnia wyskoczył mu delfin, potem pojawiła się róża, która jednak zbliżała się formą do karczocha. Gdyby popatrzył na nią od drugiej strony, rozpoznałby słonia z jednym uchem. Drzwi się otworzyły i cały ten fantastyczny drewniany ogród dziwów rozpląnął się, a zastąpił go widok twarzy prokuratora Baldiego.

– No proszę, Schiavone! Długo pan czeka?

Rocco wstał i uściśnął mu dłoń.

– Niech pan się rozgości.

Przed regalem z kodeksami prawnymi stał młody człowiek w garniturze i zbierał właśnie pękate teczki z aktami.

– Przedstawiam panu prokuratora Messinę. Aldo, to jest wicekwesor Schiavone, pracuje u nas zaledwie od paru miesięcy, a już ma na swoim koncie świetne wyniki. Prawda?

Messina musiał odłożyć stos papierów, żeby uściskać mu dłoń.

– Dużo o panu słyszałem – powiedział z wyraźnym naciskiem.

– I mimo to podaje mi pan rękę?

Messina uśmiechnął się.

– Tego się nie odmawia nikomu. Panowie wybaczą. – Wziął z powrotem teczki i wyszedł.

Pierwsze, co zauważył Rocco, to brak zdjęcia żony na biurku prokuratora. Poprzednim razem leżało odwrócone na blacie. Teraz zapewne spoczywało na dnie jakiejś szuflady. Zły znak. Małżeństwo prokuratora weszło w najgorszą fazę, poprzedzającą rozwód.

Szybkim ruchem dłoni Baldi poprawił sobie blond grzywkę i usiadł.

– No i co mi pan powie o tej sprawie z ulicy Brocherel?

– To zabójstwo, jestem pewien. Ester Baudo, tak się nazywa ofiara, została pobita i uduszona. Powieszenie jej wydaje mi się upozorowane. Pokój, w którym znaleźliśmy zwłoki, był ciemny, miał opuszczone rolety. Kiedy wszedłem i włączyłem światło, zrobiło się spięcie. To znaczyłoby, że kobieta powiesiła się po ciemku...

– Albo że po tym, jak się powiesiła, ktoś opuścił rolety. Dobrze mówię?

– Oczywiście.

– A pan jaki pogląd sobie wyrobił?

– Na razie żadnego, węższą dookoła.

Baldi przeciągnął się.

– I co, czym pachnie?

– Gównem, jak zawsze.

– Mąż?

– Przedstawiciel handlowy, branża: sprzęt sportowy. Ma czystą kartotekę, żadnych skarg, najwyżej parę mandatów. Ale w mieszkaniu doszło do włamania.

Prokurator w zadumie skinął głową.

– Zaskoczeni włamywacze, którzy potem urządzili całą tę scenę?

Rocco wzruszył ramionami.

– Czemu nie. Może narobili tego burdelu, żeby zmylić trop. Ale jest pewna rzecz, która mnie zastanawia.

– Słucham.

– A nawet dwie. Pierwsza: kuchnia wygląda, jakby przeszło przez nią tornado. Totalny bajzel. Ale w sypialni, gdzie znajdował się domowy skarbczyk i pudełko z biżuterią, bałaganu właściwie nie ma. Otworzyli ledwie parę szuflad.

– Tak jakby wiedzieli, gdzie szukać. No więc to wszystko w kuchni po co?

– No właśnie. Nie rozumiem. A druga rzecz: sędzę, że złodzieje już kiedyś byli w tym mieszkaniu.

– Skąd taki wniosek?

– Na drzwiach nie ma śladu włamania. Ani na oknach. Czyli albo pani Baudo ich znała i sama wpuściła, albo...

– Mieli klucze – dokończył Baldi, wstając z krzesła. Był hiperaktywny, nie mógł spokojnie usiedzieć w miejscu dłużej niż pięć minut. Podeszedł do okna i zaczął bębnić palcami w szybę. – Obawiam się, że będzie pan to musiał sam ogarnąć. Mam tu parę problemów.

Rocco zastanawiał się, czy ma to związek ze zdjęciem żony, schowanym do szuflady czy wręcz wyrzuconym do kosza. Baldi przestał bębnić, a zaczął gwizdać. Rocco rozpoznał arię torreadora z *Carmen Bizeta*.

– Wraz z policją skarbową i karabinierami zajmujemy się największą sprawą oszustw podatkowych, z jaką miałem do czynienia. Wszyscy dookoła unikają płacenia podatków, wie pan?

– Wyobrażam sobie. Ja, będąc na etacie, nie mam jak oszukiwać – odparł Rocco.

Baldi odwrócił się do niego i dodał z uśmiechem:

– Gdybyśmy wszyscy płacili podatki, presja fiskalna byłaby mniejsza. Pan to wie, ja to wiem, ale zdaje się, że Włosi nie chcą tego pojąć. Dziwny kraj, prawda?

Rocco szykował się na wysłuchanie kolejnych mądrości prokuratora Baldiego, który zawsze miał pod ręką cudowne rozwiązania kryzysów politycznych i gospodarczych kraju. Jego pomysły obejmowały kupienie za granicą ministrów, trochę na podobieństwo piłkarzy, żeby w rządzie mieć uczciwą, poważną i kompetentną ekipę, aż po likwidację banknotów, tak żeby wszystkie płatności były elektroniczne, a zatem łatwe do prześledzenia, co uniemożliwi zatajanie dochodów przed fiskusem.

– Dziwny i bardzo marnotrawny kraj – sprowokował go Rocco.

Baldiego nie trzeba było zachęcać.

– No właśnie. Dam panu przykład. Finansowanie partii. Teraz podstawą do przyznawania im funduszy są wyniki wyborów, prawda?

– Tak.

– Zasadniczo uważam to rozwiązanie za słuszne. Lepiej brać pieniądze publiczne niż od szemranych lobbystów. Ale proszę posłuchać, co jeszcze myślę.

– Wrócił na swoje miejsce. – Uważam, że posłowie, ministrowie czy sekretarze stanu nie powinni już pobierać pensji od państwa, bo to ewidentne marnowanie publicznego grosza. Nie. Posłowie, senatorowie i cała reszta powinni być opłacani przez swoje partie. Wtedy politycy będą dostawać właściwe wynagrodzenie. I jaka oszczędność dla państwa! Co pan na to? Świetny pomysł, prawda?

– Ale to by oznaczało całkowite poddanie się i przyznanie, że państwo jest

bez reszty w rękach partii.

– A co, nie jest tak? Posłowie, senatorowie, radni i urzędnicy już od dawna służą nie państwu, ale swoim partiom. No to niech one im płacą!

Rocco uniósł brwi.

– Muszę to przemyśleć.

– Tak, tak, niech pan to przemyśli. I proszę mi pomóc rozeznaczyć się w sprawie Ester Baudo. Zostawiam to w pana rękach. Już wiem, że można panu ufać.

Wzrok Baldiego się zmienił. W źrenicach zamigotały mu dziwne, złowrogie ogniki.

– Na pewno mogę panu zaufać. – Usta prokuratora wygięły się w fałszywy, groźny uśmiech. – A skoro zamierzam panu zaufać, chcę poznać pańską wersję.

– Czego?

– Tego, co stało się w Rzymie.

Szlag by go trafił, pomyślał Rocco, ale odrzekł spokojnie:

– Już pan wie, co się tam stało. Są raporty i teczki, na pewno wszystko pan przeczytał. Po co znowu to rozgrzebywać?

– Skrzywienie zawodowe. Chciałbym poznać pańską wersję. Po sześciu miesiącach pracy tutaj chyba już może mi pan powiedzieć, prawda?

– No dobra. – Rocco westchnął głęboko, poprawił się na krześle i zaczął: – Giorgio Borghetti Ansaldo, lat dwadzieścia dziewięć, ma przykrą wadę: lubi gwałcić dziewczynki. Śledzę go, zatrzymuję, ale nic mu nie można zrobić. Jego ojcem jest Fernando Borghetti Ansaldo, sekretarz stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Mógł pan widzieć jego zdjęcie w gazetach.

Baldi przytaknął w skupieniu.

– No więc Giorgio dalej folgował swoim zboczonym zamięlowaniom. Aż w końcu ciężko okaleczył Martę De Cesaris, lat szesnaście. Straciła wzrok w lewym oku i nawet sto lat terapii nie wróci światu tej pięknej, beztroskiej dziewczyny z liceum imienia Wergiliusza w Rzymie. Wkurwiam się, jadę do Giorgia i spuszczam mu niezłe manto.

– Co to znaczy?

– Biję go. Tak go zmasakrowałem, że do dziś chodzi o lasce. Ale nadal jest synem sekretarza stanu i ojciec zadbał, żebym za to zapłacił. Oto i cała historia.

Baldi znów przytaknął i spojrzał wicekwestorowi w oczy.

– Nie tego się oczekuje od stróża porządku.

– Wiem. Ale moja odpowiedź brzmi: mam to w dupie.

– Chyba umknęła panu subtelna, ale istotna różnica między policjantem a sędzią.

– Moja odpowiedź: jak wyżej.

– Dobrze. Dziękuję za szczerłość. Coś panu powiem. Proszę uważnie

posłuchać, bo powiem to tylko raz. Jeśli dalej będzie pan dobrze się sprawował jako policjant, nic panu tu nie grozi, ani z mojej strony, ani ze strony władz regionu. Ale jeśli wejdzie pan w moją sferę kompetencji, zamienię pana życie w koszmar, także tutaj, wśród gór. Tak skopię panu tyłek, że dostanie pan hemoroidów. Do widzenia. – I Baldi zaczął przeglądać leżące przed nim papiery.

Rocco pożegnał się i wyszedł z gabinetu, myśląc, że miejsce chorego na cyklofrenię powinno być nie w prokuraturze, ale w zacisznym domu, gdzie można faszerować się prochami i leczniczo uprawiać długie medytacyjne spacery.

Zapałał wieczór. Rocco szedł, mając niejasne poczucie, że o czymś zapomniał. O czymś ważnym, podstawowym. Zapalił papierosa i zaczął przypominać sobie po kolei wszystkie zdarzenia minionego dnia. Pomyślał o Ester Baudo, o jej mężu, o rozbebeszonym mieszkaniu, o Irinie i emerytowanym wojskowym. Nic. Na próżno przegrzewał neurony. Postanowił wstąpić na kawę do baru przy placu Chanoux. Może tam sobie coś przypomni.

W środku było miło, ciepło, przy stolikach siedziało mnóstwo ludzi. Gadali w języku, którego Rocco nie był w stanie zrozumieć.

Rzucił spojrzenie w stronę Uga, który właśnie nalewał klientowi tonik do ginu. W odpowiedzi Ugo wskazał głową na wolne miejsce. Przy szybie, ulubione miejsce Rocca.

Usiadł, a Ugo zaraz do niego podszedł.

– Przepraszam, ale mamy dziś niezły młyn. W piątki zawsze tak jest. Co podać?

– Przedłużone espresso.

– Jeśli pan sobie życzy, przyniosę boskie Blanc de Morgex.

Rocco chwilę się zastanawiał. Patrząc na usta Uga i wdychając alkoholowe opary lokalu, uznał, że warto spróbować. Ugo, zadowolony, jakby ktoś go skomplementował, wrócił za bar. Rocco rozejrzał się wokół. Obok niego dwaj studenci rozmawiali szeptem, obejmując dłońmi szklanki z piwem i patrząc sobie w oczy. Po prawej stronie siedziały dwie kobiety. Blondynki, z krótkimi włosami, prosto od fryzjera, piły już po trzecim kieliszku czerwonego wina.

Eleganckie, beztroskie, roześmiane, obie po pięćdziesiątce. Mówiły po włosku i Rocco mógł uchwycić strzępy ich rozmowy.

Ta z niebieskimi oczami mówiła:

– Powiem ci wprost: dobrze robisz. Jest przystojny i cię kocha. – Uniosła kieliszek i wypiła łyk wina. – Plus podstawowa sprawa: jest bogaty. Wiesz, co zawsze powtarzała moja matka?

– Nie. Co takiego?

Ściszyła głos, ale Rocco i tak usłyszał.

– Kiedy cycki nie sterczą w stronę gwiazd, tylko zwisają ku stopom, dobrze, żeby to były stopy w drogich butach!

Wybuchły śmiechem i znów wypili. Rocco też się roześmiał i w tej właśnie chwili przypomniało mu się to, czego tak bezskutecznie szukał w pamięci, idąc do baru: Nora!

Otworzył drzwi gabinetu inspektor Rispoli.

– Tylko proszę o pozytywną wiadomość!

Caterina siedziała przy komputerze. Poderwała się z miejsca.

– W jakiej sprawie, szefie?

– Prezent.

Uśmiechnęła się, otworzyła szufladę i wyciągnęła czasopismo.

– Niech pan spojrzy tutaj.

Rocco złapał tygodnik. Zobaczył logo hotelu w Chamonix, we Francji. Oraz zdjęcia basenu i półnagiej dziewczyny na łóżku, której Azjatka robiła masaż.

– Co to?

– Trzy dni totalnego relaksu w romantycznym hotelu Aiguille du Midi... ajurwedyjskie kuracje upiększające, masaże shiatsu, trzy ogrzewane baseny, koloroterapia, a wokół wspaniała panorama Alp.

– Gadasz jak akwizytorka. – Odłożył czasopismo. – I to miałbym jej sprezentować?

– To romantyczny hotel. Trzy piękne dni, na pewno będzie uszczęśliwiona, szefie.

– Nie mam trzech dni.

– Długi weekend.

– Dzięki, Caterina, ale to zbyt zobowiązujące. Za bardzo, uwierz mi. Kurde, już szósta, a ja ciągle jestem w punkcie wyjścia.

Caterina pokiwała głową.

– Co myślisz o butach?

Skrzywiła się.

– Mówi pan to w taki sposób, że wygląda to na awaryjne rozwiązanie.

– Ale nie całkiem zwyczajne. Powiedz mi jak kobieta mężczyźnie: jakie buty kobieta chciałaby mieć za wszelką cenę?

– Według mnie? Od Prady. Jimmy Choo i Manolo Blahnik też są niczego sobie. Ale trzeba je przymierzyć. Zna pan chociaż jej numer?

– Trzydzieści osiem.

– Jest pan pewien? Uwaga, z butami nie jest tak prosto, są połówki numerów, szerokie i wąskie podeszwy, w ogóle...

– Najwyżej je wymieni. Powiedz mi, gdzie jest jakiś sklep w Aoście.

– W centrum, inaczej pan nie zdąży.

– Nie zdążymy. Wkładaj kurtkę i chodź ze mną.

Caterina okrążyła biurko.

– Ale D'Intino i Deruta niedługo idą na obserwację i powinnam...

- Poradzą sobie bez ciebie.
- No i mam do przejrzenia protokoły przesłuchań sąsiadów Ester Baudo.
- Nie teraz, Cateri, nie teraz, bo nam zamkną sklep!

Inspektor Caterina Rispoli i wicekwestor Rocco Schiavone przemierzali w pośpiechu uroczą ulicę de Tillier w centrum Aosty, pełną sklepów i knajpek. Niektórzy przechodnie spoglądali na nich z niepokojem, sądząc, że coś się stało.

- Gdzie jest ten sklep, Cateri?
- Już prawie dotarliśmy.

Wyminęli parę wychodzącą z pubu, przed którym wisiała irlandzka flaga, obok innych, zielonych, z celtycką harfą. I o mało nie potrącili ubranego w kubraczek w szkocką kratę yorkshire'a, który zaczął ujadać.

- Nie mogliśmy tu podjechać samochodem?
- To strefa dla pieszych, szefie.
- Ale jesteśmy z policji, może to coś znaczy?

Wtem Rocco zatrzymał się przed jakimś sklepem.

- Szefie, to nie ten.

Ale on jakby jej nie słyszał.

- Zaczekaj, zaraz wracam. – Ruszył do drzwi butiku Tomei z modą męską.

Sklep urządzony był w stylu angielskim: na ścianach kraciasta tapeta, stylizowana na tartan, obrazy ze scenami gry w golfa i polowania na lisy, sprzęt do krykieta oraz – oczywiście – flaga brytyjska za kasą. Sprzedawano tu tweedowe marynarki i kaszmirowe swetry ułożone kolorami na drewnianych konsolach. Na zielonej wykładzinie stały buty Church's, w głębi lokalu wieszak z kurtkami Burberry. Do Rocca podszedł mężczyzna w garniturze i krawacie. Zachowywał się tak, jakby był przekonany, że jest podobny do kogoś z rodu Spencerów. Zdaniem Rocca przypominał raczej nocnego portiera w dwugwiazdkowym hoteliku.

- Mogę czymś służyć? – zapytał udawany lord, składając dłonie.
- Chyba tak. Chcę zobaczyć wasze torby.

Facet wydawał się nie rozumieć.

- Jak to: torby?
- Te, których używacie do pakowania rzeczy dla klientów.
- Ach, torby firmowe. Nie sprzedajemy ich.
- Nie zamierzam ich kupować. Chcę je obejrzeć.
- To dziwna prośba, nie sądzi pan?

– Jasne, mister, ale tak się składa, że jestem wicekwestorem z komendy w Aostie i prowadzę śledztwo.

- Policja?
- Tak jakby. Wicekwestor to ktoś, kto pracuje w policji.

Mężczyzna, najpewniej właściciel, wzdrygnął się.

- O rany, no tak, tak, oczywiście, proszę za mną.

Błyskawicznie podszedł do kasy. Schylił się i wyjął dwie ładne czerwone torby, dość duże, żeby zmieścił się sweter.

– Nie, mniejsze, najmniejsze, jakie macie.

Tamten znów się schylił, pogrzebał chwilę i wyjął następną. Czarną, ze sznurkowymi rączkami i z logo – nazwisko „Tomei” okolone liśćmi lauru.

– Taka?

– Właśnie taka! Proszę się teraz skupić. To może się okazać dla mnie bardzo pomocne.

– Jasne, słucham. – Pan Tomei z uwagą skierował na Rocca swoje bladobłękitne oczy.

– Wczoraj albo w ostatnich dniach przyszła tutaj pewna kobieta, może pan ją zna. Ester Baudo. Około trzydziestu pięciu lat, kręcone włosy.

Właściciel sklepu wznosił oczy do nieba.

– Nie, nie pamiętam. Kobieta, mówi pan?

– Tak.

– Gdyby pan miał zdjęcie...

– Proszę sobie przypomnieć.

– Tak na poczekaniu sobie nie przypomnę, zresztą w sklepie pracuję nie tylko ja. Co jakiś czas zmienia mnie żona albo syn... rano mamy ekspedientkę *part time*. – Wymówił te słowa, zaokrąglając „r” i robiąc przydech przed „t”, żeby podkreślić swoje wyśmienite opanowanie angielszczyzny.

– Zostawię panu numer mojego *mobajl* – odpowiedział Rocco, unosząc brwi.

– Dobrze.

– Zapiszę tutaj. – Rocco podszedł do laminowanego stołu, na którym stała kasa, terminal płatniczy i dwa kosze pełne skarpetek z cienkiej bawełny. Rocco już prawie był gotów kupić jedną parę, ale dwadzieścia trzy euro uznał za zbyt wygórowaną cenę. Na byle straganie trzy pary kosztowały dziesięć euro. Oczywiście nie były z tak dobrej bawełny czy kaszmiru, ale przy jego clarksach i tak żadne skarpetki długo by nie wytrzymały. Zapisał numer i odwrócił się do właściciela. – Każę przysłać panu zdjęcie osoby, o którą mi chodzi.

– Dobrze. Pokażę żonie, synowi i ekspedientce *part time*. – Znów ta sama nienaganna wymowa.

– Tak z ciekawości, jakie rzeczy pakujecie do tych małych torebek?

Pan Tomei obrócił torebkę w dłoniach.

– Może być krawat albo szelki. Albo skarpetki. Albo jeśli ktoś nosi buty Church's, to zapasowe sznurowadła. Nic innego nie przychodzi mi do głowy. O, jeszcze coś. Spinki do mankietów. Mosiężne spinki, widzi pan, takie jak na wystawie. – Wskazał małą gablotkę pełną błyszczących guziczków. – To repliki wszystkich flag marynarki angielskiej. Emaliowany mosiądz, chce pan obejrzyć?

– Nie, ale proszę koniecznie zadzwonić, jeśli coś się panu przypomnia.

– Dziś już zaraz zamykamy. Jutro mamy otwarte tylko przez pół dnia. Świętujemy, wie pan.

– Jakie święto?

– Moja żona jest Irlandką, a jutro jest siedemnasty marca.

– Nadal nie rozumiem.

– *Saint Patrick's Day*. – Pan Tomei znów popisał się doskonałą wymową.

– Aha, to dlatego puby w centrum mają irlandzkie flagi.

– Tak, nawet we Włoszech to już jest święto. Wie pan dlaczego? Bo to pretekst, żeby się napić, nic innego. – Zaśmiał się pod nosem.

– A przy okazji, czy sprzedajecie buty damskie?

– Nie, wyłącznie odzież męską *made in England*.

– No jasne, dziękuję. – Rocco wyszedł ze sklepu.

Caterina czekała na zewnątrz, nerwowo spoglądając na zegarek.

– Był pan tam całą wieczność.

– Wiem, wiem – powiedział Rocco, szybkim krokiem ruszając za nią. – Ale znasz mnie, mam skłonność mieszać obowiązki z przyjemnością.

– Co jest obowiązkiem, a co przyjemnością?

– Obowiązkiem jest moja praca i kupienie butów dla Nory.

– A przyjemnością?

– Robić to z tobą.

Caterina zarumieniła się, ale Rocco tego nie zauważył, bo szedł pół metra za nią.

Zapukał do drzwi Nory, trzymając pod prawą pachą pudełko przewiązane wstążką, a w lewej ręce dwie butelki Blanc de Morgex. Wino to drobiazg, ale buty kosztowały całą jego premię. Nora otworzyła uśmiechnięta.

– Kochanie... – Pocałowała go w usta. Smakowały tytoniem i cukrem. – Przyszedłeś.

– No, daru obserwacji nie mogę ci odmówić. – Od razu wręczył jej prezent. – To dla ciebie.

Nareszcie się uwolnił od tego ciężaru.

Norze zaświeciły się oczy. Duże ładne pudełko, ciekawe, co było w środku.

– Co tam jest? Stołowy odkurzacz do okruszków? – Zaśmiała się.

– Żelazko.

– Za lekkie.

– Z włókna węglowego. Mogę wejść czy będziemy świętować na klatce schodowej?

Nora przepuściła go, znów go pocałowała i wreszcie wszedł do mieszkania. Podczas gdy ona niecierpliwie rozpakowywała prezent, Rocco odstawił butelki i zdjął płaszcz.

– Wiesz, Rocco, jest nawet ktoś, kogo znasz. Myślałam, że będzie ci miło,

jak go spotkasz.

– Kto to?

– Twój komendant.

Rocco wybałuszył oczy.

– Zaprosiłaś Costę?

– Tak. Kupił u mnie suknię ślubną dla swojej córki. Wydawało mi się...

O Matko Boska! Jimmy Choo? – zapiszczała. Natychmiast siadła na krzeselku w przedpokoju i otworzyła pudełko.

Caterina wybrała parę odkrytych szpilek w kolorze śliwkowym, eleganckich, na dwunastocentymetrowym obcasie, które według niej były szczytem seksowności i szyku.

– Boże mój, jakie one piękne. – Nora szybko zdjęła swoje buty i włożyła nowe. Obejrzała się w lustrze, zrobiła dwa kroki. – Kochanie, są cudowne.

Pasowały do niej: noga wyglądała jeszcze zgrabniej. Wydawało się, że dzięki nim zyskiwał nawet kształt pośladków.

– Jak się w nich czujesz?

– Idealnie pasują, mój numer. Chcesz znać prawdę? Założyłam się z koleżanką i wygrałam. Chodź do gości.

Stukając obcasami nowych butów, poprowadziła Rocca do salonu.

Goście pili aperitif. Z dwóch wiaderek wystawały butelki szampana, obok stały butelki aperolu i toniku oraz tace tartinek z kawiosem i łososiem, na osobnym stoliku leżał kawał hiszpańskiej szynki wraz z nożem do krojenia. W tle rozbrzmiewała łagodna muzyka lounge, taka jak w windach albo jak na lotnisku w poczekalniach dla klasy biznes.

– Przedstawiam wam Rocca.

Spojrzał na grono gości i szybko ich policzył. Trzech mężczyzn i cztery kobiety. Komendanta Costy wśród nich nie było. Ścisnął dłonie, od razu zapominając imię osoby, a tymczasem Nora podeszła do Anny, czterdziestolatki w świetnej formie, z drapieżnymi oczyma, szczupłymi nogami i obfitym jasnym biustem wylaniającym się z dekoltu czarnej bluzki.

– No i co powiesz? – spytała, wskazując na buty.

– Ho, ho, wspaniale – odrzekła Anna.

– Wygrałam zakład! – zawołała Nora, po czym zwróciła się do Rocca:

– Anna była przekonana, że podarujesz mi weekend w spa. Ja twierdziłam, że na pewno sprawisz się lepiej.

Rocco uśmiechnął się szelmowsko.

– Spa, masaże? To nie byłby wcale zły pomysł... – powiedział ironicznie.

– Twoja przyjaciółka nie ma o mnie dobrego zdania.

– A powinnam mieć dobre? – spytała Anna, mrugając okiem i krzyżując nogi w czarnych pończochach.

Wyzywający uśmiezek i lekko opuszczone powieki pokryte cieniem, który jeszcze powiększał jej zabójcze oczy – przeszył go dreszcz. Miał ochotę rzucić ją natychmiast na podłogę i godzinami całować i lizać jej ciało. Ale te obrazy wyuzdanego i jakże przewidywalnego seksu ulotniły się, gdy poczuł na ramieniu czyjąś dłoń.

– Schiavone!

Odwrócił się. Komendant Andrea Costa. Z uśmiechem spoglądał na niego przez tytanowe okulary.

– Jakże się cieszę, że pana widzę.

Uścisnęli sobie ręce.

– Wiem, że to impreza urodzinowa. Ale może potem, przy kolacji, naświetli mi pan, co się stało. Dzięki temu nie będę pana jutro prześladował.

– Oczywiście.

Rocco rzucił gniewne spojrzenie Norze, która odpowiedziała mu uśmiechem, odsłaniając lśniące niczym perły zęby.

– Potem idziemy wszyscy na kolację do nowej restauracji w centrum – oznajmiła. – Zadowolony, Rocco?

– Szalenie, Noro, szalenie – odparł ponuro.

Właśnie zrozumiał, że nie obejrzy nawet drugiej połowy meczu Roma–Inter. Mógł już tylko liczyć na późniejsze powtórki najważniejszych akcji.

Zawsze się denerwował, gdy musiał siedzieć za stołem dłużej niż godzinę. Czuł wtedy zimne dreszcze na przemian z falami gorąca.

Powolną obsługę w restauracjach zaliczał do upierdliwości siódmego stopnia. Ale w tej nowej knajpie obsługa nie była tak po prostu powolna. Praktycznie stała w miejscu. O wpół do jedenastej, po ponad dwóch wyczerpujących godzinach, jeszcze nie skończyli drugiego dania.

Anna siedziała po drugiej stronie stołu i przez cały wieczór w ogóle na niego nie patrzyła. Tylko raz, gdy wyjaśniał komendantowi szczegóły sprawy biednej Ester Baudo i zerknął na Annę, dostrzegł, że natychmiast odwróciła spojrzenie, udając zaciekawioną tym, co akurat nadawał jej Pietro Bucci coś tam, architekt wewnątrz. Mam cię! – pomyślał Rocco. Trzeba było jeszcze poczekać na kawę i na ostatni akt, czyli deser. Kiedy podszedł kelner, żeby zabrać talerze, Rocco chwycił go za rękę.

– Słuchaj pan, za ile będzie kawa?

– Już niosą – zapewnił go kelner.

– Zobaczymy, o której przyniosą – zakpił Rocco, puszczając go.

Już nie wyrabiał. Był u kresu sił. Mdlilo go, miał obolały od siedzenia tyłek. Komendant martwił się, co powiedzieć „gazeciarzom”, jak nazywał znienawidzonych przedstawicieli prasy. Zaczął marudzić jak zwykle.

– Niech mi pan doradzi, Schiavone, coś muszę im jutro powiedzieć, nie?

Rocco uśmiechnął się.

– Ale pan przecież potrafi tych z prasy okręcić sobie wokół palca – odrzekł.

I podczas gdy komendant szkicował w punktach wystąpienie na jutrzejszą konferencję prasową, Rocco postanowił zmierzyć się z mrozem, żeby zapalić. Koniecznie potrzebował przerwy.

– Idę na papierosa – szepnął do Nory.

Kiedy wstawał, wpadł mu do głowy genialny pomysł, jak się wywinąć z tej upierdliwej sytuacji i ocalić wieczór. Dotknął kieszeni, komórka była na swoim miejscu.

– Przy okazji – zatrzymał go komendant – przewodniczący rady regionu potrzebuje naszej pomocy. Pod koniec kwietnia organizuje kolarski wyścig amatorów, nazywa się to... już nie pamiętam... coś jak Aosta–Saint Vincent–Aosta. Potem podam panu szczegóły. Musimy być do dyspozycji.

– Oczywiście, panie komendancie, oczywiście – przytaknął Rocco i z paczką papierosów w garści oddalił się od stolika.

Wrócił do lokalu i dotarł na swoje miejsce dokładnie w chwili, kiedy zgasło światło. Nadszedł czas na deser. Anna wybrała ulubione przez Norę tiramisu. Wielki blok mascarpone, bitej śmietany, czekolady i biszkoptów, który załatwiłby nawet bizona. Rocco skubnął trochę z talerzyka, ale takiej bomby kalorycznej nie zdołałby już zmieścić. Dziwił się, jak to możliwe, że znajomi Nory, ludzie szczupli i zgrabni, nie dość, że zmiotli pierwsze danie i drugie, a potem ser i owoce, to jeszcze byli w stanie przełknąć deser. Może życie w tych skrajnie niskich temperaturach ukształtowało ich żołądki i metabolizm tak, że spalali kalorie jak nowoczesny kominek szczapy drewna. Nora zdmuchnęła świece. Oklaski, chóralne sto lat.

W tym momencie zadzwoniła jego komórka.

– Przepraszam – powiedział, w duchu gratulując sobie pomysłu. Italo Pierron, z którym pogadał, paląc na dworze camela, wiedział dokładnie, kiedy ma zadzwonić.

– Jasny gwint, to z biura! – rzucił, patrząc na wyświetlacz. Nora z łyżeczką przy ustach spojrzała na niego.

– Słucham, Italo, co jest?

Ale to nie był Italo. Dzwoniła Caterina.

– Szefie, przepraszam, że przeszkadzam w imprezie, ale Deruta i D’Intino...

– Co nawyrabiali?

– D’Intino jest w szpitalu. Deruta u nas na komendzie.

– Co się stało?

– Wdali się w bójkę.

Rocco pokiwał głową i rozłączył się. Bezradnie rozłożył ramiona.

– Przykro mi... – zwrócił się do Nory i nagle całe towarzystwo przy stole

ucichło. – Jednego z moich ludzi zabrali do szpitala z obrażeniami, drugi jest w szoku.

Komendant od razu zareagował.

– O co chodzi?

– Dwaj moi najlepsi ludzie. Obserwacja w sprawie handlu heroiną. Coś musiało pójść nie tak.

– Ale to niemożliwe – jęknęła płaczącym głosem Nora.

Costa poklepał ją po nodze, jakby chciał jej dodać otuchy i powiedzieć coś w rodzaju: „Policjanci mają nielekką, proszę pani”. Ale uważne oko dostrzegłoby, że ręka komendanta zatrzymała się na kolanie Nory o wiele dłużej, niż wymagałby tego gest pocieszenia. Reszta gości patrzyła na Rocca, kręcąc smutno głowami, ale nie przestając pochłaniać deseru. Wszyscy poza Anną, wciąż lekko uśmiechniętą, która zdawała się mówić: „Tylko bez jaj, znam cię dobrze”. Rocco obiecał sobie, że z tą jedną jeszcze sobie pogada.

– Wybaczcie, muszę jechać.

– Rocco, zajrzesz do mnie potem? – zapytała go szeptem Nora.

– Nie wiem, co się stało. Postaram się, uwierz mi.

– Nie wierzę.

– Przyszedłem na aperitif, prawda?

– Zadzwoń, nawet późno. Pamiętaj, że dziś moje zachcianki to polecenie. Jestem królową tego dnia i masz być mi posłuszny.

– A ty pamiętaj, że jestem policjantem na służbie republiki i nie uznaję żadnej monarchii. – Pożegnał wszystkich uśmiechem.

– Schiavone, tylko niech pan nie zapomni – odezwał się Costa.

– O czym?

– O wyścigu Aosta–Saint Vincent–Aosta. Tym z regionu bardzo zależy.

– Zapisane, szefie, ma pan to jak w banku.

Odwrócił się gwałtownie w stronę wyjścia i wpadł na kelnera, który wreszcie niósł kawę. Taca i filiżanki poleciały na podłogę.

– Nie szkodzi, proszę pana. Zaraz zrobię nowe.

– Biorąc pod uwagę twoje tempo, powinieneś już raczej szykować cappuccino i rogaliki na śniadanie.

Minęła już jedenasta. Przed jego biurkiem siedział chłopak, mniej więcej dwudziestoletni, z pryszczatą twarzą, leniwie żujący gumę. To ten, którego Derucie udało się złapać podczas obserwacji. Drugi, jego współnik, po rozwaleniu nosa posterunkowemu D’Intino zwał i rozplynał się w zaułkach przy dworcu. Dwudziestolatek miał zmęczoną, tępą twarz przeżuwacza. Rocco przyglądał mu się w milczeniu. Bezustanne ruchy mięśni twarzy i odgłos mlaskania drażniły go, a był już wystarczająco zdenerwowany tym gównianym dniem, który nie chciał się skończyć.

Mniam-mlask, mniam-mlask, mniam-mlask – pracowały szczęki chłopaka. Łeb miał wygolony, z wyjątkiem pasma włosów postawionych na żel wedle mody dyktowanej przez piłkarzy. Przedłużającą się ciszę zakłócał tylko z rzadka odgłos przejeżdżającego samochodu. Rocco obserwował czerwone usta chłopaka. Zacisnął dłonie oparte na biurku.

– Zrób coś dla mnie – odezwał się wreszcie, przerywając ciszę. – Wypluj tę gumę albo zaraz będziesz musiał ją połknąć.

Chłopak spojrział na niego tępo, nie przestając żuć, mimo że Italo Pierron już wyciągnął chusteczkę, gotów zabrać lepką kulkę. Rocco wstał i podszedł do okna. Płatki śniegu opadały powoli. Dotknął szyby. Była lodowata. Westchnął cicho i boleśnie i odwrócił się do młodego dilerka. Odgłos żucia nadal wypełniał pokój. Italo już miał coś powiedzieć, ale Rocco zatrzymał go ruchem dłoni. Zbliżył się do chłopaka.

– Dobra, Righetti, wstawaj. – Nie rozumiejąc za bardzo, o co chodzi, tamten wstał. Rocco patrzył mu prosto w oczy. – Postarajmy się skierować nasz dialog na tory wzajemnego szacunku, dobra?

Potem błyskawicznie wymierzył mu cios w brzuch, od którego chłopak zgiął się wpół. Musiał usiąść, żeby złapać oddech. Oczy mu załśniły z wściekłości i bólu. Fabio Righetti połknął gumę.

– No i sam widzisz. Po co to było? – skwitował Rocco, wracając za biurko. – No więc, Fabio Righetti, urodzony w Aoście dwudziestego czwartego lipca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego roku... Twardziel z ciebie, co nie?

Chłopak nie odpowiadał. Trzymał się za brzuch i próbował oddychać.

– Podsumujmy. Moi ludzie zatrzymali cię, jak sprzedawaliście kilka torebek. Koka.

Fabio Righetti milczał.

Rocco mówił dalej:

– Twój kumpel przywalił z bańki posterunkowemu i rozwalił mu nos, po czym uciekł. Ale ty jesteś gruby i niezdarny, więc dorwał cię Deruta, sto trzydzieści kilo żywej wagi, z początkami odmy płucnej... to nie przynosi ci zaszczytu.

Na twarzy Pierrona pojawił się półuśmiezek.

– Miałeś przy sobie cztery torebki koki, za co zaraz trafisz do paki – oznajmił. Nic z tego, chłopak był twardy, milczał. – Nie chcesz powiedzieć, od kogo ją dostałeś, prawda?

Pierron podszedł do chłopaka.

– No weź się do kupy, Fabio. Jeśli powiesz wicekwestorowi parę rzeczy, to potem ci pomożemy.

Wreszcie chłopak przemówił:

– Spierdalajcie.

Konwencja ojcowskich napomnień nie zadziałała. Rocco to przewidywał, ale w duchu pochwalił Italo, że spróbował takiej drogi.

– Słuchaj, Italo, Righetti to twardziel i nic nam nie powie, prawda?

Diler zamienił się w słup soli. Rocco obejrzał sobie rękę, którą uderzył chłopaka w brzuch, po czym otworzył szufladę. W środku leżało sześć gotowych do zapalenia skrętów. Potrzebował ich, bo inaczej przesłuchanie do niczego nie doprowadzi.

– Pozwolisz, Pierron?

Italo skinął głową. Rocco zapalił jednego. Fabio Righetti wybałuszył oczy, kiedy Schiavone zaciągnął się głęboko, na parę sekund zatrzymał dym w płucach, po czym wypuścił go, przymykając powieki.

– Przygotowuję sobie zawsze kilka na zapas maszynką, nie jestem dobry w skręcaniu palcami.

Diler się zaśmiał.

– No coś ty, jarasz trawę?

– Od kiedy jesteśmy na ty?

– Pali pan trawę? – poprawił się Righetti.

Próbował roztaczać aurę gangstera z blokowiska, ale pomimo swojego czuba na głowie i wytatuowanego węża, który wystawał mu zza kołnierza, był w głębi duszy grzecznym chłopcem. Rocco to wyczuwał.

Wsadził skręta do ust i spojrzał w leżące na biurku notatki.

– Do której klasy wytrzymałeś w szkole?

Righetti był wyraźnie zdezorientowany.

– Do drugiej licealnej... – odparł niepewnie, zastanawiając się, o co może teraz chodzić policjantowi.

– W takim razie nigdy się o nim nie uczyłeś... słyszałeś o Heglu?

– Środkowy napastnik?

– Nie, tamten nazywał się Hagen i był obrońcą, grał nawet w kadrze norweskiej. Mnie chodzi o Hegla, filozofa. Ale co ty możesz o nim wiedzieć? No więc ten facet mówił, że gazeta zastępuje nowoczesnemu człowiekowi poranną modlitwę. Rozumiesz? Wierzący człowiek rano modli się do Boga, a ten, kto nie wierzy, czyta gazetę. Dla mnie modlitwą jest to. – Znów głęboko się zaciągnął.

– Jeśli sobie rano nie zapalę, potem jestem niespokojny, nie myślę jasno i łatwo się wkurzam. Wieczorem skręt też często mi pomaga.

Fabio skwitował to głupawym uśmiechem.

– A ty masz jakąś swoją świecką modlitwę?

– Francesca – odrzekł chłopak po chwili namysłu.

– Kto to?

– Moja dziewczyna.

– Super. Siedziałeś kiedyś w więzieniu?

Fabio tylko pokręcił głową.

– No to warto, żebym cię nieco oświecił w tej sprawie. W więzieniu siedzi sporo wrednych ludzi, ktoś taki jak ty mógłby stać się obiektem porannej modlitwy dla dwumetrowego typu ważącego ponad sto kilo. Ale nie takiego jak Deruta, czyli ten policjant, który cię zwinął. Mam na myśli sto kilo mięśni, dwadzieścia lat wyroku za zabójstwo... faceta, który nie widział kobiety od trzech lat. Wiesz, to wcale nie jest fajne. Ładniutki jesteś, masz tylko parę pryszczki, robią ci się od tego, co zresz, mógłbyś już przestać. Ale za kratami będziesz Miss Italia, uwierz mi. – Rocco zgasił skręta w popielniczce. – Wiem, że nie możesz mi podać nazwisk, bo skończysz w jakimś rowie z rozprutym brzuchem jak młody koziołek na wielkanoc. Nie muszę znać nazwisk ludzi, od których brałeś towar. Ale nazwisko tego twojego kumpla, który uderzył mojego człowieka, owszem. Umówmy się tak: zgarniemy go, obydwu was trochę pomęczymy i jeśli nie zrobicie żadnej głupoty przez najbliższe parę lat, może uda wam się dalej żyć normalnie.

– Nie znam tego, co był ze mną. To pierwszy raz.

– A ja jestem weteranem pierwszej wojny światowej.

– Naprawdę? – zapytał diler całkiem serio.

Rocco zobaczył, jak Italo rozkłada ramiona.

– Późno już, mam dosyć, idę spać. Pierron, zaprowadź go do izby zatrzymań, jutro zadzwonimy do prokuratury. Szybki proces i idziesz za kraty. Pozdrów Francescę, jak przyjdzie z pomarańczami na widzenie. Powiedz jej, żeby przy okazji wzięła ci wazelinę. Pomaga.

Wychodząc z komendy, spotkał Scipioniego.

– Jedzie szef do szpitala zobaczyć D'Intina?

– Ani mi się śni. Idę spać. Która jest?

– Prawie północ.

Ciężko zaklął. Nie zdąży już nawet na podsumowanie meczu i skrót akcji.

– Wiesz chociaż, jaki był wynik?

– Dwa zero dla Interu.

– No to super. Trzymaj się, do jutra.

– Do widzenia, szefie. Jeśli coś mogę radzić, to niech szef zmieni drużynę.

W życiu trzeba mieć czasem jakieś przyjemności.

– Mam zrobić jak ty i kibicować Juve?

– Jakiemu znów Juve, kibicuję Palermo.

– To musiałbym najpierw przejść psychoanalizę. Dobranoc, Scipioni.

– *Wiesz, co sobie myślę? – mówię do Mariny od progę. Nie mam pojęcia, w którym jest pokoju. Gdzieś w domu, to pewne. – A gdybym tak zostawił to mieszkanie i przeniósł się do hotelu? Nie byłoby lepiej?*

– *Nigdy nie lubiłeś hoteli. Nie znosiłeś ich.*

To prawda. Zawsze się boję, że kiedy chodzę po pokoju nagi albo w samych

gaciach, zaraz wparuje ktoś z odkurzaczem. W hotelach nie ma prywatności. Wszystko o tobie wiedzą. O której się budzisz, jaką kawę pijesz i kto do ciebie dzwoni.

Zamarzam. Zdejmuję marynarkę, sweter, flanelową koszulę i trzęsę się z zimna. Przeniknęło mi do środka to cholerne zimno, nie jestem w stanie pozbyć się go z kości. Nie da się żyć w marcu, kiedy jest śnieg.

– Nie da się żyć w marcu, kiedy jest śnieg – mówię do Mariny, która zjawia się w drzwiach. – W Aości już tak jest. Chyba nawet w maju potrafi tu padać.

Ma w dłoni swój notes. Ciągłe szuka nowych słów. Wynajduje je w słowniku albo w książkach, zapisuje i uczy się ich na pamięć. Kiedyś zajrzałem do tego notesu. Brakowało połowy kartek. Myślę, że wrywa je codziennie, jak z kalendarza.

– Chcesz wiedzieć, jakie jest słowo na dziś?

– No powiedz.

Podbiega na bosaka do łóżka. Zawsze tak robi. Chodzi ledwo ubrana po domu, a kiedy przemarznie, szybko wskakuje pod kołdrę. Mówi, że to jej wtedy sprawia większą przyjemność.

– Słowo na dziś to „hemiplegia”. Częściowy paraliż lewej albo prawej strony ciała.

– Paraliż?

– Tak, fizyczny. Albo duchowy.

– Jestem hemiplegikiem?

Nie odpowiada. Kładzie notes na komódce, podciąga kołdrę aż pod brodę i mówi „brrr”, ale z roześmianymi oczami. Teraz kolej na mnie. Wiem, że będzie wkurzona, chociaż tylko na niby. Wślizguję się pod kołdrę.

No i oczywiście się wkurza.

– Śmierdzisz papierochami. – Stara się mnie odsunąć. Ale ja się jeszcze mocniej przytulam.

– No weź chociaż prysznic.

Ani mi się śni, kim jest, żeby mi rozkazywać? Nie ruszam się, obejmuję ją. Zawsze jest tak samo. Kiedy kładziemy się do łóżka, ona jest zimna, a ja ciepły. Potem, w nocy, kradnie mi całe ciepło i zostawia mnie zmarzniętego i samotnego na mojej połowie łóżka. Rano ona jest ciepła, a ja nie. Jeśli próbuję ją objąć, żeby się ogrzać, odwraca się i coś mamrocze. Zawsze chce mi się śmiać. Marina jest zazdrosna o swoje ciepło.

Zawsze taka była.

Ja nie jestem zazdrosny o swoje. Oddałbym jej całe.

Oddałbym wszystko, żeby znów ją objąć. Choćby jeden raz. Jeszcze jeden raz i koniec.

Sobota

D'Intino leżał na łóżku w pokoju numer trzy na oddziale urazowym szpitala imienia Umberta Pariniego. Nos miał cały zabandażowany, na czole po prawej stronie straszyla rana, podkreślona jeszcze przez jodynę. Zamknięte oczy, powolny oddech. Lekarz dyżurny zaprowadził Rocca do pacjenta.

– Złamanie nosa i kilku żeber – powiedział.

Rocco patrzył na D'Intina. Zdziwił się, że odczuwa wobec niego coś, co niebezpiecznie przypomina litość. Aż do poprzedniego dnia marzył o tym, żeby wysłać go do jakiejś komendy na dalekim południu. Teraz, kiedy D'Intino leżał bezbronny w szpitalnym łóżku, prawie go wzruszał.

– Ile musi tu zostać, panie doktorze?

– Potrzymano go parę dni, potem rekonwalescencja w domu. Żebra muszą się zrosnąć.

D'Intino otworzył oczy.

– Panie wicekwesterze, widział pan, co mi zrobili? – zapytał ledwo słyszalnym głosem.

– Widziałem. Posiedzisz trochę w domu i odpoczniesz. Dobrze sprawiliście się wczoraj z Derutą.

– Dziękuję. Złapaliście ich?

– Jednego. Pamiętasz może tego, co cię pobił?

D'Intino starał się zmienić pozycję i na pokaleczonej twarzy pojawił się grymas bólu.

– Nie bardzo, szefie. Rzucił się na mnie i załadował głową prosto w nos. Aż gwiazdy zobaczyłem, wszystkie.

– Na pewno wszystkie?

– Ani jednej nie brakowało. Upadłem i chyba wtedy połamałem żebra.

– Widziałeś jego twarz?

– Ledwo, ledwo. Noc była. W nocy wszyscy są do siebie podobni. Miał kaptur na twarzy. Ciemnowy był, taki prawie Murzyn.

– Co to znaczy prawie Murzyn?

– Że nie był Murzynem. Ale i biały też nie.

D'Intino chyba zaczynał bełkotać bez sensu. Rocco postanowił to szybko przerwać i zwrócił się do lekarza:

– Ta rana na czole?

– Hm, co mogę panu powiedzieć? Skóra rozcięta równo, jakby metalowym narzędziem.

– Nożem?

– Może.

Rocco pstryknął palcami przed twarzą D'Intina, żeby przyciągnąć jego

uwagę.

– D’Intino, patrz tutaj, prosto na mnie. Ten napastnik miał nóż?

– Nie, noża nie. Uciekł.

– Już wiem, uciekł.

– Szybki był, bardzo szybki. Jakby miał ogień w nogach – odparł D’Intino i nagle zapadł jakby w śpiączkę. Teraz nic się już od niego nie dało wyciągnąć.

Rocco uściskał lekarzowi rękę i wyszedł z pokoju, gdzie oprócz D’Intina leżało dwóch chłopaków z nogami na wyciągach.

– Ale z was nogi stołowe! – rzucił im jeszcze w drzwiach, a oni w odpowiedzi wystawili środkowe palce. Idąc po schodach na dół, przypomniał sobie, że nie zadzwonił do Nory. Jeśli zrobi to teraz, popełni błąd, bo na pewno jest totalnie wkurzona. Ale jeśli nie zadzwoni, błąd będzie jeszcze większy, bo równałoby się to ostatecznemu zerwaniu. Kiedy tak hamletyzował, odezwała się jego komórka. Nie była to Nora – wyświetlił się numer biura.

– Tak?

– Tu Italo. Mamy farta.

– O co chodzi?

– Dostałem nagranie z wczorajszej nocy, z monitoringu apteki naprzeciwko.

– Jadę.

– Ale przygotuj się.

– Na co?

– Nigdy w życiu tak się nie uśmiełem.

Nagranie na komputerze Rocca było czarno-białe, bez dźwięku.

Noc, ulica. Bariereki wokół jakiegoś wykopu. W głębi murek, na nim siedzą i gadają dwaj młodzi ludzie. Trzeci obok na skuterze.

– Zatrzymaj – poprosił Rocco. Caterina zastopowała odtwarzanie. – Nasi są w samochodzie?

– Niech pan się dobrze przyjrzy. – Dotknęła czubkiem długopisu prawego brzegu monitora. – Widzi pan? Są tu za krzakiem.

– No, widzę ich teraz.

Za ciemną gęstwiną gałęzi rosnącego przy drodze krzewu rysowały się dwa cienie.

– Wyglądają jak dwa zaczajone zboki.

– Do tego w ich wieku... – wtrącił Italo.

– Mówiłem im, żeby się nie rzucali w oczy. Ukryli się dziesięć metrów od tych chłopaków. No ale czemu ja się dziwię? Deruta i D’Intino... można się było spodziewać. Puść dalej.

– Teraz pojawi się Righetti z koleżką.

Dalej odtwarzali nagranie, ciągle ta sama ulica.

Z głębi wyłaniają się nagle dwie zakapturzone postaci.

Podchodzą do tamtych trzech, którzy odwracają się w ich stronę. Witają się, zderzając pięści albo przybijając piątki. Righetti ze współnikiem wyciągają z kieszeni torebki.

– Uwaga, zaraz się zacznie – ostrzegła Rispoli.

Od strony krzaka, za którym czają się policjanci, błyska lampa aparatu.

– O jasna cholera – zaklął Rocco.

– Użyli flesza – przyznała smutno Caterina.

Italo pokręcił głową.

– Powariowali, z fleszem.

Piątka chłopaków jak na komendę odwraca się w stronę kryjówki. Zasadzka zostaje odkryta. Trzech, którzy byli tu wcześniej, błyskawicznie znika, dwaj na skuterze, trzeci puszcza się biegiem w chwili, kiedy Deruta i D’Intino wyskakują zza krzaka. Righetti ze współnikiem stoją jak wryci i gapią się na policjantów. Deruta mierzy z pistoletu, a D’Intino trzyma aparat fotograficzny, jakby to był karabin.

Righetti odskakuje na bok i rzuca się do ucieczki, ścigany przez Derutę, który sapiąc, taszczy swoje sto trzydzieści kilo. Drugi chłopak podbiega do D’Intina, wytrąca mu z rąk aparat. W tym momencie Righetti potyka się o jedną z barierek, Deruta również, tocząc się jak bilardowa kula. W końcu przygniata diler, ale gubi przy tym broń. Drugi diler atakuje. Głową uderza D’Intina w nos. Kiedy policjant upada, tamten zgina się wół i dotyka swojej twarzy. Boli go. Nie ma dźwięku, ale jest jasne, że przeklina. Od tego ciosu musiał się zranić.

Nieustraszony Deruta łapie Righettiego za spodnie i usiłuje go wlec za sobą, choć tamten wierzga nogami. W końcu spodnie całkiem zsuwają się dilerowi z nóg i zostaje w samych gaciach na środku drogi. Po drugiej stronie ulicy jego współnik, wciąż zgięty wół, zaczyna uciekać, a D’Intino wiję się na ziemi jak dżdżownica.

Righetti wstaje. Stracił też jednego buta. Deruta wywija spodniami diler, jak lassem i rzuca je w niego. Dżinsy zaplątują się między nogami Righettiego, który potyka się i znów upada. Policjant bierze rozbieg, odbija się do skoku jak Rey Mysterio, sławny amerykański zapaśnik, i łąduje swoją ponadstukilową masą na dilerze.

Usiadłszy okrakiem na jego brzuchu, zaczyna podskakiwać, a przyduszony Righetti walczy, próbując zrzucić z siebie to cielsko. D’Intino z zakrwawioną twarzą wreszcie dźwiga się na nogi. Podnosi aparat i zbliża się do Deruty i Righettiego, wygrażając chłopakowi canonem. Potem nagle wpada do wykopu i ślad po nim znika.

Deruta, korzystając z tego, że jego przeciwnik prawie stracił przytomność, chwyta z ziemi pistolet. Przerzuca go sobie z ręki do ręki, jakby to była świeżo złowiona ryba. Nagle na czarno-białym filmie widać ognistą smugę, która wydobywa się z lufy beretty, i szyba w pobliskiej bramie rozpryskuje się na tysiąc

kawałków. Righetti tężeje ze strachu. Deruta stoi sam na środku ulicy i celuje w chłopaka w gaciach, a wtedy w kadrze ukazują się inni ludzie. Gapie spieszący na pomoc policjantom. Za plecami Deruty pojawia się na brzegu wykopu para dłoni. W ślad za nimi wynurzają się ramiona i wreszcie głowa D'Intina, który sam już się gramoli z tej miejskiej pułapki. Staje na jej skraju, kiwając się jak szyper na łodzi, aż wreszcie pada na ziemię. Mdleje. Nagranie się urywa. Ciemność.

Rocco, Caterina i Italo patrzyli jak zaczarowani w monitor.

– To nagranie zostaje na komendzie i nigdy nie może jej opuścić, rozumiemy się? – powiedział groźnym tonem Rocco.

– Jasne, szefie.

– A jeśli trzeba będzie gdzieś je przekazać, chcę mieć dla siebie kopię. To jedna z najmilszych rzeczy, jakie spotkały mnie w tym mieście. *Flip i Flap* w porównaniu z tym to nudny film Bergmana.

Cała trójka wybuchła śmiechem.

– Caterina, proszę, cofnij do sceny, jak ten chłopak, który bił się z D'Intinem, ucieka.

Rispoli poklikała myszką i wróciła do tego miejsca. Widać było skulonego D'Intina i uciekającego dilera.

– Puść jeszcze raz i przyjrzyjcie się dobrze butom.

Oboje skupili się na obrazie.

– Świecą się – stwierdził Pierron.

– No właśnie. D'Intino mówił mi, że facet miał jakby ogień w nogach, i rzeczywiście, jak popatrzycie...

Faktycznie. Wydawało się, że zbieg ma iskrzące się buty.

– Takie są teraz w modzie.

– Amerykańskie. Widać je po ciemku, na przykład kiedy ktoś biegnie po nieoświetlonej drodze.

– Na przykład. – Rocco wstał od biurka, w milczeniu kiwając głową. Italo i Caterina patrzyli na niego bez słowa.

– Dobra – odezwał się wreszcie. – Bierzmy się do roboty. Caterina, pójdziesz pogadać z sąsiadami państwa Baudów. Postaraj się poznać ich zwyczaje, krąg znajomych... dowiedz się jak najwięcej o tej biedaczce. Weź ze sobą Scipioniego, jest dość przytomny.

– No to jadę.

– Masz cywilne ciuchy?

– Dlaczego?

– Bo jak przyjedziesz po cywilu, ludzie będą chętniej gadać. Nie wiedziałaś?

– Mam na dole w szatni.

– Przebierz się.

– Nigdy nie jest za późno na naukę – skwitowała z uśmiechem Caterina

i wyszła.

– A my dwaj co robimy? – zapytał Italo, kiedy zostali sami.

– Podskoczmy sobie do szpitala, do Fumagallego.

– Będę mógł zaczekać przed kostnicą?

– Nie, musisz się przyzwyczajać.

– Dlaczego?

– Bo to część twojej pracy, kurde, muszę ci za każdym razem to tłumaczyć?

Italo skinął głową nieprzekonany, a Rocco podszedł do okna. Splótł dłonie za plecami i zaczął obserwować ulicę.

– I co? Nie ruszamy? – zapytał Italo z ręką na klamce.

– Zaczekaj no pięć minut.

Przestało śnieżyć, wiatr się uspokoił. Chmury wciąż jednak wisiały nad szczytami gór i jeśli nawet gdzieś było słońce, to nie dawało rady przedrzeć się przez tę grubą, mętną pokrywę. Rocco patrzył na ludzi idących spokojnie po chodniku, w beztroskim sobotnim rytmie. Jacyś chłopcy przypinali narty na dachu samochodu terenowego; wyprowadzany przez mężczyznę pod pięćdziesiątkę seter podniósł łeb, marszcząc czujnie nos, i naprężył ogon: coś musiał wywęszyć. Wicekwestor uśmiechnął się na myśl o podobieństwie między sobą a tym psem myśliwskim: całe życie spędzone na odnajdywaniu obcych zapachów, czegoś, co nie pasowało do otoczenia, i na dociekaniu, o co konkretnie chodzi.

Wreszcie się doczekał. Zobaczył, jak z bramy komendy najpierw wyłania się Scipioni, a zaraz za nim Caterina Rispoli. Spódnica do kolan, lekkie pantofle na obcasie pomimo zimna, płaszcz rozpięty z przodu. Oczy wicekwestora zamieniły się w dwa lasery. Inspektor miała jędrne piersi, które dumnie wypychały bluzkę, oraz zgrabne nogi. Łydki ledwo zarysowane, smukłe. Przyglądał się, jak wsiadała do samochodu i w ruchu odsłoniła na moment spory kawałek uda.

Miał rację. Pod niezgrabnym mundurem policjantki skrywała się bezsprzecznie świetna kobieta. Szkoda, że płaszcz zakrywał jej pupę, ale już wcześniej, kiedy nosiła mundurowe spodnie, Rocco zdołał sobie wyrobić o niej zdanie.

– Rocco, na co się gapisz?

– Nie twoja brocha, Italo. Dobra, skoro życie podarowało nam okruchy piękna, zejdźmy do czeluści, by porozmawiać z Charonem.

– Nawet w sobotę każą mi pracować – mamrotał Fumagalli, zawiązując zielony fartuch z rdzawymi plamami, które wcale nie pochodziły od rdzy. – Co wy myślicie, że ja, kurde, nie mam co robić? Dwie ofiary zatrucia plus wypadek w Verres, a jakby tego było mało, jeszcze ta Ester Baudo. Zapewniam was, że w sobotę wolałbym podjechać sobie do rodziny w Livorno, zamiast marznąć w tej psiarni.

– Alberto, masz mi coś do powiedzenia czy tylko chcesz mi nawrzucać?

- Rocco usiadł na krzeselku w poczekalni kostnicy.
 - Nie siadaj, teraz pójdziemy odwiedzić tę biedaczkę. On idzie z nami?
- Wskazał z kpiącym uśmiechem na Itala.
 - Oczywiście – potwierdził Rocco.
 - Alberto podszedł do maszyny z kawą i wetknął żeton.
 - Ciekawe, czy tym razem wytrzyma i się nie porzyga.
 - Wcale to mnie nie śmieszy, doktorze – burknął Italo.
 - Mówię jak najpoważniej – powiedział lekarz. – Chcesz kawy, Rocco?
- Nacisnął guzik i automat się uruchomił. – To jak, chcesz czy nie?
 - Kawa z tego czegoś? Oszalałeś? Potem musiałbyś zrobić autopsję, żeby sprawdzić, czym się otrułem. Oszczędzę ci roboty. – Rocco wstał z krzesła.
- Pospiesz się z tym ustrojstwem i chodźmy.

W sali sekcyjnej panował ten sam co zawsze odór zgniłych jajek, środków dezynfekujących, zastarzałego moczu. Z jakiegoś kranu kapiała woda, odmierzając upływ czasu, który w tym miejscu dotyczył tylko Rocca, Itala i doktora Fumagallego. Dla reszty, schowanej do szuflad chłodniczych jak ubrania z zeszłego sezonu, czas nie miał żadnego sensu ani wartości. Na stole pośrodku leżało nakryte płachtą ciało Ester Baudo. Wzdłuż ściany biegł długi aluminiowy blat, na którym stały trzy stalowe miski pełne krwawych ochłapów. Alberto, widząc, że policjanci przyglądają się tej wystawie okazów, poczuł się w obowiązku wyjaśnić:

- To nie kawałki Ester, tylko tych dwóch, co się zatruli koło stacji oczyszczania ścieków. To samo co zawsze: wątroba, mózg, płuca...

Italo zbladł.

- Przepraszam, nie dam rady. – I zakrywając usta, wybiegł z sali. Fumagalli popatrzył na zegarek.

– Dwadzieścia trzy sekundy, wyrabia się chłopak. Poprzednim razem wytrzymał niecałe dziesięć.

- Tak, robi postępy.

Alberto wskazał na trzy miski.

- Miałem mu powiedzieć, że to tylko brudne szmaty?

– Bez różnicy, porzygałby się, nawet gdyby tu leżała naga Scarlett Johansson.

- Scarlett Johansson na pewno prędzej czy później trafi w takie miejsce jak to.

Rocco spojrzał na niego z powagą.

- A cóż to, kurwa, za refleksje?

– Nie żadne refleksje, tylko skrzywienie zawodowe.

– Poczekaj, niech zrozumiem: widzisz w jakimś piśmie Scarlett Johansson z cyckami na wierzchu, ale myślisz tylko o tym dniu, kiedy wyląduje na stole

sekcyjnym?

Fumagalli zastanawiał się przez chwilę.

– Nie, nie zawsze. Ale jak już mamy zgłębiać ten temat, to powiem ci, że dla mnie nie ma nic mniej erotycznego niż nagie ciało. Znasz tego francuskiego poetę, który mówił, że nie może całować dziewczyny, bo od razu przychodzi mu na myśl, że pod tą skórą jest czaszka, która pewnego dnia znajdzie się w trumnie, obgryziona przez robaki?

– Coś kojarzę.

– Na mnie tak samo działa nagość. – Jednym haustem wypił kawę, po czym strasznie się skrzywił. – Kurde, co za świństwo.

– Po co pijesz, skoro takie świństwo?

– Aby pamiętać, że życie jest ciężkie i pełne trudności.

– I do tego potrzebujesz tych zlewek? Nie wystarczy się tutaj rozejrzeć?

– A co jest tutaj nie tak? – spytał całkiem poważnie Alberto.

Podeszli do ciała Ester. Twarz była zmasakrowana. Rozcięta warga, opuchnięte prawe oko, pod nim, na kości policzkowej, siniak wielkości dłoni. Na szyi widoczny ślad po sznurze.

– No więc przejdźmy do rzeczy. Umarła nie z powodu uduszenia, lecz w wyniku ucisku nerwu błędnego, co doprowadziło do bradykardii i zatrzymania pracy serca – zaczął Fumagalli. Rozcięcie na klatce piersiowej wskazywało, że patomorfolog już zbadał narządy wewnętrzne. – Mamy tu uraz prawej kości policzkowej i po tej samej stronie brakuje dwóch zębów trzonowych.

Rocco słuchał, patrząc na twarz kobiety. Jej włosy leżały rozrzucone na stalowym blacie. Patrząc z góry, można było odnieść wrażenie, że Ester unosi się na powierzchni wody.

– Została pobita – stwierdził Rocco.

Alberto skinął głową.

– A teraz posłuchaj mnie uważnie, bo sprawa robi się interesująca. Zwykle przy śmierci przez zadziergnięcie mamy ślad na szyi nie tylko pod tchawicą, ale też dookoła, prawie do podstawy czaszki.

– A tutaj...?

– A tutaj ślad jest jedynie z przodu. Dookoła szyi znajdziesz tylko lekkie zaczerwienienie. Co skłania mnie do wniosku, że śmierć nastąpiła wskutek powieszenia. Wyjaśnić?

– Jeśli możesz.

– Po co odpowiadasz? Nie odpowiada się na pytania retoryczne.

– Zawsze myślałem, że nie powinno się zadawać pytań retorycznych, bo niczemu nie służą – odburknął Rocco.

– Ty też je zadajesz.

– Owszem, błędę, ale staram się wyleczyć z tej wady. No więc co dalej?

I nie jest to pytanie retoryczne.

– Kiedy ktoś umiera powieszony, uduszenie następuje z powodu działania ciężaru ciała. Ciało opada i wtedy ślad sznura jest widoczny głównie z przodu. Przy zadziergnięciu, a więc kiedy ktoś dusi ofiarę, decydującym czynnikiem powodującym śmierć jest siła zabójcy. Sznur albo kabel, czy coś w tym rodzaju, zostaje owinięty wokół szyi, więc powinien zostawić ślad od tchawicy aż do karku.

– Chcesz mi powiedzieć, że ją powiesili?

– To była moja pierwsza hipoteza. Ale potem przemyślałem to i wiesz, na co wpadłem? Skup się: Ester Baudo zostaje pobita. Mdleje. Pada na ziemię, napastnik dusi ją. Wyobrażasz to sobie, Rocco?

– Jasne, że sobie wyobrażam, to moja praca.

Alberto prychnął.

– Rozmowa z tobą skraca mi życie.

– I komu to mówisz!

– Idźmy dalej. Co więc mamy? Nieprzytomną, bezbronną ofiarę na ziemi. Wtedy ją dusi. Jak? Załóżmy, że Ester leży na brzuchu. Wystarczy, że kolaniem przygniecie jej plecy, potem weźmie sznur i podciągnie go do góry, zaciskając jej tchawicę i przełyk. Gotowe. Śmierć przez zadziergnięcie, ale bez pozostawiania śladów na całej szyi.

– A potem inscenizuje powieszenie?

Alberto się zastanowił.

– Słuchaj, nie twierdzę, że zabójca to wiedział, ale istnieje różnica między śladami po zadziergnięciu a śladami po powieszeniu. Może zadziałał odruchowo, bez planu, i przy okazji mu tak wyszło, rozumiesz?

– No więc nie możemy wykluczyć żadnej wersji.

– Po wszystkich latach spędzonych w tej robocie niczego bym nie wykluczał. Bo urazy, jakie biedaczka ma na twarzy, to poważna sprawa. Dziwię się, że od tego nie umarła.

Twarz była tam obok, widoczna, niemo potwierdzała słowa lekarza.

– Czym ją udusił?

– Niestety nie znalazłem żadnych resztek. Ani skóry, ani nici. Ale musiał to być sznur czy coś podobnego o takiej szerokości. – Fumagalli pokazał dwa złączone palce.

– Nie jest łatwo znaleźć tak grubą linę.

– Nie, raczej nie.

– Pasek?

– Na przykład. Albo krawat.

Wicekwestor ostrożnie przykrył zwłoki.

– A potem cała ta maskarada z wieszaniem na sznurze od bielizny.

– Może krawat albo pasek były za krótkie? Jedno jest pewne. Odcisk paska

czy krawata jest jasny, potem mamy nieco słabiej widoczny ślad po sznurze w plastikowej izolacji.

– Wieszali ją dwa razy? Dziwne to wszystko, Alberto.

– A to już twój problem. Jak zwykle mówię ci tylko, jak i kiedy ktoś zginął.

– Wiem! Przyczyny to już moja działka. A właśnie: kiedy?

– Nie później niż o siódmej.

– Bardzo byłeś pomocny, jak zawsze. Trzymaj się. – Rocco skierował się do drzwi.

– Gdybym miał się zakładać, postawiłbym stówę, że to był krawat – dodał z namysłem Fumagalli.

Rocco zatrzymał się w progu.

– Dlaczego?

– Bo ślady po pasku powinny być wyraźniejsze. Pasek jest ze skóry, krawat z jedwabiu.

– Krawat... Każę ci przysłać wszystkie krawaty z mieszkania, rzucisz okiem?

– Oczywiście. Gdyby któregoś użyto do uduszenia ofiary, powinny zostać ślady naskórka.

– Jasne, chociaż sądzę, że jeśli ktoś użył krawata, to potem go zabrał i zniszczył. Ale nie zaszkodzi spróbować.

– Świetnie. Przyślij mi krawaty Bauda. I paski też, może przegram tę stówę. A ją mi zostawisz?

– Że co?

– No ją, znaczy Ester Baudo. Do jutra przynajmniej.

Rocco spojrział z niepokojem na patomorfologa.

– Tak, zostawię. A o co chodzi?

– O nic, chcę ją porządnie do końca zbadać. Ale przywieźli mi nowych pacjentów z wypadku w Verres, no i mam tamtych zatrutych, z oczyszczalni, więc odłożę ją sobie na wieczór.

– Pacjentów?

– Tak ich nazywam. Zapewniam cię, że to wspaniali pacjenci, bardzo cierpliwi.

– Alberto, oni nie żyją. Jak mogliby protestować.

– Oni nie. Choć jeśli się uważnie wsłuchasz, czasami usłyszysz, jak cichutko proszą, żeby kroić ich delikatnie.

Rocco zagryzł wargi. Wyszedł bez słowa, ale z przekonaniem, że Alberto Fumagalli naprawdę potrzebuje odpoczynku. Powinien się oderwać od pracy – dwa tygodnie na plaży mogłyby przywrócić mu poczucie proporcji i świadomość granicy między życiem a śmiercią.

Przygotował sobie przemowę. A ściślej, wymyślił wiarygodne

usprawiedliwienie, które przedstawi Norze. Wpatrywał się w witrynę sklepu ze strojami ślubnymi, usiłując dojrzeć, kto jest w środku, ale wielki manekin z suknią wyszywaną perłami zasłaniał widok. Musiał wejść i stawić czoła sytuacji. Tylko że nie umiał się zdecydować. Czuł się jak krety. Pokonać całą tę drogę do sklepu, a potem nie wejść. Nie, nie był w stanie. Także dlatego, że w głębi duszy nie czuł się aż taki winny. Na początku znajomości ustalił z Norą zasadnicze kwestie. Żadnych pytań, nie obnosimy się z byciem razem, widzimy się tylko, kiedy tego chcemy albo potrzebujemy,

W takim razie co robił tu na chodniku?

Wyrzuty sumienia? A od kiedy to cofał się przed czymś z powodu wyrzutów sumienia? Zawsze i wszędzie szedł za instynktem. A poprzedniego wieczora instynkt podpowiedział mu, by pozostać w domu. Chociaż były urodziny Nory. Chociaż jej bardzo zależało na tej wspólnej nocy. Musiał ją przeprosić. A potem? Co mógł dzięki temu zyskać? Pogodzenie się, może. Ale czy chciał tego, tak naprawdę? Pogodzić się? Nie miną dwa dni, a znów ją zlekceważy albo źle potraktuje, pakując się w taką samą sytuację. Mógł więc skorzystać z okazji i odejść natychmiast bez żadnego przeproszania. Jeśli się nie pokaże, zaoszczędzi sobie rozmowy kończącej ten związek, który i tak do niczego by nie doprowadził. Jednej z tych nieznośnych, trwających bez końca rozmów, kiedy wygaduje się rzeczy, które powinny zostać w ukryciu. Zamiast pozwolić wszystkiemu zgasnąć poprzez delikatną, cichą eutanazję, musiałby wejść w zwanie, z którego żadne z nich nie miało szans wyjść zwycięsko.

Lepiej tak, odpuszczam – pomyślał. Miała być dyskrecja i zero pytań. Odwrócił się i wielkimi krokami ruszył naprzód, ani razu nie spoglądając za siebie. Gdyby spojrzął, zorientowałby się, że Nora przez ten cały czas obserwowała go, stojąc z filiżanką kawy w progu baru naprzeciwko. Spostrzegłby też, że w chwili, kiedy czmychnął jak złodziej, znikając za rogiem, do oczu napłynęły jej łzy.

– Dzielnica nazywa się Cogne – wyjaśnił Italo, ruszając na zielonym.

– Gdzie to jest?

– Tu zaraz, za pięć minut dojedziemy.

Wiatr przestał smagać miasto, chmury przycupnęły w górach, zakrywając całe doliny. Wszystko dookoła było jednolicie szare. Rocco podejrzewał, że jeśli temperatura obniży się o parę stopni, zaczną padać śnieg.

– Jeśli znów będzie padać śnieg, pożyczysz mi splotkę i strzelę sobie w łeb – rzucił, patrząc w okno.

– Spoko, Rocco, śniegu nie będzie – odpowiedział Italo. – Temperatura wzrosła, więc co najwyżej lunie deszcz.

– Facetka jest w domu, na pewno?

– Na pewno. Myślisz, że wyrobimy się przed obiadem?

– Która godzina?

- Wpół do pierwszej.
- Jasne. Do drugiej powinniśmy skończyć.
- No to obiad z głowy.
- Musisz porzucić swój zwyczaj jedzenia obiadu o wpół do pierwszej, jak w szpitalach. W Rzymie pora obiadowa jest jeszcze o drugiej.
- My tu o drugiej to najwyżej pijemy herbatę.
- Wiesz, nawet w Rzymie w marcu pada... – zaczął Rocco.

Italo wznosił oczy do nieba. Nadchodził kolejny atak nostalgii jego szefa. Westchnął, skupił wzrok na drodze i słuchał. Nie miał zresztą innego wyjścia.

– ...tylko że to nie jest taki zimny deszcz. Jest letni. Ożywia kwiaty i trawniki. Wystarczy promyk słońca i od razu zapełniają się stokrotkami. Musisz włożyć na siebie coś ciepłego, ale miło jest spacerować po Rzymie w marcu. To tak jak z czekaniem na prezent, kiedy jest się dzieckiem. Wiesz, że już niebawem na pewno go dostaniesz, i to są te najpiękniejsze chwile. Chodzisz w płaszczu, ale w kościach czujesz, że coś się zmienia. Że niewiele brakuje do wiosny. Potem rozglądasz się i zauważasz, że kobiety już ją poczuły. Wiedzą o tym wcześniej niż ty. Pewnego pięknego dnia budzisz się, wychodzisz na dwór i je widzisz. Wszędzie. Aż szyja boli od oglądania się za nimi. Nie rozumiesz, gdzie dotąd się podziewały. Trochę jak motyle: śpią w letargu, a potem nagle ożywają i latają wokół, aż się kręci w głowie. Na wiosnę nie liczą się już żadne podziały. Nie ma kobiet chudych ani grubych, brzydkich ani ładnych. Na wiosnę w Rzymie wystarczy usiąść i w milczeniu oglądać spektakl. Siadasz na ławce i patrzysz, jak przechodzą. I dziękujesz Bogu, że stworzył cię mężczyzną. Wiesz dlaczego? Bo ty nigdy nie osiągniesz takich wyżyn piękna, a więc starzejąc się, masz niewiele do stracenia. A one tak. Wszystkie te kolory kiedyś zgasną, wyparują, jak niebo w tym pieprzonym mieście, prawie zawsze zasłane chmurami. Coś strasznego ta starość. To zemsta brzydkich. Jest jak warstwa brudnego lakieru, który zabija całe piękno i niweluje różnice. I kiedy tak je obserwujesz z ławki, myślisz, że któregoś dnia te istoty też nie rozpoznają się w lustrze. Wiesz co, Italo? Kobiety nigdy nie powinny się starzeć.

Zapalił papierosa. Italo zatrzymał samochód przed bramą kamienicy przy ulicy Volontari del Sangue pod numerem 33. Tam, gdzie mieszkała Irina Oligova.

Wysiedli. Rocco wyrzucił peta.

– I to ma być ta podła dzielnica? – spytał, zamykając drzwi.

– Powiedzmy, że jest tu trochę problemów.

Rocco wybuchł śmiechem na myśl o rzymskich slumsach Tor Bella Monaca i Laurentino, o okolicach portu w Ostii. W porównaniu z nimi dzielnica Cogne była jak szlachecka rezydencja z herbem nad bramą.

Wspięli się na czwarte piętro, gdzie Irina czekała już na nich w progu swojego mieszkania. Na schodach roznosiły się rozmaite zapachy, ale dominowała

woń curry, którą Italo pomylił z zapachem potu. Wskazywało to, że kamienicę zamieszkiwali głównie imigranci z Azji.

– Irina Oligova? Pamięta mnie pani? Jestem wicekwesor Schiavone.

Irina lekko skinęła głową, uściśliła im ręce i wprowadziła ich do mieszkania. Było malutkie. Pokój dzienny z kanapą, która musiała też służyć za łóżko, bo do jednego z oparców przymocowana była lampka, a na stoliku obok piętrzył się stos komiksów. Kuchnia znajdowała się we wnęce. Dwoje drzwi prowadziło przypuszczalnie do sypialni i do łazienki. Na ziemi leżał brązowy dywan, na ścianie wisiały błękitny kafelek z arabskimi napisami i zdjęcia: piramidy, północnoafrykański suk, para starszych ludzi, najwyraźniej Afrykanów, wieś przykryta śniegiem, jak z opowiadań Czechowa.

Jakby im było mało tego, co jest za oknem, pomyślał Rocco, patrząc na nieskazitelnie białą pierzynę śniegu pokrywającą dach sąsiedniego kościółka. I wreszcie zdjęcie mężczyzny i chłopaka przed straganem z owocami. Wąsaty mężczyzna miał jowialną twarz i uśmiech, za to chłopak z kolczykiem w brwi był naburmuszony.

Irina doprowadziła się do porządku, zranione kolano zakleiła plastrem. Była zdenerwowana i wciąż wykręcała sobie palce.

– Jeśli już się pani uspokoiła, proszę mi opowiedzieć o wczorajszym poranku.

Irina wzięła plastikowe krzesło i siadła naprzeciwko kanapy.

– O dziesiątej weszłam do domu i...

– Stop, pierwsze pytanie. Drzwi były zamknięte?

– Tak, ale nie na klucz. Zdziwiłam się, bo zawsze były zamknięte na klucz.

Pani wraca z zakupów o jedenastej. Wie pan, co za... jak to się mówi? Wypadek?

– Wypadek?

– Nie, przypadek, chciałam powiedzieć: przypadek.

– No słucham.

– Robi zakupy na targu, gdzie mój mąż Ahmed ma stragan z owocami.

– Ahmed to ten ze zdjęcia? – Rocco wskazał na mężczyznę z chłopakiem.

– Tak, a to jego syn Helmi.

– Słucham dalej.

– No więc wchodzę, wszędzie bałagan. W kuchni powywalane. Myślę, że złodzieje. Uciekłam. Potem był ten pan na dole.

– Chorąży – wtrącił Italo.

– No ten. Zadzwoniliśmy po was.

Rocco spojrzał na Irinę.

– Skąd pani pochodzi?

– Z Białorusi, mogę pokazać kartę pobytu.

– Nie, guzik mnie obchodzi. Pani mąż?

– Z Egiptu. Ale to nie jest mój mąż. Żyjemy razem, ale nie mamy ślubu. On jest z islamu, ja prawosławna. Trochę problemów.

– Ważna jest miłość – wypalił ni z tego, ni z owego Italo, ściągając na siebie groźną minę Rocca, który tymczasem wstał z kanapy.

– Jak długo pracuje pani u Baudów?

– Prawie rok, poniedziałki, środy, piątki.

W tym momencie otworzyły się drzwi do mieszkania. Wszedł chudy chłopak, mniej więcej osiemnastoletni, w kurtce narzuconej na bluzę z kapturem, szerokich spodniach z dużymi bocznymi kieszeniami i fluorescencyjnych butach, amerykańskich, dobrej jakości, przydatnych, jeśli prowadzi się po ciemku roboty drogowe. Nad prawą brwią miał przyklejony spory plaster. Ledwo zobaczył mundur Itala, zbladł. Rocco, niewidoczny za skrzydłem drzwi, mógł mu się spokojnie przyjrzeć.

– To Helmi, syn Ahmeda.

Chłopak przełknął ślinę i popatrzył na Itala czarnymi drapieżnymi oczami.

– Cześć, Helmi, jestem Rocco Schiavone.

Chłopak podskoczył, jakby mu za plecami wybuchła petarda, i odwrócił się gwałtownie. Dostrzegł wreszcie Rocca. Ten, w zapiętym płaszczu, oparty o ścianę pod błękitnym kafelkiem z arabskimi napisami, uważnie taksował go wzrokiem.

– Co? Co jest? – zapytał chłopak. – Co zrobiłem?

– Ty? Nic. Czemu pytasz? A zrobiłeś coś?

Energicznie zaprzeczył głową.

Italo wskazał na Irinę.

– Rozmawiamy z twoją matką.

– To nie jest moja matka, to kobieta mojego ojca.

– Kobieta twojego ojca nic ci nie mówiła?

Helmi wzruszył ramionami. Powoli zaczynał panować nad swoimi reakcjami. Zamknął drzwi i poszedł w stronę kuchni.

– Co niby miała mi mówić?

A to cwaniak, pomyślał Rocco. Założył na nowo maskę bezlitosnego gangsty.

– Że znalazła martwą kobietę w mieszkaniu, gdzie sprząta.

Helmi spojrzał na Irinę.

– Kogo? Panią Marchetti?

– Nie, panią Baudo.

– Aha – rzucił Helmi, nalewając sobie wody.

– Znałeś ją?

– Ja? Nie. Nie muszę znać tych wszystkich pań, u których jest służącą. Po co miałem ją znać? Chuj mnie obchodzi...

– Masz rację, słusznie, lepiej pilnować swoich spraw. – Rocco odszedł

wreszcie od ściany. – Co tam jest napisane? – zapytał, wskazując na kafelek.

– To werset z Koranu.

– Możesz mi powiedzieć, co znaczy?

– Nie wiem. Nie umiem czytać po arabsku. Tylko trochę mówię.

– Jest napisane: noc przeznaczenia jest lepsza niż tysiąc miesięcy – wtrąciła się Irina. – Wiem, bo mi Ahmed powiedział.

– Chodzisz do szkoły?

Helmi uśmiechnął się sarkastycznie.

– Próbuję.

Rocco odwzajemnił mu się podobnym uśmiechem.

– Wolisz pracować?

– On by wołał nic nie robić. Czekaj, aż pieniądze spadną mu z nieba – odezwała się Irina.

– Pilnuj swoich spraw. – Chłopak posłał jej złe spojrzenie.

– A ty pamiętaj, że masz co jeść dzięki pieniądзом, które zarabiamy z twoim ojcem.

– A weź spierdalaj. – Odwrócił się i ruszył szybko do drzwi.

Rocco złapał go za ramię i zablokował.

– A kto ci powiedział, że możesz wyjść, co? Nie skończyliśmy.

– Puszczaj – krzyknął Helmi.

Rocco ścisnął jeszcze mocniej.

– Po pierwsze, mów do mnie „pan”, bo nie jestem ani twoim ojcem, ani kumplem. Po drugie, siadaj na kanapie i słuchaj.

Helmi przeciągnął dłonią po włosach ogolonych prawie na zero, uwolnił się z uścisku policjanta i usiadł rozkraczony na kanapie. Spuścił głowę, tracąc kontakt z otoczeniem. Drapał się po przedramieniu, gdzie widniał maoryski tatuaż. Jego wielkie pomarańczowe buty błyszczały, kiedy nerwowo ruszał stopą.

– To było zabójstwo – oznajmił Rocco po paru sekundach.

Irina wytrzeszczyła oczy. Helmi dalej gapił się w dywan.

– Chcę, żebyście o tym wiedzieli. Pani Baudo została zabita. Może mi pani coś o niej powiedzieć? Kto do niej przychodził, jakich miała znajomych.

– Dlaczego ją zabili? – zapytała wstrząśnięta Irina.

– Nie wiemy, ale pracujemy nad tym – wtrącił Italo.

– Może powie mi pani coś, co przyda nam się w śledztwie. Była jakaś przyjaciółka? Krewni, siostry?

– Żadnych krewnych. Pani Baudo była sierotą. Wiem, bo kiedyś o tym wspomniała. Mało rozmawiałyśmy. Ja sprzątałam, a ona leżała w sypialni z książką albo patrzyła w telewizor.

– Nie pracowała?

– Nie, tylko mąż pracuje. Sprzedaje sprzęt sportowy.

Rocco podszedł do okna.

- Gówniana pogoda, nie?
- Musiałby pan zobaczyć w moim kraju – odparła Irina.
- A twój kraj jaki jest? – zwrócił się Rocco do Helmiego, który wciąż drapał się po przedramieniu.
- Nie wiem. Pojechałem tam trzy razy, jak byłem mały. Ciepło, dużo ludzi i śmierdzi.
- O, jaka miłość ojczyzny.

Helmi nagle podniósł głowę.

- A co, pan byłby dumny z takiego gównianego kraju?
- Nie wiem, o jakim kraju mówisz.
- Egipt.
- Nie wiem, czy byłbym dumny. Weź pod uwagę, że kiedy w Egipcie stawiali piramidy, w tych stronach nie odkryli jeszcze nawet ognia. A właściwie to dlaczego nie jesteś teraz w szkole? – Rocco nagle zmienił temat.
- Strajk... – wybąkał chłopak.
- No więc, pani Irino, czy pani Baudo miała w ogóle przyjaciółki?
- Często rozmawiała przez telefon z Adalgisą. To była jej najbliższa przyjaciółka.
- Coś więcej?
- Nie, proszę pana.
- No to dziękujemy. Bardzo nam pani pomogła.
- Chciałabym się dowiedzieć, kto to zrobił pani Baudo.
- Osobiście pani to powiem tego samego dnia, kiedy go dorwiemy. Cześć, Helmi.

Nie odpowiedział. Policjanci wyszli z mieszkania.

Irina wzięła głęboki oddech, odstawiła krzesło i odwróciła się do chłopaka.

- Jesteś głodny? Coś ci przygotuję.
- Nie, zjem na mieście.
- Muszę zamienić parę słów z tą Adalgisą – rzucił Rocco, gdy wyszli z kamienicy.
- Z kim?
- Z przyjaciółką Ester Baudo. Wracam do biura.

Italo, z kluczykami w dłoni, spojrzał na niego.

- Nie jedziesz ze mną?
- Nie, ty nie wracasz na komendę. Musisz iść za chłopakiem.
- Za tym Egipcjaninem?
- Zgadłeś. Idź za nim, a potem mi powiesz, co robił.
- Mogę wiedzieć dlaczego?
- Widziałeś plaster na czole czy jesteś ślepy? Gdybyś zamiast gadać bzdury

zapędził mózg do roboty albo rozejrzał się uważnie, wiedziałbyś tak jak ja, że nad brwią miał piercing.

– No i co z tego?

– Obejrzyj sobie nagranie z akcji Deruty i D’Intina. Zrozumiesz, o czym mówię.

– Myślisz, że ma z tym coś wspólnego?

– Nie myślę. Ja to wiem.

– Widzisz, że miałem rację? – powiedział Italo, idąc do samochodu.

– W jakiej sprawie?

– Obiadu. Wiedziałem, że dziś go nie zjemy.

– Mów za siebie. Ja, jako szef, pójdę najpierw na makaron, a potem zajmę się szukaniem tej Adalgisy.

Okazało się to dość proste. Wystarczyło zadzwonić do Patrizia Bauda, żeby dostać adres pracy Adalgisy. Chociaż Patrizio nie darzył jej sympatią i nie było to tylko wrażenie Rocca – ledwie wymienił imię kobiety, poczuł w słuchawce lodowaty prąd. W każdym razie pracowała w księgarni w centrum, nieopodal placu, gdzie mieścił się urząd skarbowy.

Był to budynek typowy dla architektury lat trzydziestych, który nie pasował do Aosty, tak jak pryszcz do twarzy noworodka. W zamyśle faszystowskich architektów zegar na wieży ratusza czy urzędu miał zastąpić dzwonnice. To nie kościelne dzwony miały wyznaczać rytm dnia i bić na trwogę, lecz zegar w pałacu partyjnego namiestnika. Akurat ten zegar miał jedną zaletę – wskazywał dokładną godzinę. O trzeciej dziesiątej Rocco otworzył drewniane drzwi księgarni.

Wchodząc do księgarni, zawsze miał poczucie winy. Za każdym razem bowiem obiecywał sobie, jak to bywa w przypadku diet, że już zaraz, wkrótce, powróci do czytania. Mógł przecież czytać po powrocie do domu przy ulicy Piave, do tego anonimowego mieszkania bez śladów miłości i kobiety. Ale nie dawał rady. Kiedy zamykał za sobą drzwi, dopadały go porachunki z przeszłością. Dom zaludniał się myślami gęstymi jak olej, które nie pozwalały mu otworzyć książki, a nawet obejrzeć filmu o bardziej zawilej akcji. Nostalgia, przeszłość, życie, którego już nie było – to wszystko brało górę. Książki pozostawały nietknięte na komódce i na regale, skąd spoglądały na niego, kurząc się i szarzejąc.

Na stole w księgarni leżały nowości, a także świeża „La Stampa”, otwarta na stronie z lokalną kroniką wypadków. Dobrze widoczny artykuł o tajemniczej śmierci Ester Bauda. To znaczyło, że komendant zaczął już rozmawiać z gazeciarzami, jak ich nazywał. I że Adalgisa już dowiedziała się o śmierci przyjaciółki, choć w sposób bezosobowy i zimny, za pośrednictwem prasy.

Podeszła do niego kobieta. Około trzydziestu pięciu lat, wysoka, mocnej budowy, z wyrazistym nosem, który jednak pasował do jej twarzy. Włosy do ramion.

– Czym mogę służyć?

Miała duże czarne oczy przepelnione smutkiem, jaki spotyka się tylko u aktorów w czarno-białych filmach rosyjskich.

– Schiavone, wicekwesor z komendy w Aoście.

Kobieta przełknęła ślinę, czekając na ciąg dalszy.

– Szukam Adalgisy.

– To ja. – Wyciągnęła rękę. – Adalgisa Verratti. Pan z powodu Ester, prawda?

– Tak.

– Wychodzę na moment! – zawołała w stronę zaplecza. – Zaraz wracam.

– Odwróciła się do Rocca. – Chodźmy na kawę, dobrze?

Adalgisa wbijała wzrok w filiżankę, nie przestając mieszać łyżeczką kawy.

– Zawsze się z Ester przyjaźniłyśmy, od czasów liceum. Zawsze.

– Pociągnęła nosem, po czym szybko wyjęła chusteczkę i wytarła sobie kąciki oczu.

– Kiedy rozmawialiście po raz ostatni?

– W czwartek wieczorem.

– Czy coś panią zdziwiło?

– Nie, nic. Zwyczajne pogaduchy. Chciałam ją zabrać na pilates.

Rocco spróbował swojej kawy. Pomyje. Odsunął filiżankę.

– Idźmy dalej. Co było nie tak w życiu Ester?

Uśmiechnęła się, a jej uśmiech zamienił się w grymas.

– Jeśli pominąć, że była niezadowolona ze swojego życia i z małżeństwa, że nie chciała mieć dzieci, chociaż Patrizio nalegał... to poza tym wszystko szło dobrze.

– Z mężem się nie układało?

– Zupełnie się nie układało. Patrizio to złamas.

No i tu cię mam, pomyślał Rocco

– Dlaczego? – zapytał.

– Zazdrosny, zaborczy, kazał jej rzucić pracę. Chce pan wiedzieć, dlaczego przestałam się do niego odzywać? Ubzdurał sobie, że sprowadzam Ester na złą drogę.

– W jakim sensie?

– Nie jestem już zameżna, sama zarządzam swoim życiem, jak mi się podoba.

– A co to znaczy?

– Kiedy już miałam dość męża, zażądałam rozwodu i każde poszło swoją drogą. Teraz żyję, jak chcę, mogę się spotykać, z kim mam ochotę, dysponuję swoim czasem i proszę mi wierzyć, to wspaniałe uczucie. Udało mi się nawet przygarnąć dwa koty, co przy mężu było niemożliwe. Kocham zwierzęta, książki,

kino. Nie interesują mnie samochody, piłka i komórki najnowszej generacji.

– A więc Patrizio sądził, że chce pani wyrwać Ester z małżeństwa?

– Można tak to określić. Gdyby mi się udało, to nie toczylibyśmy teraz tej rozmowy, czyż nie?

– No tak, siedzielibyśmy w księgarni i rozmawiali o książkach.

Adalgisa ugryzła kostkę cukru.

– Jest pan żonaty?

– Tak.

– Kocha pan żonę?

– Bardziej niż siebie.

Włożyła do ust resztę kostki.

– Zazdrozczę panu.

– Proszę mi wierzyć, nie ma czego.

– Jak to? Kocha pan żonę i jest z nią szczęśliwy, prawda?

Rocco uśmiechnął się, parę razy pokiwał głową i rozejrzał się po lokalu, jakby chciał sprawdzić, czy nikt nie podsłuchuje. Ale nic nie powiedział. W zmarszczkach wokół jego oczu, a może w spojrzeniu, Adalgisa dojrzała mroczną czeluść bez dna i serce zabiło jej szybciej. Już nie zadawała więcej pytań, tylko w milczeniu ujęła jego rękę.

– Jak zginęła Ester? Niech mi pan powie prawdę.

– Powieszona, jak napisali w gazecie.

– Wcześniej czy później to musiało się zdarzyć. – Jedna łza potoczyła się po jej twarzy. Nie wytarła jej, pozwoliła spłynąć z policzka. – Biedna moja Ester...

– Nie odebrała sobie życia. Ktoś inny o to zadbał.

Adalgisa spojrzała na niego zdumiona.

– Jak to? Zabita?

– Tak.

– Nie rozumiem... – wyjąkała. – Powiesili ją?

– Tylko upozorowano powieszenie, żeby ukryć fakt zabójstwa.

– Kto mógł...

– To właśnie muszę ustalić.

– Nie... – Adalgisie wyrwał się cichy jęk. – Nie, nie, nie, nie tak, to za wiele.

I zakryła rękami oczy.

Rocco nic nie mówił, czekał, aż się wypłacze. Barman patrzył na niego z wyrzutem. Rocco chciałby wykrzyczeć mu w twarz, że to nie jego wina. Facet kręcił głową i nie spuszczał z niego oczu. Aż wreszcie Rocco musiał ruchem dłoni dać mu do zrozumienia, żeby spieprzał i przestał się wtrzywać w nie swoje sprawy. Adalgisa w końcu się pozbierała. Wytarła oczy, które zamieniły się w dwie czarne kule.

– Wyglądam chyba jak szop pracz... – powiedziała z wymuszonym

uśmiechem.

– Trochę. Gdybym pani jeszcze potrzebował...

– Co? – spytała, odrywając się od swoich myśli.

– Gdzie panią znajdę?

– W księgarni, zawsze tam jestem, otwarte bez przerwy. Ale rano zaczynam o jedenastej, bo przedtem chodzę do szpitala.

– Mam nadzieję, że nic poważnego.

– Nie, moja matka, złamanie kości udowej. Co dzień tam idę, żeby z nią posiedzieć.

– W takim razie życzę zdrowia. – Wziął rachunek, spojrzął na kwotę i położył banknot pięcioeurowy.

– Nie ukrywa pani niczego? – Wstał od stolika.

– Nie – odparła, pociągając nosem. – Pan jest dobrym gliną, pewne rzeczy już wiadomo na mieście. Nie mogłabym przed panem niczego ukryć.

Rocco patrzył na nią z góry, bez słowa.

– Czy wyglądam na taką, która coś ukrywa? W niecałe pięć minut powiedziałam panu o sprawach tak osobistych, że nawet moja matka o nich nie wie.

– A co to ma do rzeczy? Matka to matka, ja jestem obcy. Łatwiej otworzyć się przed obcym, nie wiedziała pani?

Szedł tuż przy ścianach kamienic, jak bezdomny kot, starając się skryć przed deszczem, który znów zaczął padać. W zasięgu wzroku nie było taksówki, musiał dotrzeć do biura na piechotę.

Stojący w podcieniach Syngalez wydawał się zesłany przez niebiosa.

– Po ile?

– Pięć euro za jedną, siedem za dwie parasolki.

– A po co mi dwie? – Rocco zapłacił i wybrał najmniej jaskrawą, czerwoną w czarne grochy. Otworzył ją i ruszył w stronę komendy. Wyjął z kieszeni komórkę. – Hej, Farinelli? To ja, Schiavone.

– Właśnie cię szukałem. Słuchaj... – Zastępca szefa wydziału kryminalistyki miał zmieniony głos, co oznaczało, że zamierzał go ochrzanić. – W domu Baudów narobiliście niezłego burdelu.

– Wiem, wiem, ale mam coś bardzo pilnego.

– Gadaj.

– Możesz podesłać Fumagallemu paski i krawaty znalezione w mieszkaniu?

– Mogę wiedzieć dlaczego?

Co za upierdliwiec, pomyślał Rocco.

– Bo musi je zbadać jako potencjalne narzędzia zbrodni.

Farinelli serdecznie się zaśmiał. Schiavone pierwszy raz słyszał jego śmiech.

– Nie wiem, co cię tak rozbawiło.

– A według ciebie zabójca zostawił narzędzie zbrodni w mieszkaniu?

– A według ciebie nie powinienem nawet spróbować?

Śmiech zamarł Farinellemu w gardle.

– Nie, nie, jasne, masz rację.

– No więc uwiń się, bo lekarz na nie czeka. Wiesz, jak łatwo się wkurwia.

– Tamten? Dobrze by zrobił, jakby pojechał na urlop. A teraz mnie posłuchaj.

– Zacz... słyszę ...szczy ...steś tam?

– Że co?

– Nie ...yszę ...rywa. Halo, ...steś tam ...lę oddzwo... – Rocco wyłączył komórkę i uśmiechając się pod nosem, przyspieszył kroku.

Deszcz pokrył łzami całą szybę okienną. Taka z niego korzyść, że rozpuści resztki śniegu na dachach i chodnikach. Rocco w zamyśleniu patrzył na asfalt zalewany strugami wody, gdy rozległ się dzwonek telefonu.

– Słucham?

– Tu De Silvestri.

De Silvestri. Stary policjant z komisariatu przy alei Kolumba w dzielnicy EUR w Rzymie. Można było na niego liczyć. Robił wszystko, zanim jeszcze mu się powiedziało, żeby zrobić. Ważny element dawnego życia.

– De Silvestri? Miło cię słyszeć.

– Jak się pan czuje w Aoście?

Rocco spojrział na biuro, na zalaną deszczem szybę.

– Inne pytania?

– Nigdy bym panu nie zawracał głowy, ale to coś ważnego. Musimy o tym porozmawiać.

– O twojej emeryturze? – Rocco się roześmiał.

Po drugiej stronie szczerzy kumpelski śmiech De Silvestriego odbił się echem jak w jaskini.

– Nie, muszę jeszcze poczekać parę lat. Ale i tak już zrozumiałem, że odejdę stąd dopiero, jak mnie wsadzą w drewnianą skrzynkę.

– Nie mów tak.

– Musi pan coś wiedzieć. Pana następcę, Mario Busdon, jest z Rovigo.

– No i...?

– Niczego nie kapuje. Nie umie się tu poruszać. A jest problem do rozwiązania.

Rocco przysiadł. De Silvestri nagle spowaźniał.

– Możemy przez telefon? – spytał Rocco.

– Nie, lepiej nie. Jutro jest niedziela, jadę z synem na stadion. Juve–Lazio.

– Po co zabierasz dzieciaka? Żeby patrzył na masakrę? Okrutny jesteś.

– Wcale nie jest powiedziane.

– Powiedziane, powiedziane. Trzy gwizdki i wracacie do waszego Formello.
– Trzy gwizdki takie jak te, co zaliczyliście wczoraj w Mediolanie?
– Nie bądź taki ironiczny, De Silvestri. Nawet tu w Aoście jestem ciągle twoim przełożonym. No więc jedziesz do Turynu i...

– I skoczę dalej. Spotkamy się w połowie drogi?

– Dobrze. Masz pomysł gdzie?

– Przylecę samolotem. Zna pan Ciriè?

– Kto to?

– Miasteczko pod Turynem. Spotkajmy się tam. Wynajmę samochód na lotnisku.

– Dlaczego akurat w Ciriè?

– Bo mam tam odwiedzić kogoś bardzo mi bliskiego, a z lotniska i z powrotem to tylko dwadzieścia kilometrów, nawet nie będę musiał tankować samochodu.

– Jakieś konkretne miejsce?

– Bar przy ulicy Rossetti. Tam się spotkajmy.

– O której?

– W południe.

– De Silvestri, nie ruszę się, dopóki mi nie powiesz, co to za bliską osobę masz odwiedzić pod Turynem.

– Po co chce pan wiedzieć?

– Bo tak. Kochanka?

De Silvestri znów serdecznie się zaśmiał.

– Tak, osiemdziesięcioczworoletnia. Moja ciotka. Siostra mojej zmarłej mamy.

– Masz wielkie serce.

– Nie, po prostu ciotka wyszła znów za mąż i chce, żebym poznał jej męża.

– Wyszła za mąż w wieku osiemdziesięciu czterech lat?

– A on ma dziewięćdziesiąt dwa.

Rocco zastanowił się nad tym.

– Wypytaj, co oni jedzą. Chyba mają dobrą dietę na długowieczność.

– Na pewno. Do jutra.

– Do jutra.

Jaki to był problem? Coś związanego ze starymi sprawami z Rzymu, może jakiś kumpel wpadł w kłopoty? Ale w takim razie to nie De Silvestri by do niego dzwonił, tylko Seba albo Furio. Coś, co go dotyczyło? Nie zostawił niczego w zawieszeniu. Pospłacał długi, a zresztą gdyby chodziło o coś w banku, to zadzwoniłby Daniele, jego prawnik i księgowy. Musiał zaczekać do następnego dnia, żeby się dowiedzieć.

Popołudnie gasło powoli, a wraz z nim światła w biurze. Chciał wrócić do

domu, do ciepła, wstąpić po drodze do sklepu garmazeryjnego i kupić jakieś świństwo, wykąpać się i pogapić na telewizję.

Zupełnie zapomniał o Italu Pierronie, którego nie słyszał od drugiej po południu, kiedy zlecił mu śledzenie Helmiego.

Myślał właśnie o tym, wychodząc z pizzerii, gdzie za sześć euro kupił kawałek zjełczałej pizzy z mozzarellą. Deszcz na trochę odpuścił miastu, na chodnikach leżała błotnista breja. Prawie zderzył się z kobietą, która szła z naprzeciwka.

– Przepraszam.

– Pan Schiavone!

To była Adalgisa. Ładnie jej było w dżinsach, kozakach i puchówce do kolan. Spojrzała na pudełko z pizzą. Rocco obracał je w dłoniach, nie wiedzieć czemu chcąc ukryć tę widomą oznakę samotności.

– Wracam do domu. Niech pan nie myśli, że moja kolacja jest lepsza niż to, co ma pan w ręku. Domyślam się, że nic nowego?

– Dobrze się pani domyśla. A u pani?

– Brak mi jej. Nawet nie umiem wykasować jej numeru z komórki. Miałam dziś dzwonić. Wieczorem jest spotkanie klubu czytelniczego. W księgarni urządzamy wieczory dyskusyjne. Na początku Ester przychodziła punktualnie, notowała w zeszycie, zabierała głos. Potem przestała. Patrizio jej zabronił. Był pewien, że w grupie znajdzie się ktoś bardziej zainteresowany jego żoną niż Edgarem Allanem Poe.

– Dlaczego akurat Poe?

– Lubimy go. Pan nie?

– No to niech mi pani powie. Czy był ktoś bardziej zainteresowany Ester niż literaturą?

– Owszem, księgowy, siedemdziesiąt dwa lata, świeżo po udarze, oraz Federico, trzydzieści pięć lat, od siedmiu zaręczony z Raulem, tancerzem tanga.

– Tak więc koniec z klubem czytelniczym.

Adalgisa zrobiła parę kroków, patrząc w ziemię.

– Tak, koniec z klubem. Ester chciała pisać. Marzyła o tym. Szczerze mówiąc, to było nasze wspólne marzenie od czasów liceum. Zaczynała pisać opowiadanie, ale porzucała je w połowie. Miewała napady kreatywności, na przemian z okresami depresji.

– A pani pisze?

– Od kiedy żyję sama. Może wydadzą mi powieść.

– Autobiograficzną?

– Nie jestem aż tak ciekawa. Nie, kryminał, lubię kryminały. Może jeśli panu pokażę, udzieli mi pan jakichś rad. Sporo się pan w życiu naoglądał.

Uśmiechała się, ale tylko ustami. Oczy miała wciąż smutne, niewyraźne,

jakby je pociągnięto warstwą szarego werniksu.

– To prawda, widziałem niejedno.

– Moja książka opowiada o zbrodni doskonałej.

– Nie istnieją zbrodnie doskonałe. Wie pani dlaczego? Bo zostały popełnione. To wystarczy. Co najwyżej sprawca może mieć dużo szczęścia.

Adalgisa skinęła głową.

– Czyta pan?

– Chciałbym. Ale nie mam kiedy. Czasami wieczorem. Moja żona czytała.

– Ten czas przeszły bardzo mi się nie podoba.

– Wyobraź sobie, że mnie jeszcze bardziej.

– Pełno w panu żalu. Jak pan z tym żyje?

– Źle. A w tobie wcale go nie ma?

Wzruszyła ramionami i wskazała na bramę.

– Dotarłam. Mogę ci mówić per ty?

– No pewnie. Sam zacząłem, nie pytając o zgodę.

– Teraz wiesz, gdzie mieszkam. Od pół roku jesteś tutaj... chciałabym, żebyś uważał mnie za swoją przyjaciółkę.

Spojrzał na kamienicę. Elegancka, dwupiętrowa.

– Skąd wiesz, że od pół roku pracuję w Aoście?

Znów się uśmiechnęła.

– Czytam gazety. Śledziłam sprawę w Champoluc, w lutym. Mówiłam ci, że lubię kryminały, czytam kronikę wypadków w gazetach. Świetnie się spisałeś. Może któregoś dnia powiesz mi, dlaczego wylądowałaś tutaj.

– Dostałem w nagrodę urlop w górach.

Oboje się roześmiali. Adalgisa jak zwykle tylko ustami.

– Skoro tyle o mnie wiesz, to pewnie orientujesz się także, gdzie mieszkam.

– Nie, wiem tylko o sprawach zawodowych, nie prywatnych. O tym, co piszą w gazetach. Mówiłam ci, dużo czytam, obserwuję.

– Wspominałaś o klubie czytelniczym, a nie o salonie fryzjerskim...

– Wszyscy, którzy usiłują zostać pisarzami, mają skłonność do plotkowania.

– W Rzymie inaczej to nazywamy.

– Wpieprzanie się w cudze sprawy?

Potwierdził uśmiechem.

– Nie mogłaś nic zrobić dla Ester, nie czuj się winna i nie miej wyrzutów sumienia.

– To nie takie proste, Rocco.

– Spróbuj mi wyjaśnić.

– Nie warto. To długa i zawiła historia. Może kiedy się bardziej zaprzyjaźnimy... – Wyciągnęła klucze. – Do zobaczenia wkrótce, Rocco.

– Mam nadzieję, że będę miał lepsze wieści.

– Musisz odkryć, kto to zrobił.
– Spokojnie, ten kutas nie ucieknie.
– Sądziś, że to facet?
– Tak. Żeby przeciągnąć sznur z ciałem przez hak od żyrandola, trzeba mieć sporo siły, nie sądziś?
– To niełatwe, masz rację. – Adalgisie oczy znów zasnuł smutek.
Zapewne wyobraziła sobie tę scenę. Przyjaciółka wisząca jak zwierzę w rzeźni.
– A według ciebie jak to zrobił? – spytał.
Opierała się o framugę bramy. Jasne światło ze schodów oświetlało część jej twarzy.
– Nie jest to coś, co chciałabym sobie dokładnie wyobrażać.
– Mówisz, że piszesz kryminały. Opowiedz mi swoją wersję.
Adalgisa głęboko zaczerpnęła powietrza.
– Może zrobiłabym tak jak alpinieści na ścianie. Wbiłabym karabińczyk i przeciągnęła linę.
– Tu, pośród gór, to chyba właściwe skojarzenie. No więc pomógł sobie karabińczykiem albo bloczkiem?
– Tak, coś w tym rodzaju.
– Świetnie. Nie było innego sposobu.
– Tak zrobił? – zapytała słabym głosem.
– Owszem, użył kabla przywiązanego do mebla.
Zadzwoiła nokia w jego kieszeni. Numer komendy.
– Przepraszam, muszę odebrać. – Skinął jej ręką na pożegnanie. – Na razie.
Weszła do środka i zamknęła za sobą bramę, znikając mu z pola widzenia.
– To ja, Pierron.
– Myślałem o tobie, Italo. Masz coś dla mnie?
– Przeszedłem na komendę, ale pana nie było. Trzeba pogadać. Mogę wpaść do pana do domu?
– Zwariowałeś? Spotkajmy się w centrum, w barze przy placu Chanoux.
– Zostawię parę papierów Derucie i przyjadę.
Italo niechcący się nie rozłączył, więc Rocco mógł podsłuchać rozmowę swoich dwóch podwładnych.
– Deruta, jadę do wicekwestora. Skończysz sam wypełniać te papiery?
– Ja? Dlaczego ja? Poza tym kiepsko się czuję.
– Proszę cię o przysługę. Rozpracowujemy coś dużego.
– Ty i Rispoli zgrywacie ważniaków, włączcie w dupę wicekwestorowi, a na mnie zwalacie najgorszą robotę. Któregoś dnia pójdę do niego i zrobię z tym porządek.
– Rób, jak uważasz. Też możesz z nim porozmawiać. Jeśli chcesz rady, im

mniej będziesz mówił o Caterinie, tym lepiej.

– Spierdalaj.

– Sam spierdalaj, grubasie.

Potem dobiegł go szelest papierów, trzaśnięcie drzwi, westchnienie. Najwyraźniej Pierron uciał dyskusję i wyszedł.

Rocco schował telefon i ruszył do baru. Zorientował się, że ciągle trzyma w ręku pizzę – wywalił ją do pierwszego napotkanego kosza. Już dawno wystygła. Zresztą jeśli czegoś naprawdę teraz potrzebował, to na pewno nie gumowatej pizzy i samotnego siedzenia w domu.

– Italo, wyjaśnij mi to – poprosił Rocco, kiedy tylko obaj usiedli przy stoliku pod oknem. – Jest sobota wieczór, a gdzie są młodzi? – Wskazał na opustoszały bar.

– Nie rozumiem.

– Siedzimy w centrum Aosty. W okolicy nie ma właściwie innych lokali poza tym barem, który za chwilę się zamyka. Może jeszcze jakiś pub obok. Co młodzi robią tutaj w sobotę wieczorem?

– Nie wiem.

– A ty co robiłeś?

– Nie jestem stąd, wychowałem się w Verres i dla mnie Aosta była wielkim miastem.

Rocco spojrział przez okno. Znów padało. Ktoś przebiegał podcieniami, mignęło parę parasolek, ale poza tym plac przypominał metafizyczne pejzaże miejskie z obrazów De Chirico.

– Może jadać się zabawić na południe, do Turynu... – Z wielką przyjemnością wymówił to „na południe”. – Tam jest więcej życia, są lokale, puby, dyskoteki, kina, teatry. A propos Turynu: Farinelli z dochodzeniówki dzwonił trzy razy. Ostatni raz przekazał wiadomość Caterinie. Wrócił do Turynu i chce z tobą pogadać.

– Wiem. Żeby mnie znów opieprzyć. To z tego powodu chciałeś się widzieć? W tym momencie Ugo podał dwa kieliszki białego wina.

Rocco mu podziękował, a barman odszedł, by obsłużyć trzech emerytów diskutujących w tym ich niezrozumiałym języku.

– Nie – odparł Italo, bawiąc się kieliszkiem. – Śledziłem chłopaka, tak jak kazałeś. Odkryłem coś ciekawego.

– Dawaj.

– Zatrzymał się na pół godziny w salonie gier, potem pojechał do Arpuilles.

– Dokąd?

– To powyżej Aosty, siedem, osiem kilometrów krętej drogi.

– Po co tam pojechał?

– Zatrzymał się w takim jakby małym magazynie. Posiedział tam ze

dwadzieścia minut i wrócił do Aosty.

Rocco dopił swoje wino. Italo jeszcze nawet nie zamoczył ust.

– No i gdzie ta nowina?

– Chodzi o magazyn. Artykuły sanitarne i kafelki, właściciel nazywa się Gregorio Chevax.

– Dalej nie widzę, co w tym ciekawego.

– Bo nie jesteś stąd. Gregorio Chevax ma pięćdziesiąt trzy lata, w latach dziewięćdziesiątych odsiedział pięć za oszustwo i paserstwo. Sprzedał trzy cenne obrazy ukradzione w jednym z kościołów w Asti.

– No, teraz rozumiem. To nam otwiera pewne widoki, super, Italo.

Pierron wreszcie napił się wina. Zadowolony otarł usta.

– Co robimy?

– Jest sobota wieczór – odrzekł Rocco. – Zabawimy się.

Była dziewiąta, kiedy Rocco, chroniąc się pod czarnym parasolem, stał przed domkiem w Arpuilles i naciskał dzwonek domofonu.

– Kto tam? – odezwał się niemiły głos.

– Szukam Gregoria Chevaxa.

– Ale kto tam?

– Wicekwesor Rocco Schiavone.

Cisza. Tylko deszcz bębniący uporczywie w parasol.

– Proszę wejść. – Szczęknął zamek furtki. Przez mały ogród Rocco przeszedł żwirową ścieżką do domu.

Na parterze zapaliło się światło, zaraz potem otworzyły się drzwi. W ich prześwicie zobaczył sylwetkę faceta w koszuli, metr siedemdziesiąt pięć wzrostu.

– Wejdzie pan...

– Dobry wieczór. Schiavone. Przepraszam za porę, ale w moim zawodzie nie ma stałych godzin pracy.

Facet się nie uśmiechnął. Podał Roccowi rękę i cofnął się, wpuszczając go do środka. Wziął jego mokry parasol i wetknął go do stojaka. W świetle halogenów wbudowanych w sufit Rocco mógł mu się wreszcie przyjrzeć. Podobieństwo do rogatnicy było uderzające. To mała kolorowa rybka żyjąca w rafach koralowych, o nieproporcjonalnie wielkiej głowie i oczach położonych niemal pośrodku ciała. Malutkie usta dzieliła od wielkiego nosa odległość, której nie zakryłyby nawet wąsy detektywa z serialu *Magnum*. Pozbawione wyrazu okrągłe oczka były tak oddalone od nasady nosa, że wydawały się prawie wystawać ze skroni. Miał zaskoczony wyraz twarzy, jak okaz *Rhinecanthus aculeatus*, która to ryba cieszy się jednak na rafach zasłużoną sławą drapieżnika.

– Co mogę dla pana zrobić?

– Prosta sprawa. – Rocco ciągle nie mógł oderwać od niego oczu. Hipnotyzowała go monstrualność tej twarzy, ucłowieczonej nieco przez

trzydniowy zarost. Musiał wymazać ze świadomości obrazki z encyklopedii zwierząt, bo inaczej spędziłyby jeszcze pół godziny na podziwianiu tego oblicza. – Potrzebuję pomocy. W dziewięćdziesiątym piątym roku miał pan trochę problemów z prawem, czy tak?

Gregorio uśmiechnął się.

– Stare długi, już spłacone.

– Tak, tak, ja nie w tej sprawie. Wiem, że teraz handluje pan artykułami sanitarnymi. Ładny magazyn, interesy nieźle idą, prawda?

– Nie narzekam, jestem uczciwym przedsiębiorcą.

– To też o panu wiem. Ale i tak może mi pan pomóc. Ostatnio w okolicy miało miejsce wiele włamań do kościołów i prywatnych zbiorów.

– Nie wiedziałem.

– A teraz już pan wie. Próbuje odnaleźć skradzione rzeczy. – Zamilkł i spojrzał mu w oczy. Gregorio też milczał, czekając na dalszy ciąg. – Działal pan w branży. Pewnie pamięta pan jakieś nazwiska, coś, co mogłoby nam pomóc, mam rację?

Gregorio oparł się o ścianę, na której wisiał ładny neapolitański pejzaż morski.

– Nie, nie ma pan racji. Nie znam nikogo i nie wiem, o czym my tu, kurwa, rozmawiamy.

– Dlaczego robi się pan taki agresywny? – uprzejmym tonem spytał Rocco.

– Bo jest dziewiąta i wybierałem się na kolację, bo z tym gównem nie mam nic wspólnego. A jak chce pan ze mną rozmawiać, to muszę dostać wezwanie na komendę.

– Przepraszam za najście, panie Cheval.

– Chevax.

– Jak zwał, tak zwał. Widzi pan, muszę coś znaleźć, bo jak nie, to mi szef zamieni życie w piekło.

– A co mnie to obchodzi.

Rocco się zaśmiał, co kompletnie zbiło z tropu byłego pasera.

– Trafna odpowiedź. Aż zbyt trafna. Ale teraz się zabawimy. Zna pan grę w „jeśli”?

– Nie znam i nie chce mi się grać.

– Jeślibym panu powiedział: okradłem mieszkanie z biżuterii i muszę ją upłynnić, to do kogo mam pójść?

– Znowu? Już mówiłem, że nic nie wiem. Nadużywa pan mojej cierpliwości.

– Ale widzi pan, staram się być uprzejmy. – Chevax patrzył na niego, nic nie rozumiejąc. – Pan wciąż gra cwaniaka. To nie jest ładne.

– Teraz...

– Teraz stulisz pysk i posłuchasz. – Oczy policjanta zwężyły się w szparki.

– Nie wierzę w twoje bajeczki, czuję tu smród. A ja się nie mylę. Nie gramy już w „jeśli”, rozmawiamy inaczej.

– Jeśli pan sobie myśli, że...

– Zamknij gębę i czekaj, aż skończę, gnoju jeden. – Gregorio Chevax przełknął ślinę. – Nie pomogłeś mi, a to źle, bardzo źle. Jutro wrócę z nakazem od prokuratora i zajrzę ci nawet w gacie. Wszędzie. Tu w domu i w twoim pieprzonym magazynie. Znajdę choć jedną lewą rzecz, wracasz do pudła.

Błyskawicznym ruchem ręki Rocco chwycił parasol, a szybkość tego gestu wystraszyła Chevaxa – cofnął się, jakby spodziewał się ciosu.

– Od jutra zacznie się dla ciebie piekło.

– Nie mam nic do ukrycia i nie boję się pana.

– Przyjechałem nie po to, by cię straszyć, tylko żeby ci powiedzieć, że masz teraz we mnie wroga. Nie mogłeś znaleźć gorszego. Uwierz mi.

Otworzył drzwi i szybkim krokiem wyszedł. Chevax patrzył, jak idzie pod parasolem. Począł, aż policjant znajdzie się za furką, i zamknął drzwi. Na ulicy Rocco natychmiast wyjął telefon.

– Italo, jesteście na miejscu? Masz Caterinę?

– Jesteśmy. Tylko pada, kurde.

– Trudno. Wracam do domu, bo już lecę z nóg. Pamiętaj, wyłączcie światła i nie wysiadajcie z samochodu. Żadnego koguta.

– Jasne, szefie.

– Na moje wyczucie, trochę to potrwa. Ten kutas odczeka do nocy, żeby się ruszyć. Cierpliwości.

– Tak jest.

– *Dzwonił De Silvestri, ma mi do przekazania jakąś sprawę z Rzymu – mówię do Mariny, ale nie odpowiada. – Gdzie jesteś? Jesteś tu?*

Nie ma jej w sypialni ani w kuchni. Łóżko jest nietknięte, deszcz ciągle wali w szyby. To miasto ma pewną zaskakującą cechę: potrafi wytrzymać niekończący się deszcz i śnieg. „Gdyby w Rzymie padało nawet dziesięć razy mniej, wyobrażasz sobie, jak by wyglądały bulwary nad Tybrem? Trupy, ranni, apokalipsa”. Wywalilem pizzę, w lodówce jest tak pusto, że słyhać echo.

Półwka cytryny i torba, która zaraz sama wyjdzie na spacer, wolę nawet nie sprawdzać jej zawartości, pół butelki mineralnej i butelka szampana Moët. Po cholere go kupilem? Co chciałem uczcić? O czymś zapomniałem? Nie o urodzinach, mam je w sierpniu. Urodziny Mariny są dwudziestego w tym miesiącu, ale to nie dla niej ten szampan, obiecałem jej coś innego, czego muszę dotrzymać. Może w takim razie chciałem wypić za pamięć taty? Odszedł w listopadzie. A mama na początku października. Ale żeby ich wspominać, nie muszę mieć moëta. Nie otwiera się szampana, by wspominać zmarłych.

– *Kochanie, po co ją kupilem?*

– *Głupi jesteś, to nasza rocznica – odpowiada Marina.*

Nie mogę jej zlokalizować.

– *Nasza... do licha, drugiego marca.*

– *Już przeszła – uświadamia mi.*

– *I nie uczciliśmy jej?*

– *A jakże, uczciliśmy, tylko że kupiłeś dwie butelki.*

Drugi marca 1998 roku. W urzędzie w Bracciano, wiosce, skąd pochodzi rodzina Mariny. W życiu tyle nie wypilem. Wesele było nad jeziorem. Są ludzie, którzy jeszcze to pamiętają. Ja nie. Moje wspomnienia z tego wieczoru zatrzymują się mniej więcej na dziewiątej. Podobno ścigałem się na rowerze wodnym.

– *Marina, co wtedy z siebie zjadłem?*

– *Prościej będzie powiedzieć, czego nie zjadłem. – Wreszcie czuję jej zapach. Odwracam się, stoi oparta o drzwi salonu. – Musisz coś zjeść.*

– *Nie zrobiłem zakupów.*

– *Ugotuj makaron.*

– *Nawet bez parmezanu?*

– *Idź do sklepu, kup coś i włóż do zamrażalnika. Będziesz miał na zapas do zjedzenia.*

– *Wiesz, co zrobię? Wypalę szesnaście papierosów, wypiję trzy kawy, a potem szampana, to głód mi przejdzie.*

– *To jest dopiero zdrowe odżywianie! – zauważa ze śmiechem Marina. Ile ma zębów? Więcej ode mnie. Są tak białe, że aż trudno uwierzyć.*

– *Pojechałeś tam wreszcie?*

Wiem, o co jej chodzi. Obejrzeć domy w Prowansji. Nasze marzenie. Tam zakończyć życie, jak stare słońce grzejące się na słońcu.

– *Pojechałeś tam czy nie? Stąd to parę godzin.*

– *Nie. I szczerze mówiąc, przestałem szukać w internecie domów koło Aix.*

– *Siadam na kanapie i patrzę na Marinę. Ale ona nie odpuszcza.*

– *Dlaczego?*

– *Dlaczego nie pojechałem?*

– *Tak. Dlaczego?*

Jak mam jej to powiedzieć?

– *Mari, tam jest za drogo.*

– *Pieniądze nigdy nie były dla ciebie problemem.*

– *W Prowansji mówią po francusku.*

– *To dość oczywiste, skoro Prowansja znajduje się we Francji. Mówiłeś, że się w pół roku nauczysz. Co się stało? Przestała ci się podobać?*

Nie wiem.

– *Nie wiem, Marina. Nie jest już tak jak kiedyś.*

– *Ale musisz mieć jakieś miejsce na starość. Jeśli nie, to po co żyć*

i pracować?

Odwracam się, ale zniknęła. Na pewno poszła do sypialni po notes z trudnymi słowami.

*– „I może właśnie maszty, prace w odmęt burzy, są z tych, którym wiatr znaczy rychły kres podróży, gdy bez masztów, wysp żyznych zagubić się zdarzy... Lecz, o me serce, słuchaj śpiewu marynarzy”**.

Odwracam się. Wróciła do salonu, trzyma w ręku książkę.

– Ładny wiersz. Czyje to?

– To jedna z twoich starych książek, powinieneś to wiedzieć. Pokazuje mi okładkę. Widzę kolory, ale nie autora.

– Nie pamiętam.

Ukrywa ją za plecami.

– Wszystkie wiersze w niej sobie pozaznaczałam, są piękne, kochanie.

Patrzę na nią. Przeciąga dłonią po twarzy, posyła mi jeszcze jeden uśmiech i znika. A ja zostaję na kanapie, nie mam siły pójść po szampana ani nawet sięgnąć po pilota. Czuję, jak zapadam się w ruchome piaski.

Nie stawiam oporu. I myślę. Może umieranie jest właśnie takie? Zamykasz oczy i pozwalasz, żeby wszystko powoli odpłynęło, na zawsze. Zapadasz się w czarnej miękkiej masie, cieplej jak matczynej brzuch, przyjmujesz pozycję embrionalną, zamykasz oczy i wracasz do tego, czym byłeś przed narodzinami. Niewyróżniającą się nutą, która powoli zestraja się z innymi...

Niedziela

Nuty pochodziły z finału IX symfonii Beethovena, grała je nokia odłożona na szklany stolik. Rocco otworzył najpierw jedno oko, potem drugie. Leżał na kanapie, na dworze było ciemno, przestało padać. Miał sucho w ustach. Sięgnął po telefon.

– Kto mi dupę zawraca?

– Szefie, tu Caterina Rispoli. Mamy go.

Rocco usiadł, przetarł oczy.

– Kogo macie, która godzina?

– Trzecia rano. Mamy Gregoria Chevaxa, tu przed magazynem. Może warto, żeby pan tu zajrzał.

– Wpadł?

– Jak zajac na wiosnę.

– Możesz mi wyjaśnić, dlaczego akurat zajac i co ma do tego wiosna?

– Nie wiem, tak się u nas mówi.

– Dobra, dość pieprzenia. – Rozłączył się, wstał, po czym się przeciągnął i zrobił głęboki wdech. – Jedziemy pogadać z tym zajacem, czy raczej rogatnicą.

Panował całkowity mrok, na niebie nie świeciła ani jedna gwiazda. Przy końcu prostego odcinka z za czubków drzew skrywających zakręt dochodziła biała łuna. Wyglądało to prawie na pożar.

Tymczasem były to światła radiowozu i furgonetki. Samochody, jakby szykowały się do pojedynku, stały naprzeciw siebie przed bramą magazynu sanitariatów. Powietrze było zimne. Rocco dostrzegał ledwo widoczne czarne zarysy gór przygniatających dolinę. Lekki wiatr poruszał świerkami. Brudny, błotnisty śnieg nie został całkiem splukany przez wczorajszy deszcz i leżał w zwałach na poboczu.

Gregorio Chevax stał oparty o maskę furgonetki. Italo pilnował go, metr za nim paląc papierosa. Caterina siedziała w radiowozie z otwartymi drzwiami, z jedną nogą opartą na asfalcie.

Rocco z uśmiechem dołączył do grupy. Caterina wyskoczyła z samochodu.

– Gregorio! – zawołał wicekwesor, otwierając szeroko ramiona. – Znów się widzimy!

Facet milczał.

– No i co się stało?

– Niech pan sam zobaczy, szefie – powiedział Italo, zostawiając pasera pod nadzorem Cateriny. Przeszli na tył furgonetki. Jej tylne drzwi stały otworem. Italo zapalił latarkę i Rocco zobaczył wewnątrz parę zafoliowanych umywalek, dwa zamknięte kartony i otwartą skrzynkę na narzędzia, w której zamiast wiertarki czy śrubokrętów były tylko plastikowe torebki.

– Rzuć okiem. – Italo chwycił pierwszą z brzegu torebkę i podał ją wicekwestorowi. Rocco zajrzał do środka. W świetle latarki dostrzegł pierścionki, naszyjniki, bransoletki.

– Pełno tu tego towaru. – Italo wskazał na pozostałe torebki.

– Świetnie.

– Sporo tego mieli.

– Mnie interesuje szczególnie jedna rzecz. Zobaczmy, czy ją znajdę. – Rocco wziął od Itala latarkę i zaczął grzebać w skrzynce. Odrzucał monety, spinki, zegarki. Italo uważnie śledził jego ruchy.

– Co robimy, Rocco?

– To znaczy? – spytał wicekwestor, oglądając zawartość jednej z torebek.

– Czy to wszystko jedzie na komendę?

Rocco się zaśmiał.

– Zaraz ci coś wyjaśnię. To są kradzione rzeczy. A więc zgłoszono ich kradzież. Wiesz, jak się nazywają w slangu? Trefne fanty. Czyli ich wartość to tylko złoto lub kamień, który się wyjmie przed przetopieniem. Bo nie można tych rzeczy sprzedać w tej postaci. – Wyciągnął piękną broszkę w kształcie pawia, z zielonymi i niebieskimi kamieniami. – Popatrz na nią: jest bardzo stara. Warta z dziesięć tysięcy euro, oczywiście w obiegu antykwarycznym, sprzedana legalnie. Jeśli ją rozbierzesz, niewiele uzyskasz. Tak, Italo, te wszystkie rzeczy odwieziemy na komendę.

Italo był wyraźnie zły. Miał nadzieję coś uszczknąć, odbić sobie tę sobotę spędzoną na pracy.

– Szkoda, liczyłem na coś.

– Pootwieraj kartony, według mnie tam też są fanty. W tych wysokich pewnie znajdziesz obrazy.

Rocco wrócił do Cateriny i Gregoria. W ręku trzymał broszkę w kształcie pawia.

– No więc, Chevax... trochę wyszedłeś na durnia, nie? – Facet stracił już rezon i butę sprzed paru godzin. – Caterina, opowiedz, co się działo.

– Chevax wyjechał tą furgonetką z magazynu o pierwszej czterdzieści pięć. Staliśmy niedaleko, zatrzymaliśmy go do rutynowej kontroli drogowej, był bardzo nerwowy.

Rocco z satysfakcją spojrział na pasera, który patrzył na drzewa w oddali. Caterina mówiła dalej.

– Nabraliśmy z kolegą podejrzeń i zażądaliśmy otwarcia części bagażowej. I znaleźliśmy to, co pan widział.

Caterina skończyła swoją relację. Schiavone milczał. Wpatrywał się w Chevaxa, czekając, aż ten przemówi. On jednak nie tylko wyglądał jak ryba, ale i tak samo milczał. Wiatr świszczął w gałęziach świerków. Rocco zapalił

papierosa.

– Gdyby był pan bardziej uprzejmy, nie stalibyśmy tu o trzeciej rano na tym cholernym mrozie, żeby odbyć to przesłuchanie.

Chevax wreszcie podniósł na niego wzrok.

– Chcę rozmawiać ze swoim adwokatem.

– Dzwonił po niego?

– Tak, ale nie odpowiada – wyjaśniła Caterina.

– Gówniany adwokat, prawda? Może więc zakończmy definitywnie wydarzenia tej nocy. Pan będzie dalej wydzwaniał, a moi ludzie odwiozą pana na komendę. – Rocco zwrócił się do Cateriny: – Wezwij parę wozów. Furgonetka jedzie na nasz parking depozytowy. Niech Deruta zrobi listę przedmiotów ze zdjęciami.

– Tak jest, szefie.

– Chevax, dla pana zaczyna się gólgota, w porównaniu z którą męka naszego Pana była niedzielną wycieczką. – Pokazał broszkę w kształcie pawia. – Mówiłem panu, nie? Wystarczyło, żebym dostał tylko to jedno, zostawiłbym pana i pański zasrany biznes. Ale nie, wołał pan zgrywać twardziela.

– Kiedy mój adwokat zabierze się do tej sprawy, męka zacznie się dla pana.

Rocco się zaśmiał.

– Przyjacielu, moje życie jest nieustającą męką od sześciu lat. Możecie mi obaj z adwokatem naskoczyć. Nakreślę panu sytuację: podczas kontroli drogowej złapano pana z towarem, a był pan już karany za kradzież i paserstwo, więc jedyne, co może zrobić adwokat, to udowodnić niepoczytalność. Ale nie sądzę, żeby mu się to udało. Pan nie ma problemów umysłowych. Ma pan braki w inteligencji, ale to nie jest dla sądu okoliczność łagodząca.

Twarz Gregoria była biała w świetle reflektorów samochodowych.

– Możemy się dogadać? – zapytał cichym głosem.

– Jak na przykład?

– Pana interesuje ta broszka. Powiem, kto mi ją przyniósł, i zamkniemy sprawę.

– Gdyby mi pan zaproponował to trzy godziny temu, byłbym całkiem zadowolony. Teraz za późno. Proszę wejść w moją skórę. Jak mam ukryć taki furgon? A poza tym jest jeszcze coś. Ja wiem, kto przyniósł tę broszkę. Chciałem tylko upewnić się na sto procent.

Zapiął płaszcz.

– Kurewsko zimno się zrobiło, co?

Postawił kołnierz i wrócił do samochodu.

– Schiavone! Po pierwsze, nie lubię być budzony o szóstej rano. Jeśli na dodatek jest to szósta rano w niedzielę, to jestem zły do sześcianu. Po drugie, nie lubię, kiedy się mnie niepokoi w domu – powiedział prokurator Baldi zaspanym

głosem.

- Wiem, ale w tym, co pan prokurator mówi, są dwie nieścisłości.
- Słucham.
- Po pierwsze, jest nie szósta, tylko wpół do ósmej. Po drugie, nie dzwonię do domu, tylko na komórkę. A komórka wcale nie musi znajdować się w domu.
- O wpół do ósmej w niedzielę zazwyczaj znajduje się w domu!
- Myślałem, że siedzi już pan po uszy w papierach. Nic na to nie poradzę, taki mam pana obraz.
- Schiavone, pan nigdy nie może być całkiem poważny?
- Jestem bardzo poważny. Dzwonię, bo święcie wierzę w procedury i instytucje.
- Dość już tego, proszę mówić, czego pan chce.
- Dwa nakazy zatrzymania. Gregorio Chevax i Helmi Bastiany.
- A z jakiego powodu?
- Chevax za paserstwo, Helmi za handel narkotykami, rozbój, napaść na policjanta, kradzież.
- I z powodu takich drobiazgów dzwoni pan do mnie o wpół do ósmej w niedzielę?
- Może dodam, że Helmi Bastiany popełnił tę kradzież w mieszkaniu Ester Baudo, ofiary zabójstwa z ulicy Brocherel.
- Rocco usłyszał ciche cmoknięcie językiem.
- Dobra, zrobię sobie kawy. Przyśle pan kogoś czy przyjedzie osobiście?
- Przyślę kogoś.
- Mam prośbę. Niech pan mi nie przysyła tego grubasa ani tego drugiego, z Abruzji.
- Spokojna głowa, panie prokuratorze. Grubas nie ma dziś służby, drugi jest w szpitalu.
- Dlaczego?
- Helmi go tam posłał.
- Niechże zrozumieć: co się stało?
- Wyznaczyłem dwóch swoich dzielnych ludzi do obserwacji podejrzanych o handel narkotykami. Doszło do bójki. Mamy nawet nagranie z monitoringu apteki. Każę skopiować plik i wyślę panu.
- Wiem, to są te czarno-białe przyspieszone nagrania, do których trzeba bieglego z zakładu kryminalistyki, żeby coś wychwytać.
- Proszę mi wierzyć, warto obejrzeć, jeszcze mi pan podziękuje.
- Dlaczego?
- Niech mi pan zaufa.
- Ile to trwa?
- Trzy minuty. Pamięta pan programy z komikami kina niemego?

– Jak wszyscy. Kiedy byłem mały, puszczała je w sobotę po południu w telewizji. A bo co?

– W porównaniu z tym, co mam, Buster Keaton to amator.

– Schiavone, proszę natychmiast przysłać mi to nagranie!

Rocco polecił Scipioniemu i Italowi, żeby po ujęciu Helmiego przetrzymali go na komendzie tak, żeby nie mógł z nikim się skontaktować, a już zwłaszcza ze swoim kumplem od handlu koką, Fabiem Righettim. Adwokat Chevaxa był poza Aostą, miał wrócić nazajutrz. Rocco o jedenastej wsiadł do samochodu, wpisał w nawigację adres w Ciriè i skręcił na autostradę do Turynu.

Ledwo wjechał do Piemontu, niebo się rozjaśniło i blade, słabe słońce usiłowało rozgrzać pola. Błądził wzrokiem po niskich, łysych winnicach przycupniętych w dolinach, odnajdował sabaudzkie bunkry z ciemnego kamienia, schowane między skalnymi występami.

Chude gawrony krążyły nad chaszczami, szukając pożywienia. Niektóre zapuszczały się na środek pustej szosy, żeby poskubać truchło jakiegoś rozjechanego zwierzątka. Rocco nienawidził gawronów. Rozpanoszyły się także w Rzymie. Wyjadały jaja z gniazd wróbli, gilów, sikorek. Było ich coraz więcej i zaczęły opanowywać włoskie niebo. W Rzymie czoła stawiały im tylko mewy i zielone papugi, które skolonizowały duże parki.

To były dopiero prawdziwe drapieżniki. Pochodziły z Brazylii i jeśli chodzi o zaspokajanie głodu, nie musiały się niczego uczyć od włoskiego gawrona. Za każdym razem, kiedy w parku Villa Borghese czy Villa Ada widział, jak ze swoim okropnym skrzekiem lecą zielono-czerwoną chmarą, podobne do sztukasów, myślał o tym kretynie, który pierwszy otworzył klatkę i wypuścił papugę alfa, pionierkę tej gigantycznej, agresywnej kolonii, masakrującej teraz rzymskie wróble i inne ptaszki. Choć, jeśli chodzi o urodę, były piękniejsze od wychudzonych gawronów. Rocco czekał z napięciem na moment, kiedy jakiś następny dyżurny debil wypuści anakondę. Anakondę alfa. Wtedy dopiero zrobi się naprawdę ciekawie. Na pewno spadnie populacja wielkich jak dobermanów rzymskich szczurów, przed którymi koty uciekają gdzie pieprz rośnie. Chciałby kiedyś zobaczyć, jak taki szczur umyka przed dziesięciometrową anakondą, która potrafi w parę minut połknąć bawołu. Byłby to kolejny uboczny efekt globalizacji, zbawienny według Rocca Schiavone.

Z pewnością później powstanie trudny problem usunięcia węży przyczajonych na konarach platanów wzdłuż rzeki, ale ten przeciwnik byłby dobrze widoczny, lepiej niż szczury, i bardziej elegancki. Co więcej, nie byłby nosicielem chorób zakaźnych. Może dzięki obecności anakond ożywiłaby się produkcja butów i torebek? Kto wie...

Zatopiony w myślach o tym zwierzyńcu, Rocco dotarł do wsi Ciriè i zaparkował pod barem przy ulicy Rossetti. De Silvestri już czekał, w głębi lokalu,

przy stoliku, na którym stały dwa kieliszki pomarańczowego płynu i miseczka orzeszków. Wpatrywał się w drzwi i kiedy dostrzegł wchodzącego Rocca, podniósł się, ruszył mu naprzeciw i objął swojego byłego szefa jak odnalezionego brata. Ściskając go, Schiavone zdał sobie sprawę, że po tylu latach pracy ramię w ramię po raz pierwszy widzi go po cywilnemu. De Silvestriemu zaszklily się oczy.

– Dobrze pan wygląda.

– Ty też, De Silvestri, się trzymasz.

– Siadajmy. Pozwoliłem sobie zamówić aperol.

– Alfredo, czemu nie mówisz mi per ty?

– Nie potrafię. Po tylu latach nie potrafię. – Siedli i stuknęli się kieliszkami.

Rocco wypił pół jednym haustem.

– Tego mi było trzeba. Widziałeś, co za pogoda?

– Jesteśmy na północy, czego się pan spodziewa?

– Jak sobie radzi mój następca?

– Spoko facet, ale młody i nie zna Rzymu. Chociaż pewnie się podszkoli.

W niecałe siedem miesięcy nauczył się przeklinać po naszemu. Akcent jeszcze nie całkiem poprawny, ale dobrze mu idzie. – Roześmiali się obaj.

– Jak się czuje moja ulubienica, Elena Dobbrilla?

– Za miesiąc wychodzi za mąż. Według mnie urodzi kupę dzieci i odejdzie z policji.

– Myślisz?

– Ma męża architekta. Będzie dość zarabiał na całą rodzinę.

– Zdrowie Eleny! – Znów brzęknęły kieliszki.

Dopiero teraz De Silvestri przystąpił do rzeczy.

– Przepraszam, że zawracam głowę, ale jest problem w Rzymie.

Rocco poprawił się na krześle i przysunął, żeby mogli rozmawiać ciszej.

– O co chodzi, Alfredo?

Stary kolega rzucił tylko nazwisko.

– Giorgio Borghetti Ansaldo.

Twarz Rocca stężała z nienawiści.

– Co zrobił?

– Znów to samo. Zgwałcił dwie dziewczyny. Jedną przed liceum Vivona, drugą w ogrodzie eukaliptusowym koło źródła San Paolo.

Rocco zacisnął na blacie dłoń, aż knykcie mu pobiełały.

– Wicekwesor Busdon mówi, że nie ma dowodów, że on to zrobił. Ale to nie tak. Nigdy bym tu nie przyjechał, gdybym nie miał absolutnej pewności.

– Jak możesz być pewny?

– Uczennica z liceum Vivona widziała jego twarz. Kiedy pokazałem jej parę zdjęć, od razu rozpoznała naszego synka podsekretarza. Poza tym sprawca kuleje na prawą nogę i nosi okulary z jednym przyciemnionym szkłem. Szefie, to on.

Giorgio Borghetti Ansaldo zgwałcił siedem dziewczyn, jedna popełniła samobójstwo, a potem napotkał na swojej drodze Rocca Schiavone, który o mało nie pobił go na śmierć. Za tę okrutną zemstę został ukarany natychmiastowym przeniesieniem. Zważywszy na to, jak wysoko postawiony był ojciec gwałciciela, Rocca mogła dotknąć gorsza kara. Czekając na wyniki wewnętrznego postępowania dyscyplinarnego, nieraz myślał, że trafi za kratki. Tymczasem zesłali go tylko do Aosty. W sumie miał szczęście.

– Co mogę zrobić, De Silvestri?

– Nie wiem. Może trzeba lekko popchnąć pana następcę. Ale przede wszystkim zatrzymać tego skurwiela. Gdyby pan widział, jak zmasakrował twarz tej dziewczynie.

Rocco wstał od stolika. Przeszedł się po lokalu, oparł głowę o szybę, obserwowany czujnie przez De Silvestriego i barmana, który aż oderwał się od lektury „Tutto Sport”. Wrócił na swoje miejsce.

– Muszę wpaść do Rzymu. Podaj mi nazwiska tych zgwałconych dziewczyn.

– Jasne, trudno je zapomnieć. Ta z parku nazywa się Marta De Cesaris, już ją kiedyś zgwałcił, powinien pan pamiętać.

– Pamiętam, oczywiście. Drugi raz... co jest? Zostawił robotę nieskończoną? A ta, która go rozpoznała?

Policjant spuścił wzrok.

– Nazywa się Paola De Silvestri.

– De Silvestri, tak jak ty?

– To moja bratanica.

Rocco prowadził samochód, czując gwałtowną potrzebę krwi. Był wściekły, sfrustrowany, bezsilny. W uszach słyszał swoje serce bijące jak bęben. Tum, tum, tum.

Wytlumiony bęben, którego nawet głośno nastawione radio nie było w stanie zagłuszyć. Przed sobą, ponad wstęgą asfaltu, widział w odbiciu szyby twarz Giorgia Borghettiego Ansaldo, taką, jak ją zapamiętał z ostatniego dnia w prokuraturze. Wystające zęby, rzadkie włosy po bokach czaszki, tępe bawole oczy, trupioblade dłonie, piegi rozrzucone po twarzy jak sraczka. Ten debil nawet nie zdążył porządnie się wylizać z ran, które wicekwesor mu zadał, a już powrócił do swojej roboty.

Musi jechać do Rzymu. Powstrzymać syna pana podsekretarza stanu, któremu w trakcie jednej z nielicznych rozmów doradził leczenie farmakologiczne dla syna, a w razie niepowodzenia kastrację chemiczną. Ale wpływowy Borghetti Ansaldo oczywiście nie posłuchał i bronił syna, utrzymując, że ten niedorozwinięty trzydziestolatek, który dnię spędza przed PlayStation, a noce między udami nastolatka, jest całkiem niewinny. Rocco złapał telefon, włączył go, wstukał PIN i podpiął słuchawkę. Przypomnił sobie numer Seby, swojego starego przyjaciela,

na którego zawsze mógł liczyć.

– Seba, tu Rocco.

– Wiem, że to ty, stary byku, widzę na wyświetlaczu. Co nowego?

– Jesteś w Rzymie?

– W tym momencie siedzę na kłocie w swoim domu, chcesz dokładnie wiedzieć, co robię?

– Nie muszę, dzięki. Powiedz, Furio i Brizio są tam?

– W mojej łazience?

– W Rzymie, idioto.

– Chyba tak. Możesz wreszcie powiedzieć, co się dzieje? Jakiś fajny interesik?

– W Rzymie jest jedna nuta, która psuje melodię. – Seba milczał, czekając na ciąg dalszy. – Przeszkadza, musimy ją uciszyć.

– Uczepiła się ciebie?

– Nie. Ale dotyczy mnie pośrednio.

– Rozumiem. Przyjeżdżasz?

– Chyba tak. Nie wiem kiedy, ale przyjadę.

– Czekamy. Wystarczy, jak uprzedzisz parę godzin wcześniej.

– Dzięki, Seba.

– To mój obowiązek, brachu. A co tam słyszać w Aoście?

– Pada.

– W Rzymie też pada, jeśli cię to pocieszy.

– Nie pocieszy.

– Jeszcze jedno. Muszę zrozumieć lepiej. Będą potrzebne dziewczuchy?

Miał na myśli broń.

– Tak. Lepiej ze startymi numerami.

– Zrozumiałem. Nie mogę się doczekać, kiedy przyjedziesz.

– Ja też. Pozdrów wszystkich, całusy dla Adele.

– Nie jesteśmy już razem.

– Od kiedy?

– Od kiedy ta stara zdzira kręci z Robim Gusbertim.

– Z tym, co go nazywaliśmy Krawaciarz?

– Niezłe jaja, prawda?

– Niezłe. Ile on ma lat?

– Kto? Krawaciarz? Siedemdziesiąt.

– Dałeś sobie ukraść babę siedemdziesięciolatkowi?

– Brizio twierdzi, że Adele dostrzeża w nim swojego ojca.

– Ale Adele nie widziała swojego ojca na oczy.

– No właśnie. Brizio mówi, że to przeniesienie. Że niby ona przeniosła na Krawaciarza osobę ojca, którego nigdy nie знаła, i zakochała się w nim.

- Od kiedy to Brizio zna się na psychologii?
- Wie takie rzeczy od Stelli, która w kółko czyta pisma w rodzaju „Focusa”.
- Wierzysz w tę teorię z ojcem?
- Rocco, ja tylko wiem, że dopadłem ich razem w łóżku w moim domu, w tym samym łóżku, w którym spała moja świętej pamięci mama.
- Widocznie Adele chciała mieć od razu oboje.
- Jak to?
- Przeniesienie ojca i matki.
- Weź spierdalaj, Rocco.
- Trzymaj się, Seba. Na razie. Zobaczysz, że ona wróci.
- Dlaczego tak myślisz?
- Bo Robiego nazywali Cienka Igła... i wcale nie dlatego, że robił zastrzyki. Seba wybuchł śmiechem.
- Prawda. Cienka Igła.
- No więc Adele wróci i poprosi o wybaczenie.
- Ale ja jej nie wybaczę.
- Wybaczysz, bo bez Adele jesteś tylko wkurwionym niedźwiedziem i skończysz po uszy w gównie. Na przyszłość bądź pokorniejszy. Nie wierzę w żadne teorie Brizia. Prawda jest taka, że Adele wystawia ci teraz rachunek. Pokazuje ci, jakie masz życie bez niej. Jak zwykle wkurzyłeś ją i teraz ona wyrównuje saldo. Jeśli chciałaby cię zostawić, nie zadawałaby się z Krawaciarzem, i to jeszcze w twoim domu, gdzie było pewne, że ich dopadniesz. Gdyby rzeczywiście zamierzała odejść, znalazłaby sobie ładnego, inteligentnego i dostatecznie młodego.
- Takiego jak ty?
- Na przykład.
- Obaj się roześmiali.
- Mówisz, że tak się to ułoży?
- Mówię. Idę o dwieście euro, że za trzy dni zobaczysz Adele.
- Dwieście euro? Zakład stoi. Jeśli przegram, chętnie zapłacę.
- Zapłacisz, zapłacisz. Na razie.
- Ledwo się rozłączył, sygnał esemesa odezwał się sześć razy, niczym seria z karabinu.
- Co jest do kurwy...
- Wszystkie z tego samego numeru. Z komendy.
- Co jest grane? – powiedział do siebie na głos i w tym momencie telefon zadzwonił.
- Znowu z komendy.
- Kto mówi? Co się dzieje?
- Tu Italo.

- No i?
- Helmi... zniknął.
- Jak to?
- Wczoraj wyszedł z domu i...
- Jadę, zaraz będę. Spotkamy się w domu u Iriny.

Tym razem oprócz kobiety był także Ahmed, ojciec Helmiego, sprzedawca owoców. Nerwowo miętosił wąsy, zaczerwienione oczy miał pełne strachu i wciąż rozglądał się dookoła, jakby szukając zguby.

– Co się stało? Helmi wyszedł wczoraj z domu i już nie wrócił? – spytał Rocco.

- Nie całkiem tak. Wrócił, ale nas nie było – odparł Ahmed.
- Skąd pan wie?
- Bo wziął plecak i ubrania. No i swoją drewnianą skrzynkę. Nie ma jej.
- Skrzynkę?
- Tak, chyba trzymał w niej pieniądze.
- Miał jakieś dokumenty?
- Tak, paszport. Dlaczego pan pyta?
- I paszport został w domu?

Ahmed spojrzał na Irinę. Rzucił się do szafki w przedpokoju. Otworzył pierwszą szufladę, wyjął paszport swój i Iriny. Trzeciego nie było. Pogrzebał głębiej, mamrocząc po arabsku, po czym bezradnie zwrócił się do policjantów:

- Nie ma. Trzymamy je wszystkie tutaj.

Rocco spojrzał na Itala.

- Jak to widzisz?

– Proste. Wsiadł w pociąg do Szwajcarii, a stamtąd w samolot dokądkolwiek.

- Trzeba wydać międzynarodowy nakaz zatrzymania. Niech to szlag.

– Ale co zrobił? Dlaczego ucieka? – zapytał Ahmed, zbliżając się do policjantów.

- Kradzież, napaść na funkcjonariusza.
- Kradzież? Gdzie coś ukradł? – spytała Irina.
- W domu Baudów, proszę pani, rano tego dnia, gdy doszło do zabójstwa.

Irina i Ahmed popatrzyli po sobie. Ojciec ukrył twarz w dłoniach i wybuchnął płaczem.

- Nie, tylko nie Helmi... nie.

Irina go przytuliła. Sprzedawca opuścił głowę na jej piersi, jak zrozpaczone dziecko. Płakał spazmatycznie, łkając tak głośno, że zagłuszał odgłosy ulicy. Irina obejmowała go, wilgotnymi oczami patrząc w stronę policjantów. W tym spojrzeniu było tuzin pytań, ale nie zadała żadnego. Zresztą wiedziała, że na żadne z nich nie umieliby wyczerpująco odpowiedzieć.

– ...do matki – wymamrotał Ahmed, kiedy się nieco uspokoił.

– Do matki? O co chodzi?

– Mówię, że pojechał do matki, do Egiptu. Do Aleksandrii.

– Ile lat mu tutaj grozi? – spytała trzeźwo Irina.

– Nie wiem, chociaż za kradzież i napaść kilka na pewno.

– Ale jest jeszcze zabójstwo, nie? – dodała.

Ahmed patrzył nieruchomo na Rocca.

– Nie wiem. Dlatego chciałem go mieć na komendzie.

– Mój syn zabił? Mój syn zabił... – Ahmed uwolnił się z czułych ramion Iriny i powoli, ze spuszczoną głową, poszedł do sypialni i zamknął za sobą drzwi.

– Co można zrobić? – zapytała Irina.

– Wydać międzynarodowy nakaz, szukać na lotniskach i dworcach. Wciągnąć do sprawy Interpol. To już wykracza poza moje kompetencje.

– A jak go znajdą?

– Jak go znajdą, to będzie miał, jak to mówią u nas w Rzymie, przegwizdane.

Stracił godzinę przy telefonie, najpierw próbując znaleźć komendanta, który zjeżdżał sobie na trasach w Courmayeur, a potem rozmawiając z Baldim, który, jak było do przewidzenia, sprawę Helmiego zrzucił na kolegę. Tylko trzęsienie ziemi skłoniłoby pana prokuratora do wyjścia z domu w niedzielę.

Miał się spotkać z Patriziem Baudem, ale nie zastał go w domu w Charvensod. Jego matka skierowała Rocca do późnogotyckiego kościoła Sant'Orso, jednej z turystycznych atrakcji Aosty.

Był tutaj po raz pierwszy. Zatrzymał się, podziwiając piękną środkową nawę. Wewnątrz też panowało przenikliwe zimno, oddech parował z ust. Wreszcie dostrzegł Patrizia Bauda: klęczał w ławce z zamkniętymi oczami, z głową opartą na dłoniach w rękawiczkach. Rocco usiadł pięć rzędów za nim, nie chcąc mu przerywać jego modlitwy i skupienia. Podniósł wzrok na las kolumn i żeber łączących się wysoko pod sklepieniem. Przyjrzał się barokowej konstrukcji oddzielającej nawę od prezbiterium. Widać było, że została dodana potem – nie miała nic wspólnego z późnym gotykiem.

Kiedy tak błędził wzrokiem, usłyszał za plecami szelest. Zjawił się ksiądz. Odwzajemnił uśmiech Rocca i usiadł obok niego.

– Pan wicekwestor, prawda?

– Ksiądz mnie zna?

– Z gazet. – Miał bródkę, krótko ostrzyżone włosy i jasne, spokojne oczy.

– Przyszedł pan do Patrizia, zgadza się?

– Tak, ale nie chcę mu przeszkadzać. Tak naprawdę potrzebuję tylko drobnej informacji.

– Może ja mogę jej panu udzielić.

- Nie, nie może ksiądz. – Spojrzał księdzu w oczy.
- Pogrzeb Ester odbędzie się u nas. Pan kieruje śledztwem?
- Powiedzmy.
- Coś nowego?
- Nie. Nic.
- Jest pan jak grób.
- W ustach księdza nie wydaje się to komplementem.

Patrizio Baudo właśnie wstał. Przeżegnał się i wyszedł z ławki. Kiedy dostrzegł Rocca gawędzącego z księdzem, spochmurniał. Zbliżył się powoli.

– Dzień dobry, panie Baudo – rzucił Rocco, nie podnosząc się z miejsca.
– Nie chciałem przeszkadzać.

– Dzień dobry, komisarzu.

– To wicekwesor, komisarzy już nie ma, drogi Patrizio – zwrócił mu uwagę ksiądz.

– Słusznie. A przy okazji, panie Patrizio, najlepsze życzenia, miał pan wczoraj imieniny, prawda?

– Tak... dziękuję.

– Chciałem tylko coś panu pokazać. – Wyjął zdjęcie broszki w kształcie pawia. – Poznaje pan?

Patrizio wytrzeszczył oczy.

– No pewnie, że poznaję. Podarowałem tę broszkę Ester, to pamiątka po mojej babci.

Rocco wręczył zdjęcie księdzu, który już nie mógł wytrzymać z ciekawości.

– Gdzie pan ją znalazł?

– U pasera.

– Zmuście go, żeby powiedział, od kogo ją dostał – krzyknął Patrizio, aż echo odbiło się od sklepienia.

– Już wiemy kto – odrzekł Rocco, celowo ścisząc przesadnie głos, żeby przywrócić spokój domowi bożemu.

– To on zabił Ester! – Patrizio nie był w stanie się pohamować.

Ksiądz spojrział na niego.

– Uspokój się, Patrizio.

– Jak to: uspokój się? Złapaliście go? Kto to? Chcę wiedzieć!

– Proszę się opanować, panie Baudo. Chodziło mi tylko o broszkę.

– To nie do wiary! Przecież to jest dowód. Mam prawo wiedzieć, kto to zrobił.

– Powiemy panu we właściwej chwili, proszę się nie obawiać. Obecnie trwa śledztwo i niestety są to informacje poufne.

– Śmierć mojej żony też jest czymś poufnym, a i tak jest na ustach wszystkich!

– Dość tego, Patrizio! – wtrącił się ksiądz. – Jestem pewien, że pan Schiavone robi wszystko, co w jego mocy, by złapać winnego.

Patrizio uspokoił się nieco, słysząc głos duszpasterza. Z trudem oddychał. Patrzył na swoje dłonie w rękawiczkach.

– Przepraszam, bardzo przepraszam.

– To nic, dobrze, że panu przeszło. Prowadzę śledztwo, które pana dotyczy. Proszę nie nalegać i się nie wtrącać. A teraz, jeśli pan pozwoli, wrócę do pracy.

– Od piątku nie mogę zasnąć. A jeśli już zasypiam, to śni mi się zawsze to samo. – Patrizio przysiadł na ławce. – Dwóch mężczyzn wchodzi do mojego mieszkania, żeby je okraść. Żona nakrywa ich, oni ją zabijają, a potem podciągają na haku od żyrandola, jak zarżniętą krowę. – Zasłonił twarz dłońmi. – Czy tak to wyglądało?

– Nie wiem, panie Baudo. Ale ta rekonstrukcja wydaje mi się dobra.

– Jeśli złapaliście złodzieja, to sprawa jest zamknięta – odezwał się ksiądz.

– Niekoniecznie. Powstał mały problem. Ale to nasze wewnętrzne sprawy. Muszę iść, czekają mnie trudne dni. Dziękuję za współpracę, panie Baudo. I dziękuję też księdzu.

Wiatr wreszcie wyniósł się z doliny i temperatura lekko wzrosła. Rocco miał wrażenie, że na dworze było cieplej niż w katedrze.

Przed kościołem popatrzył na ładny plac z dzwonnica i wielką lipą, z tabliczką informującą, że drzewo ma ponad pięćset lat. Ależ się musiało naoglądać różnych rzeczy. Pięćset lat. Człowiek mógłby zwariować, gdyby żył choćby połowę tego, pomyślał, idąc z rękami w kieszeniach starymi uliczkami Aosty.

Rozmównica w areszcie śledczym w Brissogne miała cztery plamy wilgoci, po jednej w każdym kącie. Przedzieleni stolikiem, Rocco Schiavone i Fabio Righetti patrzyli na siebie w świetle padającym przez małe okienko w absolutnej ciszy. Chłopak pobladł, czub na głowie nieco mu oklapł. Siedział bez słowa, spoglądając to w podłogę, to na policjanta. Gdzieś w oddali ktoś otworzył furkę. Rocco z długopisem w dłoni udawał, że notuje coś na kartce. W rzeczywistości kreślił psychotyczne esy-floresy. Skrobanie po papierze było jedynym dźwiękiem w pomieszczeniu. Rocco w końcu postawił kropkę, odłożył długopis, podniósł wzrok na Fabia. Chłopak go obserwował. Już miał poruszyć szczęką, kiedy w jego oczach pojawił się błysk. Wyjął gumę z ust i przykleił pod blatem.

– Zachowujesz na potem? – spytał Rocco.

Chłopak skinął głową.

Wreszcie drzwi się otworzyły, wszedł Riccardo Biserni, adwokat Righettiego. W garniturze i krawacie. Miał trzydzieści pięć lat, rumianą, zdrową twarz, bystre niebieskie oczy. Uśmiechnął się do wicekwestora.

– Przepraszam za spóźnienie, ale teściowie to teściowie.

Uścisnęli sobie dłonie.

- Nie ma sprawy, Riccardo, chociaż sam chciałeś się żenić.
- Ja? Zwariowałeś. Wrobiła mnie.
- Pierwszy raz ktoś wrobił adwokata.
- I jest to nawet całkiem przyjemne. No więc... – Usiadł obok swojego klienta. – Jak leci, Fabio? Wszystko w porządku? – Otworzył neseser i wyjął z niego plik papierów. – Musisz to podpisać. – Rocco przeciągnął się na krześle.
- Jak cię traktują? Dobrze?
- Dobrze. Siedzę sam.

Riccardo spojrzał na Rocca.

- To ty załatwiłeś?

Schiavone przytaknął.

- Sądziłem, że lepiej, by nie zapoznawał się z pewnymi typami.
- Wiesz, zwykle robię szczegółowe notatki, ale tym razem sobie daruję. To zresztą przyjacielska, nieformalna rozmowa, prawda?

Rocco potwierdził.

- Złapaliśmy Helmiego Bastiany'ego – oznajmił zniecierpliwionym, uważnie obserwując twarz chłopaka. – Mamy twojego współnika.

Righetti spuścił głowę.

- Co nieco nam opowiedział. Popraw mnie, jeśli się mylę. Sprzedaliście trochę biżuterii, żeby mieć kasę dla dilerów za towar, którym handlowaliście potem na skwerku przed dworcem. Zgadza się?

Fabio popatrzył na adwokata, który powoli skinął głową.

- Kokę wzięliśmy bez płacenia. Jakbyśmy sobie dobrze poradzili, miał dać nam więcej.

Rocco nie pytał, od kogo była koka. Teraz chodziło mu o coś innego. Musiał ciągnąć ten bluff. Zagrał w ciemno najwyższą kartą.

- O której weszliście do mieszkania Baudów?

Fabio prychnął.

- Do mieszkania Baudów? – powtórzył pytanie.
- Helmi mówi, że to było o wpół do ósmej. Możesz potwierdzić?
- Nigdy nie byłem w mieszkaniu jakichś tam Baudów. W ogóle nie wiem, o co chodzi.

- To ja ci powiem. To mieszkanie, skąd wynieśliście złoto i broszkę, którą sprzedaliście Gregoriowi Chevaxowi, żeby mieć pieniądze na kokainę.
- Już mówiłem, kokę dostaliśmy bez płacenia. Nie potrzebowaliśmy pieniędzy.
- No to po co okradliście mieszkanie Baudów?
- Nigdzie niczego nie kradłem.

Nadeszła pora na ostatnią zagrywkę.

– Słuchaj, durniu...

– Rocco! – upomniał go adwokat.

– Słuchaj, durniu – powtórzył Rocco. – Weszliście z Helmim do mieszkania, wzięliście biżuterię, pani was nakryła i ją zabiliście. Udusiliście ją! Potem zainscenizowaliście powieszenie.

– Rocco, co ty, kurwa, wygadujesz? – warknął adwokat. – Oskarżasz Fabia o zabójstwo?

– To Helmi go oskarża. Mówi, że pomyśli, żeby powiesić panią Baudo, był Fabia.

– Nikogo nie zabiłem! O czym pan mówi?

– Rocco, jeśli zamierzasz wysunąć pod adresem mojego klienta taki zarzut, jestem zmuszony przerwać tę przyjacielską rozmowę i przenieść ją na poziom formalny.

– Riccardo, ja tylko staram się mu pomóc, bo Helmi zwała na niego całe gównu.

– Nie zmuszaj mnie, żebym dzwonił do prokuratora. Jeśli wyjdę z tego pokoju...

– Helmi zrobił komórką zdjęcie twojemu klientowi. W tym mieszkaniu. Jak grzebie w szafie. Zdajesz sobie sprawę? Chcę go uratować przed zarzutem zabójstwa, do kurwy nędzy!

– To było w pół do dziesiątej – wykrzyknął Fabio, wprawiając w osłupienie i swojego adwokata, i Rocca.

– Fabio, jeśli nie chcesz mówić, odpuść... musimy najpierw zamienić parę słów.

– Nie, nie mam nic do ukrycia. Było w pół do dziesiątej, a nie w pół do ósmej. Rocco poprawił się na krześle.

– Helmi kłamie?

– Jasne, że kłamie. Mieliśmy wejść po siódmej, po wyjściu pana Baudo na trening. Tylko że ten pieprzony skuter Helmiego złapał gumę i straciliśmy kupę czasu.

– Zmieniście oponę?

– Tak, u wulkanizatora naprzeciwko komendy. Może wam powiedzieć. Nazywa się Fabrizio.

– Dobrze, Fabio, mów dalej.

Adwokat ciężko oddychał. Był gotowy do skoku, niczym gepard, ale sytuacja już wymknęła mu się spod kontroli. Rocco niemal widział, jak jego mózg pracuje, żeby poukładać wszystko z powrotem.

– Dojechaliśmy po dziewiątej. Wiem, bo dostałem esemesa na komórkę.

– Kiedy dorobiliście klucze?

Fabio podniósł oczy.

– Trzy dni wcześniej. Helmi wykradł je Irinie.
– Jak to było? Opowiadaj.
– Szliśmy na pewniaka. Wiedziałem, że trzymają biżuterię w sypialni.
Riccardo Biserni słuchał w milczeniu, notował, ale i tak już było pozamiatane.
– Skąd wiedziałeś?
– Któregoś razu Irina powiedziała ojcu Helmiego, że pan Baudo trzyma w sypialni pudełko i że mu poradziła, żeby wstawił sobie szafę pancerną, bo to niebezpieczne tak zostawiać kosztowności na wierzchu.
– Miała rację. Mów dalej.
– Znaleźliśmy pudełko z biżuterią. Wychodziliśmy, kiedy usłyszeliśmy klucz w zamku.
– To była Irina?
Fabio Righetti skinął głową.
– Nie wiedzieliśmy, gdzie się schować. Wsunęliśmy się do ostatniego pokoju, który miał zamknięte drzwi.
Rocco popatrzył na niego.
– I co tam zobaczyłeś?
– Nic. Było ciemno, a nie zapalaliśmy światła, bo Irina by nas znalazła.
– Co zrobiłeś potem?
– Słyszałem, jak Irina woła panią. Pani nie było w domu, na pewno poszła na targ, jak co rano. Potem usłyszałem, jak Irina wybiega, i pomyślałem sobie: kurde, zobaczyła nas, chociaż nie wiedziałem, jak to możliwe. Potknęła się, słyszałem hałas, trzasnęły drzwi. Oczekaliśmy trochę i uciekliśmy z mieszkania.
– Jak wyszliście z kamienicy?
– Przez bramę, nie było nikogo. Schowaliśmy się za samochodem. Irina zatrzymała jakiegoś pana z psem.
Rocco wstał z krzesła.
– Doskonale, Fabio, świetnie się spisałeś.
– Nikogo nie zabiłem. W życiu nie widziałem tej pani, komisarzu.
– Wicekwestorze – poprawił go Rocco. – I nie miałeś pojęcia, co jest w tym ciemnym pokoju?
– Nie.
– Tam były zwłoki Ester Baudo, mój przyjacielu.
Rocco i adwokat spojrzeli po sobie.
– Dlaczego Helmi tak nakłamał? – spytał Fabio.
– Słuchaj no, mały. Już ci to mówiłem przy naszym pierwszym spotkaniu. Gangsterem trzeba się urodzić. A ty nie urodziłeś się taki. Chciałem dowiedzieć się od ciebie, co się tam stało. Teraz porównam to z innymi relacjami i sprawdzę, czy mówisz prawdę. Jeśli tak, zostanie tylko zarzut handlu narkotykami... no

i kradzież. Twój adwokat wie lepiej ode mnie, jak to się dalej potoczy. Ale ja mogę zaświadczyć, że pomysł wyszedł od Helmiego, że to on zrobił rozpoznanie, a ty najwyżej byłeś pomocnikiem. Zaliczysz parę miesięcy i wyjdiesz.

– Komisarzu, to szczerza prawda.

– Nazwij mnie jeszcze raz komisarzem, a załatwię ci dożywocie.

– Tak, wicekwesterze – szybko poprawił się Fabio.

– Jeśli kłamałeś i masz coś wspólnego z zabójstwem, to wszystko się zmienia. – Rocco spojrział na adwokata. – Dobrze, to była owocna rozmowa. Daj mi swoją komórkę.

– Po co?

– To ważne. Mówiłeś, że dostałeś esemesa o dziewiątej w piątek. To dowód na twoją korzyść, wiesz?

– Telefon jest w depozycie – wtrącił adwokat.

– Powtarzam, mówiłem prawdę. Spytajcie u wulkanizatora.

– No pewnie, że spytamy. Dzięki, Riccardo – rzucił Rocco, zmiernając do drzwi.

Adwokat go dogonił.

– Wcale nie zwinąłeś tego Helmiego, zgadza się?

– Skoro już wiesz, to po co pytasz?

Otworzył drzwi i wyszedł z rozmównicy.

– Dlaczego nie wszedłeś wczoraj do sklepu?

– Widziałaś mnie?

– Byłam w barze naprzeciwko.

Nora i Rocco stali na klatce schodowej przed drzwiami, niepewni, czy dalej rozmawiać tu, czy wejść do środka. Patrzyli na siebie zmęczonym wzrokiem.

– Przez ciebie miałam paskudne urodziny, wiesz?

– Wiem.

– To po co teraz przychodzisz?

– Chcę przeprosić.

– Rocco Schiavone przeprasza!

– Nie masz o mnie zbyt dobrego zdania.

– A mogłabym mieć inne?

– Wpuścisz mnie czy będziemy tak tu sterczeć?

– Ani to, ani to – odparła i delikatnie zamknęła mu drzwi przed nosem.

Rocco stał chwilę, wpatrując się w słoje drewna, po czym wziął głęboki oddech i zrobił w tył zwrot.

Na zewnątrz temperatura spadła wraz z nastaniem zmroku. Lodowata dłoń wsunęła mu się pod koszulę.

– Co za cholerny ziąb – zaklął przez zęby, zapinając płaszcz.

Zdażył zrobić dwa kroki, gdy pierwszy samotny płatek śniegu zawirował mu

przed oczami. Latarnie uliczne były pozapalane, w żółtawym świetle tańczyły setki płatków, jak ómy, powolne i majestatyczne. Jeden spadł mu na policzek. Wytarł go i podniósł twarz ku stalowoszaremu niebu, gdzie zobaczył ich mnóstwo. Wyłaniały się z ciemności i nabierały kształtu parę metrów ponad nim. Wyobraził sobie, że jest w statku kosmicznym mknącym z prędkością światła i że te pędzące na niego drobiny to gwiazdy i galaktyki, które mijają w drodze ku nieznanym przestworzom kosmosu.

W mieszkaniu Nory paliło się światło. Stała w jasnym prostokącie okna salonu, patrząc na niego, jak się zabawiał śniegiem. Ich oczy się spotkały. Potem uwagę Rocca przyciągnął ruch w sąsiednim oknie, w sypialni. Cień za zasłoną. Przemknął szybko, ale nie było wątpliwości, że to mężczyzna. Rocco zagryzł wargę i postarał się nadać imię i twarz temu gościowi. Podniósł prawą rękę, jakby miał pomachać Norze, potem zbliżył lewą i uczynił gest otwierania okna. Nora nie od razu zrozumiała. Rocco powtórzył. Posłusznie otworzyła okno i nieco się wychyliła, osłaniając się ręką przed zimnym podmuchem. Rocco uśmiechnął się.

– To chyba architekt Pietro Bucci coś tam. Prawda?

Nora skrzywiła się.

– Co ty gadasz?

– Mówię, że według mnie to architekt Pietro Bucci coś tam.

– Nazywa się Pietro Bucci Rivolta.

– To on?

– Ale kto?

– Ten w twojej sypialni.

Nie odpowiedziała. Zamknęła okno i zaciągnęła zasłony. Niespełna dziesięć sekund później zgasło światło.

No tak, pomyślał Rocco, na pytania retoryczne się nie odpowiada. Śnieg zgęstniał. Nie wydawał się już gwiazdami mijanymi w podróży kosmicznej – teraz były to tylko wpadające za kołnierz płaszczki lodowate płatki śniegu, które wkrótce pokryją ulice niebezpieczną, śliską powłoką.

Pora wracać do domu.

– *Jak chwilę się nad tym zastanowisz, to jest jakiś bóg, prawda? – pyta mnie Marina.*

– *Co konkretnie masz na myśli?*

– *Tego, co gwałci dziewczyny.*

– *Chyba robi sobie jakieś ziółka, słyszę, jak brzęka naczyniami w kuchni.*

– *Wybacz, ale co ma wspólnego Bóg i jego istnienie z tym skurwysynem?*

– *Nie mówię o nim, mówię o tobie.*

– *Wchodzi do salonu i opiera się o stół. W ręku trzyma filiżankę. Tak, ziółka.*

– *Nie rozumiem, Mari.*

– *Jest jakiś bóg, bo w końcu cię ukarali. Jak o tym pomyślisz, to ukarali cię*

za najgłupszą rzecz, którą zrobiliś. Za pobicie tego faceta.

Ma rację.

– Trochę jak z Alem Capone. Poszedł do więzienia za oszustwa podatkowe, a nie za trupy, których mnóstwo pozostawił po sobie w Chicago. Zachowując wszystkie proporcje, tobie, Rocco, przydarzyło się to samo.

– Nie pozostawiłem po sobie trupów.

– Nie? Zastanów się dobrze.

Nie mam ochoty się zastanawiać. Nie chcę w ogóle myśleć.

– No dobra, jest jakiś bóg. Ale dlaczego sprawia ci przyjemność, że mnie tu zesłali?

Śmieje się serdecznie i wyciąga swój odwieczny notes.

Czyta słówko dnia.

– Zарanie. Wiesz, co to znaczy? Pierwsze światło, które zwiastuje nadejście nowego dnia.

– Zorza?

– Tak. Ładne, prawda?

– Nie całkiem. Dziwnie brzmi.

– Ale pierwsze światło jest piękne. Niesie nadzieję, bo prędzej czy później nadchodzi.

Znów mi znika. Zawsze tak robi. W końcu zrozumiałem, co chce mi powiedzieć. Zawsze to samo, nawet jeśli kluczy i używa różnych słów wynalezionych w słowniku. Mówią o jednym i tym samym problemie.

Dobrze o nim wiem. Ale brak mi siły. A może i ochoty. Trzeba do tego dzikiej, zwierzęcej siły. Nie każdy ją musi mieć. Nie każdy może się z tego wygrzebać. Wpadłem w to tak, jak stałem, w butach. Chociaż... te buty na kaloryferze, popatrz, co z nich zostało. A jeszcze nawet nie koniec marca. Zastanawiam się, czy kiedyś nadejdzie tu wiosna. Pojutrze jest dwudziesty i o północy zaczyna się wiosna. Ale w tych okolicach chyba nikt o tym nie wie. Ja wiem. Pojutrze są urodziny Mariny. Urodziła się o północy. Niewiele brakowało, a byłby już dwudziesty pierwszy marca. Dla mnie Marina i wiosna zawsze znaczyły to samo.

Poniedziałek

Padło przez całą noc. Śnieg pokrył ulice i dachy samochodów. Parę spóźnionych płatków wirowało w powietrzu, niepewnych, czy opaść na drzewo, czy na latarnię.

Rocco zaparkował swój samochód, zastawiając furgonetkę, która stała tam od pół roku i ani razu nikt jej nie ruszył. Powinien w końcu wezwać straż miejską, żeby ją odholowała, ale dlaczego miałby rezygnować z wygodnego miejsca postojowego pod domem. Niech sobie stoi.

Stąpając ostrożnie, dotarł do swojego volvo i wszedł do środka. Gęsty oddech wypełnił parą wyziębione wnętrze.

– Cholerny ziąb – warknął.

Przekręcił kluczyk i sto sześćdziesiąt trzy konie mechaniczne zawyły jak na komendę. Włączył ogrzewanie, rozcierając ręce, zmarznięte mimo skórzanych rękawiczek. Musiał podjechać do biura na swoją poranną modlitwę. Popełnił jednak błąd. Niewybaczalne gapiostwo: nie wyłączył komórki, którą uruchamiał zwykle dopiero o dziewiątej. Rozległ się dzwonek.

Podskoczył, prawie wystraszony. Zaklął i zaczął macać kieszenie. W końcu wyciągnął telefon, jakby to był gorący kartofel.

Numer zastrzeżony. Przygotował się, by odebrać: albo to był telemarketing, albo zwierzchnik.

– Słucham?

– Wygrać dwa do jednego z Palermo na ich boisku to nie byle co.

To był Andrea Costa, komendant, który promieniał radością z powodu sukcesu, jaki jego drużyna, czyli Genoa, odniosła na Sycylii.

– No więc, Schiavone. Przed nami rysuje się piękny tydzień. Ładna pogoda, wiatr w żagle.

– Pana optymizm o tej porze jest nieco irytujący – odparł Rocco.

– Głowa do góry! Coś nowego w sprawie Baudo? Przypominam, że jutro mamy konferencję prasową.

– Nie będę mógł w niej uczestniczyć, ale pan umie sobie okręcić dziennikarzy wokół palca. Ja nie potrafię.

– Te gnojki... – zaczął komendant.

– Proszę mi wierzyć, pan ich hipnotyzuje i może pan im nawet opowiedzieć bajkę o Calineczce, a będą szczęśliwi.

– Pochlebia mi pan, Schiavone. Ale sam pan wie, muszę rzucić tej hołocie jakieś ochłapy. Proszę mi coś opowiedzieć.

– Oczywiście. Oto co może pan wetknąć potworowi w pysk: w piątek w mieszkaniu ofiary był ruch jak na dworcu. Poza sprzątaczką zjawili się dwóch złodziejasków.

– Co też pan mówi?!

– Okradli mieszkanie.

– Podejrzewa ich pan o zabójstwo?

– Nie, to dwie ofiermy... zaraz panu wyjaśnię, dlaczego nie mają z tym nic wspólnego.

– No dobra, czy to skomplikowane?

– Tylko trochę.

– Wezmę długopis... – Rocco słyszał histeryczne otwieranie i zamykanie szuflad. – Długopis! Kto mi kradnie długopisy?! – wrzeszczał komendant. – Już, jestem gotowy.

– No więc dwaj młodzieńcy: Fabio Righetti i Helmi Bastiany.

– Helmi co?

– Bastiany.

– Skąd jest? Albańczyk?

– Z Egiptu. Zjawili się, żeby okraść mieszkanie, a ściślej, żeby zabrać biżuterię, o której wiedzieli, że znajduje się w sypialni.

– Skąd wiedzieli?

– Helmi jest synem konkubenta sprzątaczk. Ukradł jej klucze, dorobił je, no i tak dostali się do mieszkania. Otóż Ester Baudo, według ekspertyzy naszego zacnego patomorfologa, zmarła nie później niż o wpół do ósmej. Righetti, współnik Bastiany'ego twierdzi, że weszli tam o wpół do dziesiątej.

– Może kłamie?

– Nie sądzę. Sprawdziłem. O dziewiątej wymieniali przebitą oponę skutera, którym jechali. Proszę słuchać dalej. Kiedy nadeszła sprzątaczk, macocha Helmiego, obaj złodzieje schowali się, po czym, jak mówi Righetti, usłyszeli, że ucieka, a następnie widzieli, jak zaczepia na ulicy emerytowanego wojskowego, tego, który do nas zadzwonił.

– I co to oznacza?

– Irina weszła do mieszkania o dziesiątej. O tej porze obaj byli w środku.

– Ale macocha mogła im opisać to wszystko później.

– Niby kiedy? Nie sądzę. Righetti powiedział mi nawet, że się potknęła i że na ulicy rozmawiała z mężczyzną z psem na smyczy. Widzi pan, nauczyłem się, że kiedy kogoś ogarnia panika, a Irina była spanikowana, zwykle nie zapamiętuje dokładnie szczegółów. A niektóre całkiem zapomina. No więc zadaję sobie pytanie: gdyby Righetti i Helmi zabili Ester Baudo o wpół do ósmej, co, do cholery, robiliby w mieszkaniu przez następne trzy godziny?

– Pozorowali samobójstwo?

– Przez trzy godziny? Tak długo przeciągali sznur przez hak w suficie? Nawet jeśli uwzględnimy strach, napięcie, chwilę na szukanie pomysłu. Moim zdaniem wszystko razem nie powinno zająć więcej niż półtorej godziny. Trzy to

naprawdę za dużo. No i mam zeznania wulkanizatora, który doskonale pamięta dwóch przemarzniętych kretynów na skuterze z przebitą oponą.

– No tak, czas się nie zgadza. Jak pan do tego doszedł?

– Helmi doprowadził mnie prosto do Gregoria Chevaxa, który...

– Wiem, co to za jeden. Wrócił do paserstwa? To ja go aresztowałem za pierwszym razem.

– Wrócił. Helmi zaniósł mu fanty z mieszkania Baudów. No więc ma pan temat dla prasy. Niedługo zresztą zjawi się w komendzie inspektor Rispoli i opracuje dokładną relację. Będzie ją pan miał na papierze.

– A ten cały Helmi gdzie się podziewa?

– No i tu mamy przykry aspekt sprawy. Uciekł. Sądzymy, że za granicę. Jeśli rzuci pan okiem na wczorajsze raporty, znajdzie pan tam kopię międzynarodowego nakazu zatrzymania.

– Kurczę, dlaczego zwiął?

– Bo napadł na policjanta, bo jest winien kasę ludziom bez skrupułów, którzy dali mu towar, bo prędzej czy później byśmy go dopadli, skoro jego wspólnik zaraz trafi do sądu w trybie przyspieszonym.

– Ma pan pojęcie, gdzie się ukrywa?

– Nie. Może pojechał do matki do Egiptu. Przez Szwajcarię, jak sądzę. Czy mamy z Egiptem umowę o ekstradycji?

– Trzeba zapytać prokuratora. O ile pamiętam, nie podpisywaliśmy takiej umowy, ale mogę się mylić. Dziękuję, Schiavone. Pan pracuje nawet w niedzielę?

– Jeśli trzeba. Zresztą nie mam zbyt wiele do roboty w tym mieście.

– Niech się pan nauczy jeździć na nartach. Pokocha pan to miejsce.

– Pomyślę o tym, szefie.

– No więc nie widzimy się na konferencji?

– Będę wdzięczny, jeśli łaskawie zwolni mnie pan z tego obowiązku. Prawdę mówiąc, jestem chyba na dobrym tropie.

– To niech pan działa i informuje mnie o wszystkim. A o tych cholernych gazeciarkach już sam pomyślę. No i proszę pamiętać o wyścigu kolarskim pod koniec kwietnia.

– Tak jest, już nad tym pracuję.

– Świetnie. Podobno te pismaki nie myślą o niczym innym. Szlag by ich trafił.

Stara rana w sercu komendanta jeszcze się nie zabiłiła. To, że żona porzuciła go dla dziennikarza z „La Stampy”, utkwilo w sercu Costy niczym bolesny cierń, który być może zostanie tam na zawsze.

Rocco zaparkował przed komendą na swoim miejscu. Stąpając ostrożnie na palcach, skierował się do wejścia.

Scipioni, który akurat wychodził, uśmiechnął się na jego widok.

– Boi się szef wdepnąć w psie gównu?
– Durniu, przemokną mi clarksy.
– Kiedy wreszcie kupi pan sobie porządne buty?
– Tego samego dnia, kiedy się ode mnie odpieprzysz – warknął ze wzrokiem wciąż wbitym w zaśnieżony chodnik.

Scipioni w swoich nieprzemakalnych buciorach pruł przez zwały śniegu jak lodołamacz.

– Idę do baru. Przynieść kawy?
– Nie, dzięki. A propos Palermo...
– Lepiej dajmy spokój.
– Nie, nie, chcę cię o coś zapytać.

Scipioni przystanął.

– Słucham.
– Jesteś Sycylijczykiem?
– W połowie, po matce, bo mój ojciec pochodzi z Ascoli Piceno.
– I jak się czujesz w Aoście?

Scipioni zadumał się na parę sekund.

– Pod względem zawodowym dobrze. Podobają mi się koledzy, szefowie oczywiście też.

– Dzięki.

– Pod względem klimatycznym także. Lubię zimno. Za to moja żona cierpi i chciałaby się stąd wynieść.

– Też Sycylijka?
– Nie, jest z Saint Vincent.

Rocco wpatrywał się w Scipioniego.

– Urodziła się tutaj i nie lubi zimna?
– Tak bywa.

Kręcąc głową, Rocco wszedł po schodach do budynku. Zmierzał do siebie szybkim krokiem, żeby uniknąć porannego spotkania z Derutą. D'Intino nie stanowił zagrożenia, bo z tego, co wiedział, jeszcze go trzymali w szpitalu. Przemknął przez korytarz i wślizgnął się do swojego pokoju.

Znalazł kartkę. Zapewne od Itala.

Dzwonił De Silvestri z Rzymu. Pilne.

Nawet nie usiadł. Wystukał numer komisariatu przy alei Kolumba w Rzymie. De Silvestri odezwał się od razu – najwyraźniej czekał na ten telefon.

– Co jest? Co się dzieje? – spytał Rocco.

– Szefie, znów to zrobił!

Rocco rzucił słuchawkę i z całych sił w płucach wrzasnął:

– Italo!

Padąco. Światła samochodów na obwodnicy Rzymu odbijały się w mokrym

asfalcie. Wycieraczki taksówki ledwo dawały radę ściągnąć wodę z szyby. Krople bębniły o dach samochodu jak szaleńcza perkusja.

– Ale pogoda, co? – zagaił taksówkarz.

– Zwariować można.

– Jedziemy na ulicę Poerio?

– Która jest?

– Wpół do siódmej.

– Tak, pod dwunasty.

Rocco wyjął komórkę, odszukał w kontaktach numer do Sebastiana.

– Seba? To ja.

– Gdzie jesteś?

– W taksówce. W Rzymie.

– Widzimy się?

– Dziś wieczorem. W Santa Maria. Furio i Brizio też, przekaz im.

– Wedle rozkazu. O ósmej?

– Tak.

Wrócił do Rzymu. Do swojego miasta. Ale choć nie było go tutaj już od wielu miesięcy, nie czuł nic. Gniew. Tylko gniew.

I to potężny.

Otworzył drzwi swojego mieszkania, ale nie wszedł od razu. Został na progu, żeby popatrzeć. W oddali rozległ się grzmot. Wreszcie przemógł się i zapalił światło. Zaduch zamkniętego pomieszczenia. Smętne meble pokryte białymi płachtami. Otwarta lodówka, pusta, pod nią na podłodze ścierki. Zrolowane dywany upchnięte za kanapy. Niedopałek w popielniczce. Rocco wziął go w palce. Papieros Diana. Znak, że Dolores, która przychodziła raz na tydzień sprzątać, zrobiła sobie przerwę. Wszedł do sypialni i otworzył szafę. Z jego rzeczy wisiały tu tylko letnie marynarki. Poza tym sukienki Mariny owinięte w folię. Dotykał ich po kolei. Każda coś mu przypominała. Ślub Furia. Przyjęcie na cześć siostrzeńca Mariny z okazji jego matury. Spotkanie z okazji przejścia teścia na emeryturę. Ostatnia sukienka była czerwona. Ślubna. Uśmiechnął się. Przypomniał sobie uroczystość w urzędzie. Marina w czerwonej sukience, on w zielonych spodniach i białej koszuli. Świeccy patriotyczni Włosi.

– Jak bardzo się spiłem na swoim weselu? – zapytał na głos.

Odwrócił się, ale zobaczył tylko łóżko nakryte przezroczyстым pokrowcem. Przeszedł z sypialni do salonu.

W wielkim oknie tarasowym, po którym spływały strugi deszczu, odbijało się całe mieszkanie. Oparł czoło o szybę. Popatrzył na świat. Błyskawica rozświetliła kopuły kościołów i dachy kamienic. Wszystkie te chmury wiszące nad miastem wyglądały tak, jakby je przywłókł ze sobą z Aosty. Woda wypluwana przez rynny zamieniała taras w sadzawkę. Dostrzegł cień roślin Mariny

upchniętych w kącie. Drzewko cytrynowe, owinięte płachtą, stało pod drewnianą wiatą razem z różami. Dozorczyńni porządnie wykonywała swoją robotę. Te rośliny nie miały prawa umrzeć. Zwłaszcza drzewko cytrynowe. Poczul szarpnięcie w sercu i ucisk w żołądku. Wziął ze stojaka w przedpokoju parasol i wyszedł, zostawiając włączone światła. Może nadeszła pora, żeby sprzedać to poddasze. Nie miał tam nic swojego. Przypomnił mu się film oglądany wiele lat wcześniej, w którym freski na ścianach świeżo odkopanego rzymskiego grobowca w kontakcie z powietrzem rozmywały się i znikwały, a ciało tajemniczej niewolnicy wyparowywało, zostawiając na ołtarzu ofiarnym tylko kupkę szmat i parę pierścieni. Zamknął drzwi, ale nawet nie przekręcił klucza. I tak nie było co kraść.

W Rzymie tak bywa, że ulewa zapowiadająca się na nowy potop urywa się nagle i wszystko wraca do normalności, jeśli nie liczyć zatopionych ulic, powyrywanych drzew i kolosalnej liczby wypadków, w wyniku których zapełniają się oddziały ratunkowe stołecznych szpitali. W powietrzu wisi zmieszany smród spalin, guana, smażeniny i mokrej trawy. Skutery znów zaczynają śmigać po ulicach jak wiosenne jaskółki. Na progi knajp z powrotem wychodzą kelnerzy, żeby czatować na turystów. Przynajmniej na Zatybrzu.

Rocco siedział przy stoliku na zewnątrz, obok grzybkowatego ogrzewacza, popijając piwo w oczekiwaniu na kumpli. Zjawili się punktualnie o ósmej, idąc od strony ulicy Lungaretta. Sebastiano – wysoki, zwalisty, z długimi kręconymi włosami ujarzmionymi przez wełnianą czapkę. Furio – chudy i nerwowy, z rękami zawsze w kieszeniach, a w jego łysinie odbijały się światła latarni. Rozglądali się. Nie żeby byli jakoś specjalnie uważni, ale czujność mieli we krwi. Skrzywienie zawodowe. Jego starzy kumple kontrolowali nawet niebo, jakby coś mogło im zagrozić z góry. *Ursus arctos horribilis* i *Acinonyx jubatus*. Czyli mówiąc po ludzku – grizzly i gepard. Niezła para. Już na wysokości fontanny dostrzegli czekającego Rocca. Wstał i rozłożył ramiona jak Chrystus z Corcovado. Seba i Furio się rozpromienili. Wyściskali się gwałtownie, niczym rugbiści robiący kocioł. Serce Rocca zaczęło na nowo bić.

– Siedzisz na dworze, bo zgrywasz gościa oswojonego z klimatem północy?
– zażartował Furio.

– W środku za dużo ludzi, a zresztą wcale nie jest tak zimno.

– Serio mówisz?

– Serio. Poza tym usiadłem na zewnątrz, bo jestem w Rzymie, a w Rzymie siedzi się na zewnątrz. Chcę sobie pooglądać mozaiki na fasadzie kościoła. Zadowolony?

– Głupis – odezwał się Sebastiano, zdejmując czapkę. Kręcona grzywa, uwolniona, wybuchła. – Idę po piwo.

Wstał, zaczepiając o krzesło.

Rocco spojrzał na Furia.

- Jak się czujesz?
- Tak sobie. Jakoś się żyje. A ty?
- To samo. Jakoś się żyje. Czemu nie ma Brizia?
- Ugrzązł w Albano, teściowa miała udar. Ledwo mówi.
- Paskudna sprawa.
- No. Poza tym ni cholery nie pamięta. A ponieważ Stella wyjechała na tygodniowy staż fryzjerski, Brizio musi robić za niańkę. Wczoraj teściowa wzięła go za hydraulika.
- I pomyśleć, że za młodu mama Stelli była niezłą laską, aż dech zapierało.
- Słuchaj, tobie mogę powiedzieć. Pierwszy raz waliłem konia, myśląc o niej.
- Nie ty jeden. Najgorzej było w lecie... pamiętasz, jak wyglądała?
- Czy pamiętam? Te sukienki w kwiatki, opięte na cyckach. I włosy. Czarne, długie. Usta... słuchaj, powiem ci, że według mnie Brizio ożenił się ze Stellą, bo dokonał przeniesienia jej matki na nią.
- Co się tak uczepiliście tej historii z przeniesieniem?
- A bo co?
- Brizio mówił Sebie, że Adele kręciła z Krawaciarzem z powodu przeniesienia z ojca.
- Widzisz, skoro on tak mówi... Słuchaj, to prawda. Brizio jest ze Stellą ze względu na wspomnienia o jej matce. To takie ludzkie, nie?
- Chyba cię pogięło.
- Któregoś razu, był sierpień, matka Stelli zatrzymała się przy fontannie na placu San Cosimato, żeby obmyć twarz. Ale ochlapała sobie też sukienkę, a pod spodem nie miała niczego. Wszystko było widać! Sutki, wszystko. Z każdym jej oddechem tkanina napinała się tak, jakby za chwilę miało rozsądzić cały ten kram. Zatrzymaliśmy się z Briziem na rowerach i się gapiliśmy. Zauważyła to, spojrzała na nas tymi swoimi zielonymi oczami i posłała nam uśmiech. Nawet oko puściła. Potem, cholera jedna, odwróciła się i pochyliła, żeby ochłodzić sobie kark. Chcesz wiedzieć? Nawet majtek nie miała. Pojechaliśmy szybko z Briziem do domu, weszliśmy do łazienki...
- Dość, Furio, rozumiem. Nawijasz bez sensu.
- Wiesz co, Rocco? Kobiety nie powinny się starzeć.
- Zgadzam się. Starość to rzecz dla facetów. A właśnie, jak się czuje Sebastiano?
- Opowiadał ci o Adele?
- Ta cała historia z Robim Gusbertim to prawda?
- Na twarzy Furia pojawił się uśmieszek.
- Przesadza. Mówi, że ich nakrył w łóżku, ale tak naprawdę było inaczej. Pili sobie kawę w salonie, a Sebastiano resztę sobie dośpiewał. Ale rzeczywiście Adele

ma już dosyć. Seba powinien się ogarnąć.

– A ty?

– Wolny jak ptak, zawsze.

Sebastiano wrócił, niosąc dwa piwa.

– Na zdrowie – zakrzyknął, opadając ciężkim cielskiem na krzesło.

Stuknęli się szklankami. Sebastiano upił porządny łyk i otarł rękawem brodę.

– No więc mów.

Rocco spojrział na nich.

– Powiem krótko: Giorgio Borghetti Ansaldo...

– Co za jeden?

– Taki, co szuka sobie młodych dziewczyn i je gwałci.

– To ten, którego ojciec załatwił ci zesłanie do Aosty? – zapytał Furio.

– Tak. Znów zaczął.

Furio wyciągnął papierosy z kieszeni. Sebastiano odchylił się na oparcie krzesła.

– Co chcesz zrobić?

– Trzeba go powstrzymać.

– Kto wie, że jesteś w Rzymie? – zapytał Furio.

– Tylko Italo. Sebastiano go zna.

– Tak, gliniarz, który nam raz zabezpieczał tyły, w porządku gość – potwierdził Seba.

Furio zaciągnął się głęboko.

– Ale ty lepiej się trzymaj od tego z dala.

– Dlaczego?

– Bo jak cię dorwą, to tym razem trafisz nie do Aosty, tylko do pierdła o zaostrzonym rygorze w Rebibbii.

– A tam szanse dotrwania do końca wyroku są marne – dodał Sebastiano.

– Zresztą wiesz to lepiej ode mnie.

– Chcesz nastraszyć tego chłopaka... jak mu na imię? Giorgio?

– Może nie wyraziłem się jasno. Chcę go powstrzymać raz na zawsze.

– Kiedy mamy to zrobić? – spytał Furio.

– Jutro najpóźniej.

Furio zgasił papierosa w popielniczce.

– Powiedz coś więcej.

– Mam człowieka, który śledzi wszystkie ruchy tego skurwiela, więc dopaść go będzie łatwo.

– Co to za człowiek?

– De Silvestri.

– Policjant?

– Tak, najlepszy.

– Nie za duże ryzyko?

– Nie, ta świnia dorwała jego bratanicę. Przyjechałem, bo do mnie zadzwonił.

Obaj przyjaciele Rocca skinęli głowami.

– No to opowiadaj.

Wtorek

– Senior, kawa – szepnęła Conchita, mieszając łyżeczką kawę w filiżance.

Lekkie, przeciągłe dzwonięcie skłoniło Fernanda Borghettiego Ansaldo do otwarcia oczu.

– Która godzina?

– Wpół do ósmej – odpowiedziała Peruwianka, stawiając kawę na nocnej szafce.

Podsekretarz stanu w MSZ odwrócił się. Jego żona już opuściła małżeńskie łóżko. Podczas gdy gospościa bezszelestnie wychodziła z pogrążonego w półmroku pokoju, przełknął kawę. Była ciepła, dobra, krzepiąca. Żadne kapsułki nie przebijają smaku kawy parzonej w maszynie na gazie. Zawsze tak twierdził i gdyby trafił do resortu gospodarki, zakazałby produkcji tych żalonych ustrojstw wypluwających lurę. Wstał, przetaił oczy, poszedł do łazienki.

Odkręcił wodę. Czekając, aż się ogrzeje, spojrzął na swoje odbicie w lustrze. Musi coś zrobić z brzuchem. Z profilu wyglądał, jakby był w ciąży. Włosy prawie zupełnie zniknęły z jego czaszki. Ale nie miał ochoty na przeszczep ani tym bardziej na perukę. Często występował publicznie i wiedział, że w świetle reflektorów peruki zaczynały mienić się nienaturalnie i zdradzały wszem wobec swoją sztuczność. A to byłby cholerny obciach. Już lepiej być łysym. Zdjął spodnie od pizamy, żeby wejść pod prysznic.

– Fernando? – To była Roberta, jego żona.

– Co się stało?

– Giorgio znów nie wrócił na noc.

– Jak to nie wrócił? Gdzie jest?

Roberta oparła się o framugę, krzyżując ramiona.

– Wczoraj wyszedł z kumplami na pizzę.

– Zadzwoń do nich.

– Za wcześnie.

– A na jego komórkę?

– Wyłączona.

– Pewnie wyrwał jakąś ładną dziewczuchę, ma trzydzieści lat, to normalne.

– Mam nadzieję, że nie.

Ich spojrzenia się spotkały. Znów doszli do punktu, w którym jedno nie było w stanie mówić, a drugie słuchać. Oboje naraz spuścili wzrok.

– Herbata czy mleko?

– Mleko z kropelką kawy. Są croissanty?

Żona skinęła głową i wyszła, a Fernando wszedł pod prysznic.

Letnia woda powoli przywracała mu życie. Gdzie się, do cholery, podziewa Giorgio? Tak naprawdę wkurzało go już samo jego istnienie. Najchętniej

wymazałby go z myśli, w ogóle ze świadomości.

Bodajby się nigdy nie urodził!

Wiedział, że dobry ojciec powinien teraz zacząć wydzwaniać, aż znajdzie syna. Ale o dziewiątej miał w ministerstwie ważne posiedzenie. „Nie mogę stawiać problemów osobistych ponad sprawami wagi państwowej” – powiedział półgłosem. Ale to nie była dokładnie jego myśl. W rzeczywistości ta myśl brzmiała: nie będę sobie dupy zawracał szukaniem gnojka. Niech się jego matka o to zatroszczy. Nie pracuje, nic nie robi od rana do wieczora. Przynajmniej się czymś zajmie.

Fernando miał zwyczaj mówić do siebie na głos pod prysznicem, w samochodzie, kiedy był sam. Mówił tak, jakby obok stał dziennikarz z wyciągniętym mikrofonem. Odkrył, że to dobre ćwiczenie na wymyślanie na poczekaniu wiarygodnych historii. Ćwiczenie w obronie swojej własnej szacownej pozycji. Mówił zawsze rzeczy politycznie poprawne, retorycznie podkreślone aż do granic śmieszności. Musiał wyglądać na prawego, rzetelnego sługę państwa, uważnego na potrzeby wspólnoty, którą reprezentował. Mimo że jego myśli biegły na północ, to, co wychodziło z jego ust, musiało wskazywać na południe.

Codziennie szlifował tę technikę, trenował występy przed kamerą. „Po posiedzeniu mam obiad z delegacją malezyjską. Między naszymi krajami zawsze panował wzajemny szacunek. Będzie to ważne spotkanie, zarówno z politycznego, jak i z ludzkiego punktu widzenia”. W rzeczywistości myślał: będę musiał wysiedzieć przy stole z tymi czterema ciapatymi małpami, które mam serdecznie w dupie, i przekonać je, żeby nie podnosiły opłat turystycznych i zapewniły naszym ośrodkom niezbędną obsługę. „Posiedzenie potrwa długo, może nawet do późnej nocy. Nie mogę teraz sobie głowy zaprzętać eskapadami Giorgia”. W tłumaczeniu: po obiedzie z Malezyjczykami, który – jak liczę – nie zajmie mi więcej niż godzinę, mam randkę z Sabriną. Jeśli pozwolicie, to mogąc wybrać między Sabriną a tym nieszczęsnym gnojem, bezwzględnie wolę jej uda.

Na samą myśl o tych udach dostał erekcji. Wyobraził ją sobie na skórzanej kanapie w jego biurze opłacanym przez podatników. Tak, tego punktu w kalendarzu absolutnie nie można przesunąć. Tym bardziej że dwudziesty marca, wtorek, dzień przed początkiem wiosny, zapowiadał się na historyczną datę dla niego i Sabriny. To miał być ten dzień, kiedy Fernando Borghetti Ansaldo dokona epokowego zwrotu w swym cudzołożnym związku. Dziś oficjalnie zamierzał zażądać od Sabriny, by nie odmawiała mu tyłka.

Nieskazitelnie lśniące bmw z zaledwie dwudziestoma tysiącami kilometrów na liczniku odpaliło za pierwszym razem. Mógł skorzystać z przywilejów swojego statusu i poprosić o samochód z ochroną, ale potem musiałby iść na piechotę z ministerstwa do swojego biura na spotkanie z Sabriną. Nie wykluczał też, że już po wszystkim zechcą wyskoczyć na kolacyjkę na wzgórze pod miastem, gdzie

zasiedzą się do późna. Tak, dziś potrzebował swojego samochodu. Brama garażu otworzyła się, Fernando pozdrowił swojego portiera Ameriga i wyjechał w aleję Atlantico. Spory ruch. Spojrzał na wlokące się samochody. „Należałoby usprawnić możliwości poruszania się mieszkańców poprzez rozbudowę sieci transportu publicznego – mówił do siebie półgłosem. – Inwestycje z programu Stołeczny Rzym w autobusy i metro to sprawa najwyższej wagi nie tylko dla miasta, ale i dla całego kraju. Nadeszła pora, żeby mieszkańcy Rzymu mogli dotrzeć do pracy bez potrzeby korzystania z samochodu, co powoduje zresztą dodatkowe wydatki na paliwo, ubezpieczenie i koszty eksploatacyjne, ciężące nad rodzinnymi budżetami...” W duchu tymczasem przeklinał całe to stado ciuli siedzących w swoich samochodach, ludzi tak zbędnych, że gdyby zostali w domu, nic by to nie zmieniło. Pasożyty, obiboki, które jak tylko mają okazję, wskakują do samochodu, sterczą jak barany w korkach tylko po to, żeby wypić kawę z kolegami na emeryturze albo odwiedzić matkę, albo pogapić się na wystawy w centrum handlowym.

– *It's a pleasure to meet you, mister Joro Bahur... mister Melaka, how is your wonderful daughter...* – czyli to tłuste babsko z płaskim nosem, które śmierdzi smażeniną. – *Mister Sibiu, one of these days I'll take you to some typical Roman restaurant... to taste spaghetti cacio e pepe... wonderful!*

– Co ty pierdolisz? – rozległ się z tyłu ostry jak sztylet głos.

Fernando aż podskoczył. Na tylnym siedzeniu zobaczył zwalistego faceta w wełnianej czapce i wielkich ray-banach.

– Kim pan jest? Jak się pan dostał do sam...

– Stul pysk i na światłach skręcaj w prawo – rozkazał facet.

– Jestem...

– Wiem, kim jesteś. Mówiłem: skręcaj w prawo i lepiej mnie nie wkurwiał.

Wykonał polecenie. Po plecach spływał mu zimny pot. Bał się spojrzeć w lusterko na tego nieproszonego gościa. I bał się odezwać. Bał się nawet zmienić bieg. Czuł się jak blok marmuru.

– Hamuj, kretynie, czerwone światło.

Faktycznie. Zatrzymał ostro samochód na linii stopu. Oddychał krótko i płytko, jakby ktoś wyssał tlen z kabiny. Odważył się na moment podnieść wzrok ku lusterku, kiedy drzwi od strony pasażera otworzyły się i kolejny facet, też w ray-banach, wskoczył do środka.

– Siema, panie Borghetti, jak leci?

Podsekretarz popatrzył na niego z przerażeniem.

– Jest zielone – zauważył spokojnie łysy.

Samochód z tyłu zaczął trąbić. Fernando ruszył. Jechali szeroką aleją Kolumba.

– Dokąd... dokąd jadę?

– Cały czas prosto.

Dopiero w tym momencie Borghetti Ansaldo zorientował się, że facet trzyma na kolanach wielki pistolet. I że obserwuje go zza ciemnych szkieł.

Czy to możliwe? To naprawdę mi się przydarza? W środku miasta? A gdzie policja? Matko Boska, co się dzieje? – myślał.

– Wjedź na obwodnicę, w stronę via Cassia – rozkazał ten z pistoletem.

– Czekają na mnie w ministerstwie – odważył się odezwać. – Jeśli nie dotrę na czas, powiadomią policję i...

– Nie przejmuj się – odparł ten z tyłu. – To nie potrwa długo. Nie przekraczaj dziewięćdziesięciu na godzinę i wykonuj polecenia.

– Porywacie mnie?

Nie odpowiedzieli.

– Czego chcecie?

– Za dużo pytań zadajesz, gruby. Jedź i siedź cicho. Obie ręce na kierownicy.

Podsekretarz próbował przełknąć zaschniętą ślinę, otarł czoło i skupił się na kolumnie samochodów powoli sunących obwodnicą.

– Na obwodnicy często trafiają się radiowozy – rzucił facet w czapce siedzący z tyłu. – Ale wiesz co, Borghetti? Nawet nie próbuj sztuczek, żadnego migania reflektorami, trąbienia, przyspieszania czy hamowania, bo mój kolega strzeli ci w bebech. Będziesz umierał w strasznych cierpieniach. To boli mieć dziurawy bebech.

Ale podsekretarzowi ani w głowie było zgrywanie bohatera. Nieświadomie już pogodził się z sytuacją i liczył na to, że ci faceci nie zrobią mu wielkiej krzywdy.

– Chcecie pieniędzy?

Zero odpowiedzi.

– Chcecie, żebym coś załatwił? Jestem dość wpływowy i mogę...

Łysy plasnął go w twarz.

– Jedź i nie gadaj.

Został upokorzony. Nawet w szkole nigdy nie dostał z liścia. Tak się karze krnąbrne dziecko, leniwego ucznia. A nie powszechnie szanowanego podsekretarza stanu, działacza partii rządzącej, człowieka, przed którym karabinierzy stają na baczność. Potem zrozumiał. Zrozumiał wszystko. Przypomniał mu się obraz wielkiego męża stanu czekającego w jakiejś norze na egzekucję i budzący straszne skojarzenia symbol z pięcioramienną gwiazdą.

– No trudno – mruknął pod nosem. – Jeśli trzeba, bym się poświęcił, niech się stanie. Jestem na to gotowy.

– Co ty pierdolisz?

– Jesteście terrorystami, prawda? Komuniści?

Obydwaj wybuchli śmiechem.

– Nie jesteś aż taki ważny, chujku. Skręcaj w ulicę Aurelia i zamknij japę.
Nie. Nie byli z Czerwonych Brygad.

Trochę żałował.

– Ale wiecie, że tutaj jest wbudowany lokalizator satelitarny połączony z policją? Kiedy nie pojawię się w ministerstwie, będzie alarm, zlokalizują samochód, znajdą nas i... – Podniósł wzrok i w lusterku zobaczył, że brodaty facet trzyma w ręku jakiś aparat z wystającymi kolorowymi kabelkami.

– A teraz łaskawie się zamknij. Jedź i nie gadaj.

Borghetti Ansaldo spokorniał.

Dotarli na pustkowie, gdzieś w pobliżu morza. Opuszczone domy stały pośród nieużytków, gdzieniegdzie sterczały drzewa oliwne, które domagały się solidnego przycięcia. Wszędzie błoto. Bmw przedzierało się z trudem przez ten ponury krajobraz, podskakując na każdej dziurze. Amortyzatory skrzypiały, spod kół tryskała woda z kałuż. Na poboczu majaczył to wrak ciągnika, to jakieś podarte foliowe worki.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał podsekretarz, przerywając ciszę.

– Wieś Testa di Lepre – odpowiedział ten z przodu niczym usłużny przewodnik.

– Po co tu przyjechaliśmy? – zapytał Fernando, ale nie doczekał się odpowiedzi.

Westchnął głęboko. Gdyby chcieli go zabić, już by to zrobili, pomyślał.

– Tam, pod ten barak – wskazał łysy.

Borghetti Ansaldo wrzucił odruchowo kierunkowskaz i skręcił z bitej drogi na trawiasty podjazd wiodący do opuszczonej hali fabrycznej.

– Wysiadać!

Wszędzie kałuże i błoto. Pod pleksiglasową wiatą stał stary skuter bez siodełka, dwie ogromne opony od ciągnika i stare meble. Ani jedna szyba w hali nie była cała. Na ścianie ktoś namazał farbą: „Casalotti rządzi”.

– Wejść! – rozkazał brodacz, otwierając skrzypiące stalowe drzwi.

W środku rozpościerała się długa na sto metrów hala. Z dziurawego dachu kapiała woda, tu i ówdzie prześwitywało niebo. Konstrukcja wspierała się na betonowych filarach. Nozdrza przenikał smród szczyń i mokrej ziemi. Na końcu hali, pod filarem, Fernando Borghetti Ansaldo dostrzegł siedzącego ze spuszczoną głową człowieka. Wyglądał, jakby zemdłał. W miarę jak się zbliżali, postać nabierała kształtu. Miała związane z tyłu ręce.

Dżinsowe spodnie, trampki, bluza z napisem „Harvard University”. Fernando od razu ją rozpoznał. Przywiózł ją synowi trzy miesiące temu z podróży do Stanów.

– Giorgio – wyszeptał.

Dwaj faceci zatrzymali go parę metrów od syna. Zza filaru bezszelestnie jak

duch wyłonił się trzeci facet – w głęboko naciągniętej na uszy wełnianej czapce i czarnych okularach, w czarnej kurtce i rękawiczkach. Na nogach miał clarksy.

Złapał Giorgia pod brodę, zmuszając go, by podniósł głowę.

– To jest Giorgio. Giorgio, przywitaj się z tatusiem.

Twarz syna oświetliło światło z rozbitych okien. Z ust i nosa ciekła mu krew. Ledwo otworzył oczy. Uśmiechnął się. Zęby też miał zakrwawione.

– Co mu zrobiliście?

– Nic takiego, proszę mi wierzyć – powiedział ten trzeci, który musiał być hersztem bandy. – Ale za to ten gnojek wsadził swojego ptaszka nie tam, gdzie powinien. Wie pan, o czym mówię?

Podsekretarz milczał.

– To jak, wie pan? – wrzasnął tamten facet. Fernando trzykrotnie kiwnął głową.

– No więc teraz damy panu ostatnią szansę. Albo ten gnojek przestanie, albo następnym razem zadziałamy naprawdę ostro.

– Bo my na ogół się nie cackamy, wiesz? – dodał brodacze za jego plecami.

– Co... co mam robić?

– Sam pan musi zdecydować – odparł herszt. – Moi koledzy sugerowali, żeby mu obciąć ptaka albo jaja. Wszystko to dobre i słuszne, ale jako ludzie rozsądni uznaliśmy, że może warto dać mu jeszcze jedną szansę.

– Mógłbym go wysłać na leczenie...

– Rób pan, jak uważasz. Ja tylko ostrzegam. Jeśli będziemy musieli wrócić, to dzisiejszy dzień okaże się dla pana syna przyjemną wycieczką.

– Rozumiem – rzucił cicho podsekretarz.

Ciszę wypełniał plusk kapiącej wody.

– Tato, pojedźmy już do domu – odezwał się nagle Giorgio.

Ale Fernando Borghetti Ansaldo nie odczuwał litości. Patrzył na swojego syna, krew z jego krwi, obwiązanego jak szynka, i do gardła podeszła mu fala złości i nienawiści.

– Jesteś gnojem, Giorgio, totalnym gnojem.

– Tak, ale pojedziemy teraz do domu, prawda?

W przepastnej, śmierdzącej hali rozległa się nagle *Oda do radości* Beethovena. Podsekretarz z zaskoczenia aż drgnął. Herszt bandy szybko wsadził rękę do kieszeni.

– Cholera... – Wyjął komórkę.

– Słucham? – powiedział, znikając za filarem.

– Czy to pan Schiavone z komendy w Aoście?

– Tak, to ja, kto mówi?

– Skąd takie echo?

– Proszę się nie przejmować.

– Mówi Tomei.
– Tomei?
– Ze sklepu z modą męską w centrum.
– Ach tak, kojarzę. Słucham.
– Opowiadałem żonie, synowi i naszej ekspedientce *part time* o pańskich poszukiwaniach i moja żona doznała olśnienia.
– Świetnie.
– W każdym razie chce z panem rozmawiać. Mam przekazać telefon?
– Nie, nie w tej chwili, teraz nie mogę.
– Jest pan na zebraniu?
– Tak. Przyjadę najszybciej, jak zdołam.
– To dla mnie przyjemność wspierać wymiar sprawiedliwości, kiedy...
Ale Rocco nie usłyszał dalszego ciągu, bo się rozłączył. Okrążył filar. Podsekretarz wciąż stał tam, gdzie przedtem. Jego syn też tkwił w tym samym miejscu, związany.
– Na czym to przerwaliśmy?
– Pan poseł dopiero co powiedział, że jego syn jest totalnym gnojem – zreferował Sebastiano.
– Tak, racja, w pełni się zgadzam. – Rocco podszedł do Furia. – Pozwolisz? Zamknijmy tę sprawę.
Szybkim ruchem wziął od niego pistolet, podszedł trzy kroki do Giorgia i wycelował.
– Nie! – krzyknął Fernando.
Furio i Sebastiano zamarli. Rocco zaczął strzelać w filar, parę centymetrów od głowy Giorgia. Nastąpiła seria szybkich, ogłuszających wybuchów, beton kruszony przez kule spadał na głowę chłopaka. Fernando Borghetti Ansaldo poczuł ciepłą stróżkę ciekącą mu po nogawce. Jeśli sądzić po małej kałuży, to jego syn również narobił pod siebie. Po wystrzelaniu magazynku Rocco oddał pistolet Furiowi.
– Następnym razem będę celował niżej – warknął i wielkimi krokami wyszedł z hali.
– Masz jasność? – zwrócił się Furio do podsekretarza.
Fernando zamknął oczy i skinął głową. Giorgio cicho łkał.
– Przysięgam, mój syn nie zrobi już nikomu krzywdy.
– Słuchaj, Borghetti – rzucił Sebastiano – potrafimy wejść wszędzie, gdzie chcemy, i zawsze, kiedy tylko chcemy. Następnym razem zamiast ciebie zgarniemy twoją żonę.
Furio się zaśmiał.
– Ale coś czuję, że już się więcej nie spotkamy, prawda?
I obaj wyszli.

Fernando Borghetti Ansaldo stał i patrzył na związanego syna. Podeszedł do niego. Chłopak śmierdział gównem.

Słuchali w radiu stacji nadającej stare przeboje. Akurat leciało *Just an illusion* zespołu Imagination.

– Tyle wspomnień – z rozmarzeniem odezwał się Sebastiano.

– Grecja, lato osiemdziesiątego drugiego – podchwycił Furio.

– Poderwaliśmy te Holenderki, pamiętasz, Rocco?

Rocco patrzył w okno. Seba i Furio wymienili znaczące spojrzenia i ograniczyli się do podśpiewywania tego angielskiego przeboju. Nagle muzykę dance zagłuszyła *Oda do radości*. Seba ściszył radio, a Rocco wyjął komórkę.

– Schiavone, słucham.

– Cześć, kwiatuszku, tu Alberto.

Dzwonił patomorfolog z Livorno.

– Co mi powiesz...?

– Są nowości. Musimy pogadać. No więc po pierwsze, przebadałem krawaty i paski z domu Baudów. Żadnych śladów naskórka, włosów, nic.

– Hmm...

– Czyli nie tym udusili Ester.

– W takim razie narzędzie już...

– No tak, nie wiadomo, gdzie się podziewa. Ale mam dla ciebie coś ważniejszego.

– Jestem poza Aostą, zadzwonię po powrocie.

– Gdzie jesteś?

Rocco nic nie odpowiedział. Alberto zrozumiał w lot.

– Świetnie, czekam, aż się odezwiesz. Pamiętaj, że to ważne.

I rozłączył się.

Rocco schował telefon do kieszeni i dał znak Sebie, żeby ustawił głośniejsze radio. Ale *Just an illusion* już się skończyło. Teraz puszczał biesiadny hit *Trottolino amoroso du du da da*. Ze strasznym krzykiem Sebastiano zgasił radio.

Prima Porta to wieś pod Rzymem, tuż za obwodnicą. Leży przy via Flaminia, która prowadzi w stronę Terni i pagórków Umbrii. Ale dla Rzymian Prima Porta kojarzy się przede wszystkim z cmentarzem komunalnym, oficjalnie zwanym Flaminio. Sto pięćdziesiąt hektarów poprzecinanych siedemdziesięcioma kilometrami alejek. Jeździ się tam samochodem albo bussem. Istne miasto złożone z osiedli nagrobków, płyt i piętrowych kaplic.

Sebastiano i Furio zostali w samochodzie. Rocco wolał pokonać ostatnie sto metrów na piechotę. Przechodził przez aleję, kiedy akurat autobus linii C8 jechał w kierunku sektora muzeumlańskiego. Niebo było zachmurzone. Niedawno skończył się jakiś pogrzeb – intensywny zapach kwiatów przyprawiał go o mdłości. Minął sosnowy lasek i wszedł na szeroką łąkę pełną płyt osadzonych na sztorc, jak

stare zęby. Zagubione gdzieś w tym morzu dwie ubrane na czarno staruszki oporządzały groby. Pewnym krokiem Rocco zmierzał w stronę trzeciego rzędu. Zatrzymał się przy czarnej marmurowej płycie.

Marina czekała na niego. Na grobie stały tylko wysuszone kwiaty. Rocco wziął je i wyrzucił do kosza w alejce, po czym podszedł do kranu i nalał wody dla świeżych stokrotek, które przyniósł. Wrócił na miejsce. Ułożył kwiaty i w końcu spojrzął na nagrobek. Znał na pamięć te daty, ale i tak je przeczytał:

20 marca 1969–7 lipca 2007.

Nie chciał umieszczać zdjęcia, nie było potrzeby. Miał wdrukowaną w głowie twarz Mariny, niczym piętno wypalone na skórze krowy. Powiada się, że z upływem czasu twarze naszych bliskich zasnuwa mgła zapomnienia. Że zamazują się ich rysy, kolor oczu i włosów, wzrost, a zwłaszcza brzmienie głosu. Rocca to nie dotyczyło. Od siódmego lipca 2007 roku Marina nie utraciła w jego pamięci nawet najmniejszego pieprzyka. Dlatego nie potrzebował zdjęć. Obraz jej twarzy, jasny i wyraźny, będzie ostatnią rzeczą, jaką będzie miał przed oczami, kiedy nadejdzie jego kolej. To nie podlegało dyskusji.

– Cześć, Marina – powiedział cicho. – Widzisz? Przyszedłem cię odwiedzić. Tak jak obiecałem. – Widział swoje odbicie w wypolerowanym kamieniu. – Zobacz, coś ci przyniosłem. – Wyjął z kieszeni notes. – Wszystkie twoje słówka, może ci się przydadzą. – Wsunął go pod wazon, obok położył długopis. – Wiesz, znalazłem dla ciebie trudne słowo, napisałem je tam w środku. Dotyczy mnie. Wiesz jakie? Oligemia. Ale nie powiem ci, co znaczy, bo nie będziesz miała zabawy z szukaniem.

Jedna z dwóch staruszek uklękła, przeżegnała się. Rocco też się pochylił, ale tylko po to, by zdjąć liść.

– Wszystkiego najlepszego, Marina... do zobaczenia w domu.

Posłał jej pocałunek.

Wrócił do alejki, podniósł oczy i od razu ich spostrzegł. Stali jakieś trzydzieści metrów dalej i patrzyli na niego. Serce podeszło mu do gardła. Nie był w stanie zrobić kroku. Laura i Camillo też nie decydowali się podejść do grobu córki. W końcu Rocco się przełamał i mimo paralizującego strachu ruszył w ich stronę. Laura, widząc, jak nadchodzi, wsparła się na ramieniu męża, jakby chciała uchwycić się ostatniej deski ratunku, która jej w życiu została. Rocco wbijał wzrok w ziemię, wiedząc, że jeśli choć na chwilę spojrzy im w twarz, to nie da rady do nich podejść, skręci w bok i pospieszy do Furia i Sebastiana, czekających w samochodzie.

Kiedy znalazł się parę metrów od teściów, stanął i podniósł wzrok. Laura miała twarz poorly zmarszczkami, jej piękne błękitne oczy wyblakły i przybrały teraz kolor chryzantem, które trzymała w ręku. Siwe włosy Camilla jeszcze bardziej się przerzedziły. Miał nowe okulary w czarnych oprawkach. Tak jak i żona

schudł i przygasł. Wydawali się bezcieleśni. Dwie papierowe figurki osnute szarą mgłą.

– Cześć, Laura... Cześć, Camillo.

Teściowie się nie odezwali. Laura ciężko oddychała. Camillo z kolei wyglądał, jakby dostał bezdechu. Dobra, udało mu się aż tyle, przywitał się. I co dalej? Co miał powiedzieć? Prosić o wybaczenie? Zrobił to już tysiąc razy od tamtego siódmego lipca. W kaplicy, podczas pogrzebu, dzwoniąc do ich domu, ale niczego to nie zmieniło. Marina nie wróciła, a oni nie okazali się gotowi, by mu wybaczyć.

Nie zasługiwał na to i zdawał sobie sprawę, że to była wyłącznie jego wina. Nic nie uśmierzy bólu, który czuł w piersiach, ostrych ukąszeń, które rozdzierały go od środka.

Chciał tylko, żeby wiedzieli jedną rzecz: kochał Marinę ponad wszystko. I dalej ją kocha. Nie było dnia ani nocy, żeby jej nie opłakiwał. Ale matka i ojciec mają większe prawo do bólu po stracie dziecka niż mąż po stracie żony. Mają pierwszeństwo.

– Wiem, czego chcesz ode mnie – powiedziała Laura, zaciskając usta. – Ale nie umiem i nigdy nie będę umiała...

Rocco skinął głową. Oczy zaszyły jej łzami. Na bladej, zmęczonej twarzy majaczyły tu i ówdzie rysy Mariny. W wykroju ust. W spojrzeniu, w linii włosów. Czy Marina tak by wyglądała na starość?

– Wiem, Lauro. Ale muszę dalej żyć i stoję tu przed wami tak jak pięć lat temu. Chcę tylko, żebyście wiedzieli. Przez resztę mojego życia...

– Reszta naszego życia nie ma już żadnego sensu – przerwał mu Camillo. Głos miał ledwo słyszalny i kruchy jak szkło. – Wybaczenie niczemu nie służy, bo kiedy umiera nadzieja, nic już nie jest ważne. Wiesz co? Myślałem, że łatwo jest umrzeć. Ale nie. Popatrz: stoję przed tobą, mówię, chodzę... przekłete życie nie chce mnie opuścić. Nie chce mi zrobić tej przysługi. Nie uważasz, że to wszystko wbrew naturze? – Wskazał na chryzantemy.

– Nie rozumiem – powiedział Rocco.

– To dzieci powinny nosić kwiaty na grób rodziców, prawda? W dniu, kiedy mi wytłumaczysz, dlaczego z nami jest odwrotnie, będę w stanie wybaczyć. Tobie i sobie.

Objął mocniej żonę i oboje, wymijając Rocca, skierowali się w stronę grobu Mariny.

Patrzył, jak powoli się oddalają. Laura opierała głowę na ramieniu męża. Wyprzedził ich autobus C9 jadący w stronę sektora żydowskiego. Podmuch wiatru rozwał poły płaszcz Camilla i poruszył spódnicą Laury. Rocco odwrócił się na pięcie i poszedł w stronę samochodu.

Dopiero kiedy zobaczył kumpli, którzy oparli o maskę samochodu palili

papierosy, przestał płakać.

– Zawieźcie mnie na lotnisko.

Sebastiano i Furio nic nie powiedzieli. I przez całą drogę na Fiumicino nie otworzyli ust.

Czekając na odlot, wybrał numer swojego dawnego biura.

– Wicekwestor Schiavone, chcę rozmawiać z De Silvestrim.

– Chwileczkę – odezwał się ktoś.

Słysząc było gwar i zamieszanie, aż wreszcie zabrzmiał znajomy głos Alfreda.

– Szefie...?

– Wszystko w porządku, sprawa załatwiona.

Policjant był zdyszany.

– Wiesz, gdzie mnie znaleźć, jakbyś czegoś potrzebował. Ale wolałbym, żebyś następnym razem zadzwonił dopiero z zaproszeniem na obładowanie emerytury.

– Dzięki, szefie.

– Nie ma za co. Pozdrów bratanicę.

I rozłączył się.

Pasażerów lotu Alitalia AZ 123 do Turynu prosimy o udanie się do wyjścia C19...

Wstał, wyciągnął kartę pokładową. Zostawiał za sobą Rzym, swój Rzym. Ale nie miał, jak poprzednim razem, pół roku temu, bolesnego poczucia, że coś ulega zerwaniu. Czy sześć miesięcy mogło tak bardzo odmienić miasto? Czy można poczuć się obco po tak krótkim czasie? Czyja to wina? Czy to Rzym się zmienił, czy on sam?

– Co za główniany dzień, Rocco – powiedział Italo, powoli prowadząc samochód autostradą z turyńskiego lotniska do Aosty. – Komendant dzwonił do ciebie trzy razy, Farinelli z kryminalistyki zostawił ci w biurze trzy kartony gratów.

– Co im mówiłeś?

– Że pojechałeś do Ivrei szukać takiego jednego, który mógł się okazać świadkiem.

– Świetnie. – Wicekwestor wyciągnął rękę i wyjął papierosa z paczki Itala.

– Słuchaj, wiem, to bez sensu, żebyś ciągle się tego czepiał, ale dlaczego upierasz się przy chesterfieldach?

– Lubię je. Skoro już przy nich jesteśmy, to weź i dla mnie.

Rocco wetknął sobie dwa do ust, zapalił i przekazał jednego Pierronowi.

– Dzięki. Załatwiłeś wszystko w Rzymie?

– Tak – rzucił krótko. – Kto poszedł na pogrzeb Ester Baudo?

– Ja z Cateriną. Zrobiliśmy, jak chciałeś. Obfotografowaliśmy ich wszystkich. Nie było dużo ludzi, najwyżej trzydziestka. Położyłem ci zdjęcia na

biurku.

Środa

I znów przez całą noc padał śnieg. Rocco nie zmrużył oka. Nie potrafił oswoić się z ciszą, która panowała w tym mieście. Nie było samochodów, nie słyszał grającego u sąsiadów telewizora, na ulicy nikt nie wrzeszczał, żadnego pociągu w oddali. Nic.

Rano, kiedy zwlókł się z łóżka i rozsunął zasłony, żeby wyjrzeć na dwór, zobaczył, że przestało padać, a pługi miejskie już odśnieżyły ulice. Kiedy zdążyły to zrobić? Dlaczego ich nie słyszał? Miały wytłumione silniki? Niebo jak zwykle było pokryte kołdrą chmur.

Kolejny gówniany dzień.

Ledwie wszedł do samochodu, zadzwoniła jego komórka. Stawał się rozkojarzony. To już drugi dzień z rzędu, kiedy zapominał ją wyłączyć. Niewybaczalny błąd.

– Kto mi dupę zawraca?

– Alberto. Jesteś w biurze? – spytał patomorfolog.

– Nie, jadę tam dopiero.

– A gdzie jesteś?

– A co cię to obchodzi? Co jest?

– Mówiłem ci wczoraj. Musimy pilnie porozmawiać.

– Jak tylko zjawię się w biurze, oddzwonię.

– Słuchaj, to jest coś w sprawie Ester. Czuję, że to cię zainteresuje.

– Przysięgam, że oddzwonię.

– Nie chcesz, żebym ci coś wstępnie powiedział?

Rocco wznosił oczy do nieba.

– Wiesz, że umarli opowiadają historie, nie?

– Ale nie na głos.

– Racja. Ale starczy ich obecność i jeśli jesteś czujny, to usłyszysz, a jakże.

No i właśnie przedwczoraj Ester Baudo powiedziała mi coś bardzo przykrego.

– Dobra, to widzimy się na komendzie za dwadzieścia minut?

– Nie, przyjedź do mnie.

– Widziałeś, że całą noc padało?

– W Aoście to się całkiem często zdarza, nie zauważyłeś? Co jest, boisz się nogę złamać?

– Zaczekaj chociaż, aż odśnieżą ulice.

– Misiu, jechałem do szpitala przed siódmą i ulice już były czyste. A poza tym niech dobrze zrozumiem: ja mogę jeździć po śniegu, a ty nie?

– Aleś ty upierdliwy, Alberto.

– Słuchaj, pracowałem w sobotę i w niedzielę, bo ciało biedaczki miało zostać pochowane. Słyszałeś o czymś takim jak pogrzeb?

– Tak, niestety często na nich bywam. Dobra, sprawdzę, czy mi samochód odpali, i postaram się dotrzeć.

– Masz volvo XC60 z napędem na cztery koła, sto sześćdziesiąt trzy konie, nie ma nawet roku, i ty chcesz mi wmówić, że może nie odpalić? Rusz dupę, weź się w garść.

Rocco jednak skierował się prosto do biura. Ani myślał jechać do szpitala. Jakoś uda mu się ściągnąć Fumagallego na komendę. To nie z lenistwa ani z braku zainteresowania. Chciał wysłuchać nowości, które miał mu do przekazania lekarz. Ale nie dałby rady znowu wejść do kostnicy. Czuć ten smród, patrzeć na te metalowe stoły i wielkie szuflady z ciałami ludzi, których już nie było.

Zaczynał mieć serdecznie dość tych ludzi, których już nie było. Szedł szybko korytarzem, jak zwykle żeby uniknąć porannego spotkania z Derutą, gdy coś w dziale paszportowym przyciągnęło jego uwagę. Drzwi były uchylone. Zbliżył się bezszelestnie i zajrzał, a to, co zobaczył, wcale nie przypadło mu do gustu. Italo Pierron penetrował językiem jamę ustną Cateriny Rispoli. Stali z zamkniętymi oczami, ciasno spleceni niczym dwie ośmiornice. Myślami byli teraz nie w budynku komendy, lecz na jakiejś karaibskiej plaży czy wręcz w sypialni. Rocca naszała ochota zakaszleć głośno, żeby zobaczyć zmieszane twarze tych dwóch gołąbeczków, ale się powstrzymał.

Zemsta to danie, które należy podawać na zimno, pomyślał. W Aoście nawet w stanie zamrożonym.

Jeszcze nie wszedł na dobre do swojego pokoju, kiedy wrzasnął:

– Pierron!

Rozległ się odgłos szybkich kroków i już po chwili pojawił się zdyszany Italo.

– Jestem. Co się dzieje?

Rocco przyjrzał mu się. Miał rozpięty kołnierzyk i poluzowany krawat, a wargi spierzchnięte, jakby ktoś je przetał papierem ściernym.

– Coś, kurwa, robił?

– Sprawdzalem zgłoszenia kradzieży.

– Skocz do szpitala i przywieź mi Fumagallego. Mówi, że ma do pogadania. Będzie się opierał, ale powiedz mu, że komendant mnie przydybał i nie pozwala mi wyjść.

– Okej. Słuchaj, Rocco...

– W biurze masz mi mówić per pan.

– No tak, jasne. Nie ma nikogo w pobliżu i myślałem... nieważne. Farinelli z dochodzeniówki szukał pana wiele razy.

– Zadzwoń do niego. Coś jeszcze?

– Nie.

– No to już spadaj i zrób, co ci kazałem.

Rocco zatrzasnął drzwi przed nosem Pierrona, któremu zrobiło się niemiło. Uznał, że szef wstał lewą nogą. Chyba nie wypalił jeszcze skręta i to był powód jego złości. Po powrocie na pewno zastanie go wyluzowanego i przyjacielskiego jak zawsze.

– Musisz wiedzieć, Rocco, że receptory kannabinoidowe znajdują się w ciele prążkowanym połączonym z mózgiem, który steruje twoją motoryką, i z hipokampem, który kontroluje pamięć i stres. I z korą mózgową, a ona odpowiada za myśli, aktywność poznawczą i tak dalej.

– A właściwie to co chcesz mi powiedzieć?

– Że jak tak dalej będziesz jarał, to sobie zaszkodzisz. Dodaj do tego tachykardię!

Istotnie, w pokoju wyraźnie czuło się zapach marychy i nie było sensu ukrywać prawdy przed lekarzem.

– Palę niewiele. Tylko z rana. Służy mi.

– Do czego?

– Uspokaja mnie i otwiera mi umysł. Staję się twórczy i daję radę patrzeć na wredne mordy, takie jak twoja.

– To istny cud.

– Co?

– Że udało ci się znaleźć żonę.

– Nie chciałbym ruszać tej sfery. Tracę wtedy poczucie humoru.

– Masz rację, przepraszam. Ale dobrze radzę, odpuść sobie skręty. Mówię jak przyjaciel.

– Nie jesteś moim przyjacielem.

– No to jak lekarz.

– Nie jesteś nawet lekarzem. Lekarze leczą choroby.

– No i?

– Jakie szanse wyleczenia mają twoi pacjenci?

– No niech ci będzie.

– Już lepiej mi powiedz, co takiego niesłychanego znalazłeś.

– Mogę dostać kawy?

– Nie. Tutejsza maszyna wypluwa coś jeszcze gorszego niż twoja w szpitalu.

Zresztą, w sumie czemu nie? Zaczekaj.

Rocco otworzył drzwi i ryknął:

– Pierron!

Italo zjawił się niemal natychmiast.

– Słucham.

– Skocz do baru po dwie kawy.

Italo zbaraniał. Rocco nigdy nie kazał mu robić takich rzeczy.

– Jaka część mojego polecenia nie jest jasna?

- Nie może pan wysłać Deruty? – spytał z uśmiechem Italo.
 - Nie. Chcę, żebyś ty poszedł. Poczekaj. – Odwrócił się w stronę Alberta.
 - Coś do jedzenia przy okazji?
 - Nie, dzięki, sama kawa.
 - No to tylko dwie kawy. Ale niech ci to nie zajmie godziny! – Zamknął drzwi i znowu usiadł przed Fumagallim. – No więc co odkryłeś?
 - Najpierw mi wyjaśnisz, dlaczego nie jesteś na rozmowie u swojego szefa. Twój człowiek powiedział mi, że zostałeś do niego ściągnięty.
 - To prawda. Ale szybko się uwinąłem ze sprawami, które do mnie miał, bo wiedziałem, że zaraz będziesz.
 - Pozwól, że policzę. Dojechałem tu w niespełna dziesięć minut. A ty ponoć siedziałeś u komendanta. Potem znalazłeś nawet chwilę, żeby wypalić skręta, dajmy na to, pięć minut. Ale sądząc po dość słabym zapachu, jaki wisi tu w powietrzu, skręta skończyłeś co najmniej siedem, osiem minut temu. Zacząłeś go więc palić w czasie, kiedy Pierron po mnie jechał. Kończąc to rozumowanie, z komendantem rozmawiałeś niecałą minutę. O ile w ogóle rozmawiałeś. Wiesz, co myślę? Że w ogóle u niego nie byłeś. Znalazłeś sobie wykręt, żeby do mnie nie przyjechać. Łziesz jak najgorszy pies.
 - Skończyłeś?
 - Tylko jeśli przyznasz mi rację.
 - Masz rację. Możemy przejść do poważnych spraw?
- Alberto skinął głową. Wyjął z kieszeni notes, otworzył, sprawdził notatki.
- Słuchaj mnie dobrze. Porozmawiamy o Ester Baudo.
 - Dawaj.
 - Wysłałem protokół do prokuratora, tobie streszczę ustnie. Coś tu nie gra. Rocco wyjął papierosa z paczki leżącej na biurku.
 - Będzie mi przeszkadzać, jeśli zapalisz.
 - Ty mi będziesz przeszkadzać, jeśli nie zapalę. Opowiadaj, co nie gra.
 - Urazy.
- Twarz Rocca zamieniła się w znak zapytania.
- Nie te związane z uderzeniami w kość policzkową w zeszły piątek. Pamiętasz? Nie, mówię o starych urazach i złamaniach. Znalazłem ślady po pęknięciu kości łokciowej i promieniowej prawego przedramienia. Kilka żeber ma ślady urazów, stare sprawy. Podobnie prawa kość policzkowa. Widać na niej poważne złamanie sprzed paru lat.
- Rocco powoli się zaciągnął. Wypuścił dym w stronę sufitu.
- Czyli według ciebie?
 - Dwie możliwości. Albo uprawiała sporty ekstremalne...
 - Nie sądzę.
 - No to zostaje wypadek samochodowy. Nie widzę innego wytłumaczenia,

jak można sobie tak zmaltrretować kości.

Rocco zgasił papierosa w popielniczce. Wstał i podszedł do okna, ale nie spojrział przez nie, tylko zakrył oczy dłonią.

– To coś strasznego, wiesz?

– Mówisz?

– Mówię.

Do pokoju wszedł Italo z dwoma plastikowymi kubeczkami. Postawił je na blacie.

– Ile pan słodzi? – zwrócił się z ironicznym uśmiechem do Alberta, który nie odpowiadając, wypił kawę jednym haustem. Policjant zorientował się, że to milczenie, niczym kreska zrobiona flamastrem na kartce, podkreśla coś bardzo ważnego, co właśnie się tu wydarzyło. – Co się dzieje? – zapytał, patrząc na Rocca.

– Idziemy, Italo. – Wicekwestor spojrział na Fumagallego. – Deruta cię odwiezie. Dzięki, Alberto, byłeś bardzo pomocny. Jak zawsze. – Przechodząc koło niego, klepnął go w ramię.

– Kawy nie wypijesz?

Ale Rocco w towarzystwie Itala już wyszedł z pokoju. Patomorfolog opróżnił więc i drugi kubeczek.

– Dokąd jedziemy? – zapytał Italo.

– Charvensod, dom matki Patrizia Bauda.

– O co biega?

– Masa rzeczy mi w tym wszystkim nie pasuje.

– Nie, mówię o tym, co między nami.

Rocco uśmiechnął się.

– Dlaczego pytasz?

– Bo jakiś dziwny jesteś.

– Ja dziwny? Ty posuwasz Rispoli, ale to ja jestem dziwny?

– No nie, przepraszam, ale co ma do tego Rispoli?

– Widziałem was w pokoju wydziału paszportowego.

Italo zredukował bieg i przyspieszył.

– No i?

– Wiesz, że miałem ją na oku.

– A bo co, masz prawo pierwszej nocy?

– No, tak jakby.

Jechali w ciszy przez kilka serpentyn.

– To się stało tamtej nocy, kiedy czatowaliśmy na Chevaxa – odezwał się wreszcie Italo.

– Ty zacząłeś czy ona?

– Powiedzmy, że tak zrobiłem, żeby to ona zaczęła.

– Chcę znać szczegóły.

Italo wziął głęboki wdech.

– Zagaduję do niej: „A jeśli Chevax nas zobaczy?”. Ona odpowiada: „Niemożliwe”. A ja na to: „Zrobimy jak na filmach? Będziemy udawać kochanków, którzy się całują, żeby nie wzbudzać podejrzeń”. Ona patrzy na mnie i mówi: „O kurczę, chyba widziałam, jak się Chevax zbliża”, i rzuca mi się w ramiona. No i się pocałowaliśmy, a potem było dużo śmiechu.

– To wszystko?

– Wszystko.

– No pięknie, kurwa, pięknie. Co za fantazja. Formalnie wyszło to od ciebie, ale zaczęła ona.

– Wiedziałem, że się jej podobam. Od dłuższego czasu.

– Nie mogłeś mi wcześniej powiedzieć?

Italo zahamował przed domem matki Patrizia. Wsiadając, Rocco rzucił:

– Nie myśl sobie, jeszcze mi za to zapłacisz.

– Nie masz ducha sportowego – odparł Italo, idąc za nim.

– A kto kiedykolwiek twierdził, że go mam?

Zrobili parę kroków, kiedy w drzwiach pojawiła się pani Baudo. Zobaczyła ich, jak nadchodzą. Miała zmartwioną twarz. W rękę ścisnęła ścierkę.

– Coś się stało mojemu synowi? – zapytała szybko.

Pryzma śniegu na skraju chodnika dopadła lewego buta wicekwestora.

– O kurde... nie, proszę pani. O ile wiem, to nie. A dlaczego pani pyta?

– Niepokoję się o niego. Wybrał się do Pili, miał pojechać kolejką w góry, wyłączył komórkę.

– Do Pili?

– Mówił, że potrzebuje pobyć sam w górach, z dala od tego wszystkiego...

– Prawą ręką uczyniła zamaszysty gest, żeby wskazać na wszystko wokół.

– Proszę się nie martwić, po prostu chce pobyć sam. Przyjechaliśmy w innej sprawie.

– Zapraszam do środka. Napiją się panowie czegoś?

Italo już ruszał w stronę domu, kiedy Rocco zatrzymał go dłonią.

– Może pani będzie nam mogła odpowiedzieć na jedno pytanie. Czy Ester miała kiedyś poważny wypadek samochodowy?

– Ester? Nie. Raz zdarzyła jej się stłuczka, ale wzięła winę na siebie i wszystko zostało załatwione. Coś nie tak z ubezpieczeniem?

– Nie, proszę się nie martwić, nic takiego – uspokoił ją Italo.

– To tylko drobna formalność – dodał Rocco, obserwując buta, który już zdążył zmienić kolor.

– Na pewno nie chcę panowie kawy? Niech pan sobie kupi porządne buty na śnieg.

Rocco spojrzał na nią.

– Nie pani pierwsza mi to radzi – odparł i ruszył w stronę samochodu.

Italo zsalutował i podążył za swoim szefem.

– Co panu mogę powiedzieć? Musiałbym przekopać archiwum.

– Zirytowany mężczyzna mówił szybko, jakby chciał mieć czym prędzej za sobą tę nieoczekiwaną wizytę policji. – Wie pan, ile by mi to zajęło czasu?

Dyrektor administracyjny szpitala wyglądał na każdego, tylko nie na dyrektora administracyjnego szpitala. Kaszmirowy sweter, granatowe sztruksy. Szkła okularów z błękitnymi refleksami jak u hollywoodzkiej gwiazdy. Bujne siwe włosy kontrastowały z krągłą pulchną twarzą. Siedział, opierając dłonie o biurko, i ani mu do głowy przyszło zaproponować, żeby Schiavone czy Pierron usiedli wygodnie w skórzanych fotelach.

– Nie ma pan sekretarki, panie Trevisi?

– Dziś środa. Straszny dzień. Wizyty domowe, kolejka w ambulatorium, okropne zamieszanie. Zróbmy tak. Proszę mi napisać na kartce, a ja przysięgam, że za niecałe... – spojrzął na zegarek – ...sześć godzin podam panu te informacje.

– Trzy godziny.

– Niech będzie pięć.

– Zgódźmy się na cztery. – Rocco wyciągnął rękę, którą dyrektor uściśnął, nie do końca rozumiejąc, o co chodzi. Sięgnął po kartkę i zaczął pisać. – No więc, proszę mi przypomnieć...

– Jasne. Chcę wiedzieć, czy i kiedy przyjeździecie na oddział Ester Baudo albo czy udzieliliście jej pomocy na pogotowiu. Baudo to nazwisko po mężu. Panięskie brzmiało...

– Sensini – odpowiedział Italo.

Trevisi skrupulatnie notował, cicho powtarzając dyktowane słowa.

– ...na pogotowiu, Sensini, po mężu Baudo.

– Jeśli mogę coś zasugerować, szukałbym na urazówce. Chcę wiedzieć, kiedy, jak i dlaczego.

– ...jak i dlaczego. Dobra! – Dyrektor podniósł wzrok. – Skoro to wszystko...

– Nie, jeszcze coś.

– Słucham, panie Schiavone.

– Jak się pan nie odezwie za cztery godziny, wrócę tu z papierem podpisanym przez prokuratora.

– Mogę wiedzieć, co to za papier?

– Panie Trevisi, nie wpadłem tu dlatego, że nie mam nic innego do roboty. Chodzi o zabójstwo. Mam nadzieję, że jasno się wyraziłem. Do zobaczenia.

Odwrócił się na pięcie i wraz z Italem wyszedł z biura. Trevisi pospiesznie chwycił za słuchawkę.

– Annamaria? Natychmiast do mnie. Trzeba przekopać akta. Tak, teraz, no

chyba że nie po świętach. I co z tego, że dzisiaj środa?

- Zajrzymy do D'Intina? – zaproponował Italo na schodach.
- Poszaleliście wszyscy z tymi odwiedzinami?
- Nie ma nikogo tutaj w Aoście. Na zmianę nosimy mu wodę i ciastka.

Rocco przystanął.

- Przychodzisz sam czy z Cateriną?

Italo się zarumienił.

- Słuchaj, ta historia z nią...

– Będę szczery. Miałem zamiar się zemścić, i to porządnie. Udzielić ci nagany z wpisem do akt i załatwić ci przeniesienie. Ale potem tak popatrzyłem na ciebie i myślę: biedny z ciebie pierdoła, z usteczkami jak szpara w skarbonce, może już nigdy innej nie wyhaczysz?

- No i?

- No i wybaczam ci. W imię ojca...

- Spierdalaj, Rocco.

- Ale musisz mi przynajmniej opowiedzieć, jak się bżyka.

- To intymne sprawy.

- Słyszałeś kiedyś o takich miejscowościach jak Scampia albo Macomer?

A może wolisz komisariat w Sacile del Friuli?

- Mam zacząć od tego, jak się rozebraliśmy?

- Świetnie. W tym czasie skoczmy do centrum, trzeba złożyć wizytę.

Chociaż to strefa dla pieszych, i tak podjedziesz samochodem. Kurde, jesteśmy z policji.

- Nie wystąpisz o moje przeniesienie, bo kto ci wtedy zostanie w biurze?

– Italo mrugnął porozumiewawczo.

- Zostanie Caterina. Wystarczy aż nadto.

- Skurwiel.

- Nawet nie wiesz jaki. No dobra, zaczynaj. Porozmawiajmy o jej sutkach.

Italo wszedł do butiku Tomei w ślad za swoim szefem, jak wyżeł za myśliwym. Tyle że wyżeł wie, co ma robić, zna swoje zadanie. Znaleźć i wystawić myśliwemu ptactwo. Italo tymczasem rozglądał się po sklepie, z niedowierzaniem sprawdzał ceny butów Church's. Wreszcie zjawił się właściciel tego przybytku „Very English”, pan Tomei, tak jak poprzednio w nienagannym garniturze.

– Panie Schiavone, jak dobrze, że pan zajrzał. Jak mówiłem przez telefon, żona ma panu coś do przekazania. – I teatralnym gestem wprowadził ją na scenę.

Rocco nie widział w swoim życiu kobiety o tak wystającej szczęce. Wyglądała bardziej jak wylot rynny niż jak część twarzy.

– Dzień dobry, komisarzu... – Akcent kobiety zdradzał jej angielskie pochodzenie.

- Wicekwestorze – poprawił Rocco.

– Tak, chciałam z panem porozmawiać. Bo... przypomniałam sobie coś ważnego.

– Zamieniam się w słuch.

– Mąż mi wszystko opowiedział. Zaczęłam się namyślać. Myślę i myślę, i wreszcie sobie przypomniałam. *A tie!*

– Nie rozumiem.

– Pani, która umarła. Ona przyszła kupić krawat dla męża. *A tie*. To było w tej torebce.

Rocco rzucił okiem na Itala, który niczego nie pojmował, ale udawał zainteresowanego rozmową.

– Mogę go zobaczyć?

– Jasne. Kupiła krawat klubowy, czyli regimental. Bardzo piękny. Kaszmirowo-jedwabny.

– O ile się nie mylę, to jest taki typ krawata w ukośne pasy?

– Właśnie! – potwierdziła pani Tomei i sięgnęła do witryny po trzy lśniące krawaty. – Widzi pan, takie...

– Gdybym pani pokazał jakiś, potrafiłaby pani rozpoznać?

– Oczywiście – wtrącił się pan Tomei. – Rozpoznajemy nasze krawaty na kilometr. Wie pan dlaczego? – Uśmiechnął się porozumiewawczo i odwrócił jeden z krawatów. – Z tyłu naszywamy logo naszego sklepu. – Wskazał malutką naszywkę z jedwabiu z logotypem Tomei okolonym liśćmi laurowymi. – To są krawaty dostępne wyłącznie u nas. Pochodzą z Irlandii. Tak naprawdę to robią je w Indiach, ale projekt i wszystko jest irlandzkie.

– Ale czy Irlandia to Wielka Brytania czy Irlandia? – zapytał Italo, żeby zaznaczyć swoją obecność, skądinąd bezużyteczną w tej chwili.

Dostał w zamian tylko pogardliwe spojrzenie pani Tomei, która nie mogła puścić tego płazem.

– Irlandia to Irlandia, nazywa się Eire. Ulster, czyli Irlandia Północna, należy do Wielkiej Brytanii. Stolicą Irlandii jest Dublin, a Ulsteru Belfast. Może warto, żeby przeczytał pan jakąś książkę o Michaelu Collinsie.

Rocco powrócił do tematu krawata.

– Jeszcze jeden szczegół: ile kosztuje?

– Ten krawat? To bardzo solidny towar... – zaczął pan Tomei.

– No więc ile?

– Około siedemdziesięciu euro. Wie pan, jedwabny, praktycznie unikatowy. Łączenie kaszmiru i jedwabiu to proces, który...

– Nie musi mnie pan przekonywać do kupna, potrzebuję tylko informacji.

– Skrzywienie zawodowe.

– Nie ma sprawy. Bardzo dziękuję, zwłaszcza pani. Ogromnie mi pani pomogła.

Pani Tomei uśmiechnęła się, odsłaniając swoje niepełne uzębienie. W górnej szczęce brakowało kła, w dolnej dwóch siekaczy. Jeśli do tego dodać, że wielkie zęby były osadzone w dziąsłach bez ładu, jej usta wyglądały jak po czołowym zderzeniu z tramwajem. Rocco patrzył na nią jak zaczarowany. Italo sprowadził go na ziemię.

– Jedziemy, szefie? – spytał, potrząsając go za ramię. Pożegnali się z państwem Tomei i wyszli.

– Rzygacz, widziałeś to, Italo? Wyglądała jak rzygacz z katedry Notre Dame.

Italo zaśmiał się pod nosem.

– Coś niesamowitego. Ale bardziej niż do rzygacza wydała mi się podobna do jednej z tych ryb głębinowych. Wiesz, tych prawie przezroczystych, z małym ciałem i wielką paszczą.

– Tak, chyba masz rację.

– Widziałem takie na Animal Planet, niektóre są naprawdę straszne.

– Ryba głębinowa. Pierwszy raz mi się to zdarza.

– Co?

– Porównać twarz kobiety do zwierzęcia.

– No bo nigdy nie widziałeś mojej ciotki. Któregoś dnia pojedziemy do niej. Tylko musisz wiedzieć, że ma osiemdziesiąt dwa lata i nie wychodzi z domu od tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego czwartego roku.

– Nie może się poruszać?

– Może, a jakże. Tylko uznała, że nie ma po co wychodzić. Wszyscy na zewnątrz poszaleli, tak mówi. Ma na imię Adele i jest malutka, metr pięćdziesiąt wzrostu. Mówi tylko w nocy. Na pewno zrobi na tobie mocne wrażenie.

– A po co miałbym ją poznać?

– Bo nikt w tej dolinie nie gotuje tak jak ona, możesz mi wierzyć.

– Wiesz, co zrobimy, Italo? Pójdziemy dziś na kolację do Pam Pam, ja stawiam. Weź Caterinę.

– A skąd taka hojność?

– Stąd, że mi smutno, że jest dwudziesty pierwszy marca i zaczęła się wiosna, że to dla mnie ważna data i nie chcę jeść sam. Starczy?

Zawsze kończyło się tak samo. Był zmęczony i czuł niesmak. Kolacja z Italem i Cateriną na niewiele się zdała. Śmiał się, pił, usiłował się oderwać. Ale nie udało mu się. Jak zawsze pod koniec jakiejś sprawy, pustka pozostawiona przez śmierć ciążyła mu bardziej niż jego własna odpowiedzialność. Rocco Schiavone już znalazł winnego. Wystarczyło mu parę dni, żeby zrozumieć, wysledzić i wykryć zabójcę. Tego głupca, który zaburzył naturalną równowagę. Który przerwał czyjeś życie. Z jakiego powodu? Przez egoizm? Złość? Szaleństwo?

Ale żeby zrozumieć egoizm, złość, szaleństwo, musiał utożsamić się

z mordercą, jak dobrzy aktorzy przed odegraniem swojej postaci. A żeby to zrobić, musiał wejść w chore głowy tych ludzi, przybrać ich obleśną skórę, upodobnić się do nich i zejść w głąb szamba, by z latarką w ręku spenetrować najpodlejszą i najbrudniejszą część istoty ludzkiej. Musiał zacząć się w tym bagnie, aż skurwieli, czyli winny, pojawi się w zasięgu. Potem wreszcie mógł wrócić na powietrze i się opłukać. Tylko że wiele dni czy wręcz miesięcy zajmowało mu pozbycie się brudu. Zawsze coś zostawało przyklejone do skóry.

Wiedział, że jeśli dalej będzie tu pracował, już nigdy nie zrzuci z siebie całego tego błota.

– *Wiesz, zaszedłem do domu, meble są przykryte prześcieradłami.*

Marina się śmieje.

– *Korników to nie zatrzyma – mówi i opiera się o szybę.*

– *Byłem cię odwiedzić.*

Ona patrzy, ale nic nie mówi.

– *Przyniosłem ci stokrotki. Te duże, które lubisz.*

– *Spotkałeś ich, prawda?*

– *Tak – odpowiadam dopiero po chwili.*

– *Obydwoje przyszli?*

– *Obydwoje.*

– *Nie odezwali się do ciebie, prawda?*

– *Nie, Mari, nadal się nie odzywają. Jeśli cokolwiek mówią, to tylko po to, żeby mi przypomnieć, że nigdy się nie odezwą.*

Marina kiwa głową i siada na kanapie.

– *Musisz ich zrozumieć.*

– *Ależ rozumiem. Nie jestem głupi. Ale miałem nadzieję. Po pięciu latach.*

– *Jaki jest Rzym?*

– *Krótko w nim byłem. Nie wiem. Śmierdzi.*

– *Po co pojechałeś?*

– *Jakieś problemy z księgowym.*

– *Ile razy już ci to mówiłam? Świetnie wyczuwasz kłamstwo, ale sam w ogóle nie potrafisz kłamać.*

– *No dobra, sprawy służbowe.*

– *Podwójne życie Rocca Schiavone! – Wybuchła śmiechem.*

– *Jakie tam znów podwójne życie. Po prostu życie i tyle, Mari.*

Nalewam sobie białego wina. Od kiedy Ugo dał mi spróbować, piję tylko Blanc de Morgex.

– *Jak się czuje mama i tata?*

– *Schudli.*

Marina kiwa głową.

– *Przypomnij mi. Tego siódmego lipca która była godzina?*

- *Wpół do czwartej.*
- *Wpół do czwartej. Było gorąco?*
- *Bardzo. Słońce zasnute chmurami, ale był upał.*
- *Gdzie byliśmy?*
- *Na ulicy Nemorense, przed cukiernią.*
- *Co tam robiliśmy?*
- *Poszliśmy na lody.*

Wstaje z kanapy i idzie do sypialni.

– *Marina?*

Zatrzymuje się.

- *Też idę spać, nie chcę tu zostać.*
- *Ale i tak nie zmrużysz oka.*
- *A ty mów do mnie dalej.*

Zgasił właśnie światło w salonie, kiedy zadzwoniła jego komórka.

- *Mówi Trevisi ze szpitala imienia Pariniego. Przepraszam za porę.*
- *Nie ma sprawy. A właściwie która godzina?*
- *Północ.*
- *Pan jeszcze w szpitalu?*

– *Mówiłem, że środa to straszny dzień. No więc były trudności z odszukaniem, ale proszę: mieliśmy panią Ester Baudo dwa razy na pogotowiu. W dwa tysiące siódmym i dwa tysiące dziewiątym roku. Za drugim razem przyjęliśmy ją na oddział chirurgii urazowej.*

– *Dobrze.*

– *W dwa tysiące dziesiątym roku, też na izbie przyjęć, założyliśmy jej szwy w ustach, a w dwa tysiące jedenastym... zaraz sprawdzę... tak, zgłosiła się ze złamaniem kości policzkowej.*

Rocco westchnął.

– *Nigdy wam nie wydało się to cokolwiek dziwne?*

– *Pracuję tu od dwa tysiące dziesiątego roku, a pani Baudo zawsze podawała jako przyczynę wypadki samochodowe. Poza ostatnim razem, kiedy zgłosiła nieszczęśliwy wypadek w domu.*

– *Wypadek w domu. Tak, można to tak nazwać. Dziękuję, panie Trevisi, bardzo był pan pomocny.*

– *Ależ to mój obowiązek.*

– *No to jak? Przyjdiesz do łóżka? – pyta mnie Marina.*

Nie zmrużę dziś oka. Także tej nocy.

Czwartek

Znów stał przed mieszkaniem Baudów. Ktoś zdjął plomby. Drzwi były niedomknięte. Wystarczyło lekko je pchnąć, żeby wejść. W salonie obok kanapy kuczał jakiś facet.

– To ty zdjąłeś plomby? – zapytał Rocco.

Tamten odwrócił się. To był Luca Farinelli, szef dochodzeniówki.

– Nie, pewnie jeden z twoich.

– Albo jeden z twoich. Moi nie wchodzili już potem do tego mieszkania.

Farinelli wstał, otrzepując kurz z nogawki.

– I całe szczęście.

– Mogę wiedzieć, co tu robisz? – zapytał Rocco.

– Pracuję, a ty?

– Szukam krawata.

– Moi ludzie zawieźli wszystkie krawaty do Fumagallego.

– W takim razie to oni zerwali plomby.

– Nie robią takich głupot. Nie to co wy. Kiedy się wreszcie nauczycie właściwego zachowania na miejscu zbrodni?!

– Jak leci? Żona dobrze się czuje?

– Czemu za każdym razem pytasz mnie o żonę?

– Bo mam nadzieję, że któregoś dnia mi powiesz: to już nie moja żona, rozeszliśmy się.

– Do tego nigdy nie dojdzie.

– Nie bądź taki pewien.

Rocco nie mógł rozgryźć tej zagadki. Żona Farinellego była szałowa, ludzie na ulicy się za nią odwracali. Luca z kolei był szpetny i jedyny szal, jaki potrafił wzbudzić, to wściekłość swoich podwładnych.

– Narobiliście tutaj strasznego burdelu... Jak zawsze.

– Wiem, że mnie szukałeś. Mów, o co chodzi, bo nie mam czasu i nie lubię tego mieszkania.

– Muszę zaraz wracać do Turynu, mam tam podwójne zabójstwo, takie, że włosy stają dęba na głowie.

– Oczywiście jeśli ktoś jeszcze je ma... – zauważył Rocco, patrząc na mocno przeredzone owłosienie czaszki Farinellego.

– Zaszedłem na komendę, zostawiłem ci pudło, sprawdź, może coś ci się przyda. Powiem tylko dwie rzeczy. Po pierwsze, ściągnęliście zwłoki przed przyjazdem ekipy i dotknęliście sznura bez rękawiczek. Poza tym jeden z twoich nasikał w łazience.

– Skąd wiesz, że jeden z moich?

– Zrobiliśmy badanie moczu. Drugi raz pojawia nam się w wynikach

posterunkowy Casella.

Co za kutas, pomyślał Rocco. Już miesiąc wcześniej na stoku narciarskim w Champoluc poznaczał miejsce zbrodni, sikając gdzie popadnie, jak pies.

– No tak, Casella musi mieć jakiś problem z pęcherzem. A co po drugie?

– Znaleźliśmy roztrzaskaną komórkę, nie do użytku. Bez karty SIM. Może przykleiła się do podeszwy któregoś z twoich ludzi.

Rocco bezradnie rozłożył ramiona.

– Co za pech.

– Poruszacie się jak bydło po pastwisku.

– Coś jeszcze?

– Tak, zamierzam poprosić przełożonych, żeby zarządzili dla was trzydniowe szkolenie. Mam już dosyć głupot, które wyprawiacie. Nie umiecie się zachować.

– Ty je poprowadzisz?

– No pewnie.

– To i mnie zapisz. W każdym razie dla mnie ta sprawa jest rozwiązana.

Brakuje tylko jednego szczegółu.

– Można wiedzieć jakiego?

– Krawata.

– Jeszcze? Wszystkie zawieźliśmy do Fumagallego.

– Wszystkie poza jednym.

Rocco zawiesił wzrok na rowerze Patrizia, colnago za sześć tysięcy euro. Podszedł i zaczął go oglądać.

– Tam szukasz tego krawata?

– Nie... ale coś mi przyszło do głowy.

Odwrócił rower. Tylne koło zaczęło się luźno obracać. Zatrzymał je. Uważnie obejrzał ramę, hamulce, siodełko. Wyjął z kieszeni szwajcarski scyzoryk.

– Co ty, będziesz koła przekłuwał? – spytał Farinelli.

Rocco nie odpowiedział, zajęty wyborem właściwego narzędzia. Wysunął pilkę i rozciął siodełko. Rozpruł gumę, wyjął sprężynę, potem trochę pianki i wreszcie mały kawałek tkaniny.

– Popatrz! – Pokazał triumfalnie Farinellemu.

– Co to?

Rocco mu podał. Mała biała metka z wyhaftowanymi liśćmi lauru i nazwiskiem „Tomei”.

– No i?

– Stary, mam farta. Żegnam i dziękuję za wykonaną pracę, bla, bla, bla.

Bez uścisku dłoni wyszedł z pokoju, trzymając w palcach metkę.

– Rzuć okiem na rzeczy, które ci zostawiłem w biurze.

– Spoko. Założysz z powrotem plomby?

Rocco Schiavone i Italo Pierron zapukali do domu rodziny Baudów w Charvensod. Była to ładna willa, komin pluł szarym dymem w niebo o tym samym kolorze. Zimny wiatr zszedł w dolinę, świszcząc w gałęziach sosen i trzaskając okiennicami. Matka Patrizia Bauda otworzyła drzwi.

– Dzień dobry, panie wicekwestorze, proszę wejść.

– Szukamy Patrizia – powiedział Rocco, wycierając buty o słomiankę.

Kobieta skinęła głową.

– Powinien być w garażu. Ma tam biuro i magazyn. Może się panowie czegoś napiją?

– Absolutnie nie, dziękuję.

W domu pachniało woskiem do mebli.

– Proszę siadać. – Wskazała na skórzane kanapy stojące przed rozpalonym kominkiem. – Zaraz go zawołam.

Oddaliła się cicho. Otworzyła drzwi i zeszła po kręconych stalowych schodkach.

– Ładny dom – zauważył Italo, rozglądając się.

Salon wyłożony był boazerią, na ścianach wisiały oprawione kompozycje z koronek, stare krowie dzwonki i drewniane narty. Oprócz tego pejzaże alpejskie. Pod ścianą stał regał z książkami, przeważnie kucharskimi. Nad drzwiami do kuchni wisiał ładny krucyfiks, a obok drzwi wejściowych obraz Matki Boskiej z Dzieciątkiem.

– Chodź, Italo, nie przyjechaliśmy tu na miłe pogaduszki – rzucił szorstko Rocco.

Zszedł po schodkach prowadzących do ciasnego pomieszczenia pełnego puszek i pędzli. Pchnął półotwarte drzwi i znalazł się w sporym, około stumetrowym mieszkaniu na poziomie suterenu. Matka Patrizia stała na środku salonu.

– Nie ma go, gdzieś wyszedł.

Podziemny loft aż kipiał od sprzętu sportowego. Owinięte w folię kombinezony narciarskie, spodnie trekkingowe, swetry i wiatrówki. Do ażurowych stojaków przypinane były rozmaite akcesoria do wspinaczki. Wszystko nowe, egzemplarze okazowe. Czekany, raki, karabińczyki, liny.

– Nic nie rozumiem... szukałam go nawet w garażu. Samochód stoi – ciągnęła kobieta, patrząc bezradnie na policjantów.

Rocco podszedł, by obejrzeć sprzęty i odzież.

– To towar mojego syna, próbki. W domu nie miał na to miejsca. – Wciąż rozglądała się po mieszkaniu. – Może poszedł na spacer, dzwonili panowie na komórkę?

– Wyłączona – rzucił Italo spod stojaka z futurystycznymi kołami rowerowymi.

– Nie mam pojęcia, co panom powiedzieć. Pół godziny temu układał rzeczy. Jutro wraca do pracy. Mogę wiedzieć, dlaczego go szukacie?

– Nie – uciał Rocco. – Do widzenia.

Skierował się szybko w stronę schodów. Italo uklonił się i podążył za szefem.

Jakaś kobiecina porządkująca świece wotywnie pod obrazem Matki Boskiej w kościele Sant’Orso wyjaśniła sprawę.

– Nie ma księdza Sandra, pojechał z Patriziem Baudem na cmentarz, na grób jego żony.

Rocco, prychając, wyszedł z kościoła.

– To polowanie na skarb zaczyna mnie wkurzać.

Italo przed wyjściem z Domu Bożego przystanął i się przeżegnał.

– Mógłbyś się łaskawie pospieszyć? – warknął Rocco.

Nie było trudno odnaleźć grób Ester Baudo. Cały tonął w kwiatach, wręcz go przytłaczały. Był najświeższy. Po pogrzebie zostaje na grobie mnóstwo kwiatów i wieńców z wciąż czytelnymi napisami na fioletowych wstęgach ze złotym brzegiem. Z upływem czasu barwy przyblakną, kwiaty uschną, wieńce pójdą do spalenia, a grób upodobni się do wszystkich innych. Jeden czy dwa kwiatki w wazonie, nic więcej.

Patrizio Baudo siedział obok księdza przed nagrobkiem. Rocco dał znak, żeby Italo zaczekał w pewnym oddaleniu, a sam podszedł do ławki i usiadł przy wdowcu. Bez słowa.

– Wicekwestorze! – odezwał się ksiądz Sandro.

– Zechce nas ksiądz zostawić samych na moment?

Duchowny wymienił z parafianinem szybkie spojrzenie, pogłaskał mu dłoń, wstał i ruszył w stronę Itala.

Rocco czekał, aż Baudo pierwszy przemówi.

– Dzień dobry, komisarzu.

– Nie jestem komisarzem i to nie jest dobry dzień. Zwłaszcza dla pana.

Patrizio Baudo, koala z Ivrei, spojrzał na policjanta małymi, pozbawionymi wyrazu oczami.

– Nie rozumie pan, prawda?

– Nie. Nie rozumiem.

Rocco wsunął rękę do kieszeni i wyjął papierosa. Zapalił go. Szum pobliskiej rzeki działał kojąco, podobnie jak widok cyprysów posadzonych wzdłuż alejek. Rocco jednak tłumił w sobie cyklon. Narastał w nim przez całą noc.

– Niech mi pan powie – zaczął po pierwszym zaciągnięciu się camelem – lubił pan katować żonę?

– Ja?!

– A do kogo mówię? Zobaczmy, ile razy posłał ją pan do szpitala. Mnie

wychodzi, że pięć, proszę mnie poprawić, jeśli się mylę. – Wyjął kartkę z notatkami. – Przeczytam podsumowanie pańskiego dorobku. Pana żona doznała złamania kości łokciowej i promieniowej prawego przedramienia. Potem była kość policzkowa i dwa żebra. – Złożył kartkę i schował ją do kieszeni. – A to jest tylko lista złamań, czyli przypadków, kiedy pan przesadził. Wyobrażam sobie, że siniaków i otarć było sporo więcej, prawda? Dużo się pan jeszcze musi nauczyć. Istnieją bardziej subtelne techniki zadawania bólu, tak żeby nie było śladów. Myślał pan o biciu pałką po podeszwach stóp? Albo zrolowaną książką telefoniczną? Strasznie boli, a nie ma nawet siniaka. Mógł pan popробować mokrym ręcznikiem. Zostawia na nogach tylko lekkie zaczerwienienie, ale ból jest nie do zniesienia.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– Nie wie pan? Zechce pan zdjąć rękawiczki.

– Dlaczego?

– Proszę je zdjąć. Dotąd nie widziałem jeszcze pana rąk. Jestem lekkim fetyszystą w tej sprawie.

Rzucił papierosa na ziemię. Patrizio Baudo powoli zdjął najpierw jedną rękawiczkę, potem drugą.

– Proszę pokazać.

Patrizio wyciągnął dłonie. Rocco złapał je i odwrócił. Na knykciach zdarta skóra. Na jednym czarny krwiak i rozcięcie.

– Jeszcze się nie zagoiły od piątku? Smarował pan kremem?

Rocco był spokojny, natomiast Patrizio przerażony. Bardziej przerażony, niż gdyby policjant na niego wrzeszczał.

– No więc pytam jeszcze raz grzecznie. Bawiło pana katowanie żony?

Patrizio odwrócił się w stronę duchownego.

– Nie ma co szukać pomocy u księdza. Niech pan patrzy na mnie i odpowiada!

Ksiądz jednak dostrzegł jego przerażone spojrzenie i podszedł do ławki.

– Można wiedzieć, co tu się wyrabia?

– Niech się wielebny nie wtrąca.

– Patrizio, powiedz mi, co się dzieje.

Ale Patrizio Baudo spuścił głowę.

– Ja księdzu powiem. Ten pan przez siedem długich lat zabawiał się katowaniem żony. Do tego stopnia, że parę razy trafiła do szpitala.

Ksiądz wytrzeszczył oczy.

– To... prawda?

Patrizio zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie kłam! – Oczy księdza przestały być dobrotliwe, stały się teraz przeszywające niczym ostrza. – Nie będziesz mi tu kłamał. Robiłeś to, co mówi

pan wicekwesor?

– Nie zawsze tak było. Czasami... – Zamilkł.

– Śmiało, dalej, chcę usłyszeć. Co czasami? – odezwał się Rocco. Ale wdowiec nie otworzył ust, więc Rocco ciągnął: – Przedstawię pokrótce obraz sytuacji, a pan będzie słuchał, nie przerywając mi, bo jak nie, to skopię panu dupę właśnie tu, przed grobem pańskiej żony i w obecności przewodnika duchowego.

– Panie Schiavone, ja bardzo proszę – zaprotestował duchowny.

– Nie ma ksiądz nawet pojęcia, jak bardzo się staram zachować spokój i równowagę. Żeby pozostać w kręgu spraw kościelnych, powiem wręcz, że chyba tylko cudem powstrzymuję się, by nie wybuchnąć i nie spuścić łomotu temu gnojowi. No więc – podniósł nieco głos – w piątek rano dotkliwie pobił pan żonę. Co pan znalazł? Jakiegoś esemesa? Podejrzał pan ją, że ma kochanka?

– Ja nie...

Rocco z prędkością błyskawicy wymierzył cios, aż tamtemu odskoczyła głowa.

– Mówiłem: nie przerywać!

– Panie Schiavone! – zawołał ksiądz, podczas gdy wdowiec dotykał policzka, gdzie wciąż wyraźny był odcisk ręki policjanta.

– Żadnego przerywania, chyba uprzedzałem. Idziemy dalej.

– Panie Schiavone, ja nie dopuszczę, żeby...

– Niech ksiądz się nie wtrąca. To nie jest zbłąkana owieczka, ale tchórzliwy gnojek, któremu dotychczas wszystko uchodziło na sucho. Mam rację, Patrizio? No więc mówię dalej, jak było, a wy mi nie przerywacie. W piątek pobił pan żonę, miała wyraźne ślady na twarzy. Ale przesadził pan i ją zabił.

– Już mówiłem, że...

Cios łokciem w policzek sprawił, że głowa Patrizia obróciła się o sto osiemdziesiąt stopni, z jego ust trysnęła na żwirek alejki krew.

– Na miłość boską – obruszył się ksiądz – będę musiał zgłosić to pana przełożonym...

– Cicho! – wrzasnął Rocco z pianą na ustach. – Cisza ma być!

Italo podszedł bliżej. Ta spokojna, jak mu się początkowo zdawało, rozmowa zamieniała się w coś przerażającego. Wiedział, że musi być w pogotowiu.

Schiavone zaczął mówić spokojniej, podczas gdy wdowiec wypluwał czerwonawą ślinę.

– Wszystko rozegrało się w kuchni. Udusił ją krawatem. Krawatem, który dostał od niej na imieniny. Potem zainscenizował samobójstwo. Zaciągnął zasłony, a żeby mieć pewność, że nikt z naprzeciwka nic nie zobaczy, opuścił rolety, co było błędem. Tam naprzeciwko nikt nie mieszka, żadne wścibskie oko nie zajrzy. Nie zorientował się pan? Ale musiał się pan spieszyć, o dziesiątej miała przyjść Irina, nie było czasu, by pomyśleć, więc je pan opuścił. Potem wyszedł pan

pojeździć na rowerze. Czy jest ktoś, kto może potwierdzić pańskie alibi? Widziano pana podczas tej wycieczki? Co mi pan odpowie?

Patrizio milczał.

– Teraz wolno mówić. Zadałem pytanie. Ktoś pana widział jadącego na rowerze?

Wdowiec pokręcił głową.

– No dobra. Potem pozbył się pan krawata, czyli narzędzia zbrodni, wrócił do domu i odegrał scenę. Przez cały ranek miał pan na dłoniach rękawiczki. Nawet wtedy, kiedy przyszedłem do kościoła pokazać broszkę. Zawsze nosił pan rękawiczki, tak jak dzisiaj. Bał się pan pokazać ręce. Żeby się nie wydało, że te ręce kogoś pobily. Konkretnie Ester.

Patrizio wyjął chusteczkę i otarł sobie wargę.

– Nie zabiłem jej, nie zabiłem.

Rocco popatrzył na niego. Musiał zacisnąć szczęki i pięści, żeby zachować spokój. Utkwił spojrzenie w jego grdyce. Z chęcią by mu ją przegryzł.

– Ja i Ester... trochę się pokłóciliśmy, to prawda. Ona mnie czasem do szafu doprowadza. Przysięgam, kiedy tak robi, tracę panowanie nad sobą. Chciała odejść, chciała się przeprowadzić do tej cholерnej Adalgisy.

– Patrizio... – odezwał się cicho ksiądz – proszę cię, spokojnie.

– Jak to: spokojnie? – Oczy koali rozszerzyły się niczym plama atramentu na kartce. Były całkiem czarne, białka jakby zniknęły. – Ona nic nie rozumiała, proszę księdza. Kochałem ją, ale ona wystawiała mnie ciągle na próbę. Każdego dnia. Każdy dzień był męką. Wysyłała esemesy, a potem je kasowała. Do kogo? Chciałem wiedzieć. Byłem mężem, na litość boską, miałem chyba prawo, nie?

Ksiądz schował twarz w dłoniach. Patrizio mówił dalej:

– W zeszłym roku wyprowadziłem się do matki na dwa tygodnie. I wie ksiądz, co ona mi powiedziała? „Najpiękniejsze dwa tygodnie w moim życiu”. Tak mi powiedziała. I to samo na komórce. Wszystkie esemesy do tej cholерnej Adalgisy o tym samym: najpiękniejsze tygodnie w życiu. Ale pieniądze brać ode mnie to chciała, jaśnie pani. A jakże! A ja? Harowałem jak wół, żeby miała na wszystkie zachcianki.

– Dlaczego do mnie nie przyszedłeś? Dlaczego nic mi nie mówiłeś?
– zapytał ksiądz.

– A co tam ksiądz może z tego zrozumieć? Co ksiądz wie o żonach? Ma ksiądz doświadczenia z żonami?

– Masz rację, o żonach nie wiem nic. Ale to i owo o ludzkiej duszy, owszem.

– Ksiądz tylko umie powtarzać: zawierz Chrystusowi, zawierz Chrystusowi. A gdzie był Chrystus przez te siedem lat? Gdzie był? Powiem księdzu. Był gdzie indziej. A kiedy Chrystus wracał? Kiedy ją karałem. O, wtedy był między nami pokój. Nie wstydzę się tego powiedzieć: mocno ją utemperować to było jedyne

wyście. Nawet jeśli czasami bolesne.

– Kości jej gruchotałeś!

Skrzywiona w krwawym uśmiechu twarz Patrizia wyglądała jak upiorna maska.

– Raz czy drugi się zdarzyło. Tak, parę razy. Wie ksiądz, ja tego nie chciałem, ale czasami starczy użyć trochę siły i trach! – Pstryknął palcami. – Łamała się jak gałązka. Nie chciałem, ale miała słabe kości, to jasne. Założę się, że gdybym nigdy niczego jej nie złamał, tobyśmy tu nie siedzieli teraz w tym gronie.

Rocco wstał. Patrizio wciąż mówił do księdza. Nie sposób było go zatrzymać. Zwykle spowiedź odbywa się w tajemnicy, pomyślał Rocco. A poza tym, o ile pamiętał, trzeba było się przeżegnać i wypowiedzieć jakąś formułkę, zanim wyleje się na księdza całe szambo swojego życia.

– Zawsze wiedziałem, że w domu musi być podział ról: jedno rozkazuje, drugie słucha. A jeśli czasem trzeba przy tym użyć trochę siły... no cóż mam powiedzieć? Tak, używałem. Ksiądz nie zrozumie, co to znaczy żyć obok kobiety, która w każdej chwili może sobie pójść w siną dal nie wiadomo z kim. Przyłapałem ją! Z moim kolegą. W barze. Pili granitę kawową z bitą śmietaną. W lutym!

– I ty to zrobiłeś swojej żonie... – powiedział ksiądz Sandro ze wzrokiem wbitym w ziemię.

Z zakrwawionych ust Patrizia wydobywały się kolejne słowa, a z oczu leciały mu histeryczne łzy.

– Śmiała mi się za plecami za każdym razem, kiedy wychodziliśmy. Nawet w kościele, nawet tam. Wie ksiądz, co kiedyś powiedziała? Że szkoda takiego ładnego mężczyzny na księdza. No i jak to było? Miał ksiądz brudne myśli o mojej żonie? Jak to było naprawdę?

– Patrizio, musisz się opanować.

– A co, nie miał ksiądz ochoty się do niej dostać?

Prawa ręka duchownego trafiła go w policzek z nieoczekiwaną zwinnością.

– Niechże się ksiądz opanuje – wykrzyknął Rocco.

Ksiądz oddychał z trudem, wpatrując się w Patrizia. Ręka, którą uderzył, była czerwona.

– Co ja zrobiłem... co ja zrobiłem – wymamrotał.

Rocco rzucił spojrzenie w stronę Italo, który stał dwa metry od ławki. Ten zrozumiał jednoznaczny komunikat i podszedł do Patrizia, wyciągając z futerału kajdanki.

– Ale potem Ester rozumiała! – szeptał Baudo, kiedy policjant zapinał mu kajdanki. – Rozumiała i przepraszała. Jeśli tak robiłem, to z nadmiaru miłości. Można mi nie wierzyć, ale to prawda.

Italo szarpnął Patrizia, próbując go odciągnąć od ławki i zabrać do

samochodu, ale ten ciągle gadał.

– Rozumiała to, słyszy ksiądz? Szła ze mną do łóżka. Była wtedy słodka i kobieca jak nigdy. Dlaczego nigdy nie złożyła na mnie skargi? No dlaczego? Panie Schiavone, widział ją ktoś kiedy na policji?

Z wielkim trudem Italo zdołał odejść z nim dwadzieścia metrów.

– Bo jej to w sumie odpowiadało. Lubiła to. To był mój sposób na kochanie. Pasował jej.

– Rusz dupę wreszcie – wrzasnął Italo.

Ale Patrizio go nie słuchał.

– Chodziło wyłącznie o siłę. Nie umiałem jej dawkować. Tylko tyle. Ale jej to pasowało.

– Zaraz cię kopnę, jak nie zaczniesz iść.

– Ale wierzcie mi, zasłużyła na wszystko, co jej zrobiłem. Na wszystko!

– Kurwa, przegiąłeś. – Italo go popchnął. Patrizio upadł na ziemię, ale zaraz się podniósł.

– Nie zabiłem Ester, karałem ją tylko, kiedy na to zasługiwała. Byłem mężem, mogłem to robić, musiałem to robić. Tak jest napisane w księgach, proszę księdza. W księgach!

Wreszcie Italo zdołał go odciągnąć na dobre i zniknęli za jednym z cyprysów. Jak za dotknięciem różdżki jego wrzaski połknęła cmentarna cisza.

Rocco i ksiądz stali naprzeciw siebie. Niczym dwaj ocaleni z cyklonu, który zmiotł wszystko dookoła.

– Następnym razem ja go trzymam, a ksiądz grzmoci?

Duchowny opadł na ławkę.

– Wciąż nie mogę uwierzyć. Znałem ich od tylu lat. I to wszystko na moich oczach.

– Na oczach księdza, na oczach sąsiadów, lekarzy w szpitalu, policji. Proszę nie brać na siebie winy. Nie jest ksiądz tutaj jedynym odpowiedzialnym.

– Jak pan może tak mówić? To jest moja wina. Po co jest w takim razie duszpasterz? Jeśli nie potrafi ocalić rodziny...

– Żeby ocalić tamtą rodzinę, potrzeba było czegoś, czego ksiądz nie może uznać. Nazywa się to rozwód.

– Widzi pan, co Bóg złączył, człowiek niech nie rozdziela, znam to. Ale czasami Bóg wcale nikogo nie łączy. I nie ma niczego do rozdzielania.

Prokurator Baldi poświęcił mu tylko chwilę, potrzebną do podpisania nakazu, zadowolony, że sprawa Ester Baudo została rozwiązana w parę dni.

– Z pana to jednak błyskawica – pochwalił go. – Ale teraz proszę wybaczyć, jestem na tropie jednego z największych przekrętów podatkowych w dziejach tego regionu.

Po czym z dwoma ochroniarzami pojechał czym prędzej w stronę

Courmayeur. Rocco Schiavone nagle nie miał nic do roboty. Snuł się po pokojach swojego biura z rękami splecionymi z tyłu, jak emeryt łązący bez celu po ulicach i obserwujący roboty drogowe. Wziął z maszyny dwie kawy, czekoladę i nawet kanapkę. Wszystko zaraz wyrzucił do plastikowego kosza, który jakaś przewidująca ręka ustawiła obok dystrybutora tego paskudztwa. Po raz pierwszy od przyjazdu do Aosty poszedł do domu zaraz po przerwie obiadowej. Leżał na kanapie przykryty pledem, kiedy naszła go myśl, że warto by coś poczytać. Wybrał tom opowiadań. Żeby wrócić do formy, musiał postępować tak jak sportowcy. Po długim okresie beczynności nie możesz biec przez godzinę. Mięśnie nie wytrzymają. Nie mógł więc porywać się na powieść. Poza kondycją brakowało mu umiejętności skupienia uwagi. Czytając opowiadanie, jeśli nawet przyśnie, łatwo potem odzyska wątek. Wybór padł na Czechowa. Już przy piątym rosyjskim imieniu – Olga Michajłowna – powieki opadły mu jak dwie ciężkie rolety.

Obudził go komendant. Skorzystał z rozwiązania sprawy, żeby zarządzić konferencję prasową, bo był pewien, że zapędzi w kozi róg gazeciarzy. Rocco wpadł jak śliwka w kompot. Śnił o rosyjskim stepie, wiorstach, rublach, więc nie miał gotowego wykrętu, żeby uniknąć tej upierdliwej okoliczności, którą tego dnia podniósł aż do dziewiątego stopnia.

Siedział za stołem w sali konferencyjnej przed grupą dziennikarzy uzbrojonych w notesy, w komórki służące jako dyktafony i w kamery na statywach. Komendant Andrea Costa mówił bez przerwy od kwadransa, a Rocco błędził gdzieś myślami, choć na twarzy miał wyraz skupienia i zainteresowania. Dzięki tej sztuczce przetrwał pięć lat liceum. Wystarczyło oprzeć łokcie o stół i zakryć usta ręką, przymknąć lekko oczy i co jakiś czas powoli, z namaszczeniem, kiwać głową.

W rzeczywistości jego umysł przebywał teraz nie w tej sali, lecz całkiem gdzie indziej. Dręczyło go przykre poczucie, że o czymś zapomniał.

– Z drugiej strony może nam to potwierdzić obecny tu wicekwesor Schiavone – zakończył Costa.

Nagle Rocco znalazł się w centrum uwagi.

– Oczywiście – powiedział, nie mając bladego pojęcia, co potwierdza. Wszyscy patrzyli na niego. Musiał coś dodać, ale co? Na pewno chodziło o aresztowanie Patrizia Bauda, ale nie wiedział, o czym konkretnie była mowa. Postanowił wykręcić się ogólnikiem. – Oczywiście to przypadek, który uznajemy za dość typowy, bazując na naszych doświadczeniach.

– W jakim sensie typowy? – zapytał kędzierzawy redaktor.

– Opieram się tu na danych gromadzonych przez policję – odparł Rocco.

Błąd. Twarze dziennikarzy wypełniło zdumienie.

– Przepraszam – wtrącił się młody typek z siwymi włosami – ale czy policja zbiera dane o cenach rowerów wyścigowych?

O czym, do kurwy nędzy, oni mówią? – pomyślał Rocco. Kłamać, iść w zaparte.

– Jasne, także i to. Zdaje sobie pan chyba sprawę, że czasem z drobnych, pozornie nieistotnych szczegółów, takich jak cena roweru na przykład marki Colnago, który kosztuje około sześciu tysięcy euro, można wyciągnąć mnóstwo wniosków. Podam przykład. Patrizio Baudo był szalenie zazdrosny o swój rower, traktował go jak dziecko. Ta zazdrość sprawiła, że rower stał się jakby koniem trojańskim, kiedy Baudo schował krawat pod siodełkiem. Przy okazji jednak metka się oderwała i utkwiała w sprężynach.

W ciszy dalej patrzyli na niego. Miał pokusę, aby zapytać szeptem szefa, jaki był temat, ale wiedział, że za coś takiego czeka go potem co najmniej godzinny ochrzan, którego nie wytrzyma nerwowo.

– Nie rozumiem, co to ma wspólnego z wyścigiem Aosta–Saint Vincent–Aosta – zauważył kędzierzawy. Olśniło go. Mówili o tym cholernym charytatywnym wyścigu kolarskim, oczku w głowie przewodniczącego rady regionu.

– Ma wiele wspólnego – próbował lawirować – bo pomogło mi to skupić się na sprawie Ester Baudo. Jej mąż, z tego, co wiem, zamierzał wystartować w wyścigu i codziennie trenował.

– Ale my tu rozmawialiśmy o rowerze, który będzie nagrodą rzeczową dla zwycięzcy – odezwała się starsza dziennikarka, która pomimo swego wieku wyglądała, jakby była w ciąży.

– Potwierdzam więc, że będzie to colnago za sześć tysięcy euro – wypalił Rocco.

Costa spojrział na niego zdumiony.

– Naprawdę?

– To mój pomysł.

Komendant przejął mikrofon, żeby odzyskać inicjatywę. Rozmowa wróciła do sprawy Ester Baudo. Elegancka i agresywna dziewczyna zagaiła:

– My tu tracimy czas na jakieś wyścigi, a mamy przecież enty przypadek zabójstwa kobiety.

Sala wybuchła i Costę zalała lawina pytań. „Dlaczego policja nie stworzy specjalnego zespołu do zwalczania tej patologii społecznej?”, „Dlaczego kobieta musi tyle przecierpieć, żeby przemoc domowa wyszła na światło dzienne?”

Komendant się tego spodziewał i miał pod ręką dane na dowód, że policja często interweniuje w sprawach przemocy domowej, ściśle współpracuje z organizacjami lokalnymi i zachowuje maksymalną czujność.

– No to dlaczego Ester Baudo leży na cmentarzu?

– Nie mieliśmy żadnego zgłoszenia od pani Baudo. Niestety to jest prawdziwy problem z przemocą domową. Bez zgłoszenia nie możemy nic zrobić,

bo o niej nie wiemy.

– Mój Boże, kobieta łąduje pięć razy w szpitalu i wy niczego nie podejrzewacie?

– Widzi pani... jeśli nie dotrze do nas zgłoszenie od kierownictwa szpitala, czyli dyrektora lub ordynatora, albo chociaż doniesienie zwykłego lekarza, nie jesteśmy w stanie wiedzieć pewnych rzeczy.

– Jednak ja znam przypadki, które zostały zgłoszone, ale nigdy nie objęto ich dochodzeniem. Czy to prawda, że dopóki mąż tylko bije żonę, nie możecie interweniować? Że kobieta musi trafić do szpitala, żeby ktoś jej wysłuchał? Słyszeliście kiedyś o przemocy psychicznej?

Rocco z powrotem zanurzył się w swoich myślach. Ciągle dręczyło go poczucie, że coś przeoczył. Jakiś szczegół. Imię. Coś. Nagle dostrzegł w sali, obok kamer, znajomą twarz. Adalgisa, przyjaciółka Ester, szukała kontaktu wzrokowego. Rocco lekko skinął jej głową. Oczywiście miała wilgotne, słodki uśmiech rozświetlał jej twarz. Dziękowała mu.

– Ten facet przez lata katował żonę, która nie miała odwagi przyjść z tym do was czy do karabinierów. Mamy rok dwa tysiące trzynasty, jak to możliwe?

Costa rozłożył ramiona.

– Pani redaktor, nie potrafię na to odpowiedzieć. Ale zapewniam, że ja i moi ludzie robimy, co w naszej mocy, żeby to miasto było lepszym miejscem do życia.

– Może pana podwładny coś by nam o tym powiedział? – odezwała się dziennikarka wyglądająca, jakby była w ciąży.

– Tylko żeby to nie dotyczyło znowu rowerów – dodał kędzierzawy i wszyscy zarechotali.

Rocco spróbował jeszcze jednego uniku.

– Jakie konkretnie mają państwo pytanie? – rzucił, otwierając buteleczkę z wodą.

Nie mógł po raz drugi wyjść na idiotę.

– Dlaczego nie można zatrzymać takich destrukcyjnych mechanizmów, które powstają w rodzinie?

– To ważne pytanie, pani redaktor. Ale nie jestem ani socjologiem, ani psychiatrą. Jestem tylko policjantem. Gliną, jak mówią w serialach.

– Ale ma pan doświadczenie z pracy w terenie, nie siedzi pan w biurze – nalegała starsza dziennikarka.

Wypił łyk wody i odstawił plastikowy kubek.

– Są dwa typy przestępców. Bandyti – i z nimi sprawa jest łatwa. Oraz tacy jak Patrizio Baudó. Normalni ludzie, z którymi pracujecie biurko w biurko. Potem wracają do domu i katują żonę, gwałcą dzieci. Jeśli zapytamy sąsiadów, powiedzą, że to porządni ludzie. Tacy są najgorsi. Najbardziej boję się porządnymi ludźmi, nie kryminalistów.

– Jak mówił wielki pisarz amerykański, uważajcie na miłość zwykłych ludzi. To odezwała się Adalgisa i wszyscy się ku niej odwrócili.

– Pani cytat jest trochę oderwany od naszej sprawy, ale tak, w sumie o to chodzi – odrzekł Rocco.

Costa postanowił interweniować.

– Zanim ten briefing zamieni się w seminarium literackie, czy mają państwo inne pytania?

Podniosły się trzy ręce.

– Czy Patrizio Baudo zostanie uznany za niepoczytalnego?

– O to musicie pytać sąd i biegłych.

– A o co możemy pytać was?

– O to, jak i kiedy go złapaliśmy, jakie mamy dowody. Roztrząsanie kwestii choroby umysłowej nie wchodzi w zakres naszych zadań – oznajmił Costa.

Rocco nagle wstał.

– Przepraszam, brakuje mi powietrza, mam atak paniki, muszę wyjść.

– Źle się pan poczuł? – zapytał z niepokojem jeden z dziennikarzy.

– Powiedzmy, że już nie mogę tu wytrzymać.

Zbiegł szybko po schodach, żeby wyjść na świeże powietrze. Znów padało, ale lekko, można ścierpieć. Lepsze to niż siedzenie w biurze i słuchanie jęków Deruty albo szpitalnych wspomnień D'Intina czy obserwowanie dalszego rozwoju historii miłosnej Itala i Cateriny.

– Panie Schiavone! – Kobięcy głos zza pleców zatrzymał go w progu. Odwrócił się. To była Adalgisa. – Tylko na moment, proszę.

– Nie byliśmy na ty?

– Masz rację. Chciałam ci podziękować. Bardzo jest mi przykro.

– Dlaczego?

– Z powodu tego, co zostało tam powiedziane.

– Masz na myśli rower?

Adalgisa uśmiechnęła się.

– Nie. Mogę zaprosić cię na kawę?

Otworzyła parasol. Rocco go przejął, a ona wzięła go pod ramię i poszli do najbliższego baru.

Kawa była przyzwoita, ciasteczko również nie najgorsze. Może zbyt maślane, ale czasem potrzebował kalorycznego świństwa. Pomagało przetrwać taki okropny dzień i to niebo, które od miesiący rzygało wodą. Albo w stanie ciekłym, albo zamarznąętą.

– To ja powinnam była coś zrobić. Bo wiedziałam, o wszystkim wiedziałam, a nie kiwnęłam palcem.

– Co wiedziałaś?

– Że Patrizio bił Ester. Pięć razy trafiła do szpitala! To prawda?

– Niestety tak.

– O szpitalu wiedziałam tylko raz, jak złamała rękę. Twierdziła, że poślizgnęła się na schodach. Kiedy ten kutas ją masakrował, nie pokazywała się całymi tygodniami. Tysiąc razy jej powtarzałam: „Ester, zgłośmy to na policję. Nie możesz tak dalej żyć”. Ale ona go zawsze usprawiedliwiała. „On jest tylko zazdrosny”, mówiła. A poza tym się bała.

– Czego?

– Że zostanie sama. I bez pracy. A Patrizio jeszcze po rozwodzie by ją dręczył. Rodzice Ester nie żyją, a jej jedyna siostra, z którą od lat nie miała kontaktu, mieszka w Argentynie.

– Mogę? – Adalgisa skinęła głową i Rocco zjadł również jej ciasteczko.

– Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

– Tyle razy myślałam o tym. Ale gdybym ci powiedziała, a Patrizio okazałby się niewinny? To byłoby straszne. Oskarżyć kogoś o zabójstwo to nie żarty.

– Kiedy się spotkaliśmy, powiedziałaś: „Wcześniej czy później to musiało się zdarzyć” i chodziło ci o samobójstwo Ester.

– Była coraz bardziej rozbita. Prawie już nie rozmawiałyśmy. Nie opowiadała o sobie. Spędzała dni przed telewizorem albo gotując dla męża. Za każdym razem, kiedy wychodziła, on robił jej potem karczemne awantury. Nie zabił jej w zeszły piątek. Zabijał ją przez siedem kolejnych lat.

– Siedem lat agonii. Nikomu bym nie życzył.

Podniosła z podłogi torebkę i oparła ją na kolanach.

– Mam coś dla ciebie. – Wyjęła czarny zeszynek.

– Co to?

– Dała mi to Ester. Luźne myśli, taki dziennik. Chciałabym, żebyś go przeczytał. Ale musisz mi obiecać, że oddasz.

– Dlaczego chcesz, żebym przeczytał?

– Bo znam cię już lepiej i bez obaw mogę ci to powierzyć. W środku znajdziesz Ester. Nie poznałeś jej. Ale zrobiłeś dla niej tyle co nikt inny.

– Nic dla niej nie zrobiłem.

– To ty tak twierdzisz. Zrobiłeś bardzo dużo.

Adalgisa dała mu całusa na do widzenia. Zamówił kolejną kawę. Otworzył zeszynek Ester Baudo i zaczął czytać.

Czas to dziwna, śmieszna rzecz. Możesz go mierzyć zegarkiem czy kalendarzem, ale jest względny. Kiedy patrzę przez okno i widzę spadający płatek śniegu, mija niecała minuta. Nic. Minuta niczego. Ta sama minuta dla rodzącego się dziecka jest początkiem życia. Dla pływaka minuta jest warta całych lat treningów. A dla mnie to było tylko spadanie płatka śniegu. Zastanawiam się, jaka jest moja minuta. Moja godzina, mój dzień. Dla kogoś innego to będzie dzień spędzony na oglądaniu telezakupów. Dla psa będzie oznaczał dwie michy jedzenia.

Dla więźnia jeden dzień bliżej do wyjścia. A dla mnie będzie to dzień, kiedy odmieni się moje życie. Kiedy nadejdzie? Jaki będzie? Krótki? Słoneczny? Deszczowy? Na pewno będzie padało. Nigdy nie miałam zbyt wiele szczęścia.

Klub czytelniczy. Rozmawialiśmy o Zabójstwie przy Rue Morgue Poego. Tylko orangutan mógł być sprawcą. Fantastyczne. Adalgisa i te jej literackie sztuczki. Nigdy nie lubiłam kryminałów, ale ona sprawiła, że zaczęłam je doceniać. Jak bardzo się stara! Czy warto? Dla kogoś, kto dziś nawet nie ma siły wstać z łóżka? Ale podoba mi się jej projekt. Jasne, że to tylko fantazje, ale Adalgisa ma wybitnie precyzyjny mózg. Gdyby w rzeczywistości dało się zrobić małpę w zabójstwo... niemożliwe. Niemożliwe? Dlaczego? Zależy, kto jest małpą.

Szkic powieści autobiograficznej. Chciałabym ją zatytułować Penelopa.

Spadała powoli, szybowała w głąb, powietrze uchodziło lekko z jej płuc. Pod powiekami miała tylko czerwień, a w uszach coraz wolniejsze bicie serca. Spadała powoli, jak czerwony liść dębu jesienią, tańczący piruety, zanim dotknie ziemi. Nie mogła już wyprostować palców, wszystko było takie spokojne. Spokojne i piękne. Niczym zasypianie. Albo błogość po tym, jak się kochali z Enrikiem, kiedy byli młodzi i wydawało im się, że mają dla siebie cały czas tego świata. Ale teraz czas się kończył. Nie było to w sumie takie złe. Odgłosy ulicy dochodziły stłumione, jak przez watę. Mięśnie wiotczały, rozplływały się na fajansie wanny. Nagłe zimno. Potem ostatni krótki oddech. Ostatnie uderzenie serca, lżejsze niż u kanarka. I koniec...

To nie o mnie, ja myślę tylko o nocy. I nie o nim, on to niewiele więcej niż przewód pokarmowy. Ale nie powinnam brukać tych stron jego postacią. Nie ma miejsca... ciągle myślę o grach Adalgisy. Czy to może być rozwiązanie? Innego nie widzę.

Chłopak na ulicy gapił się na mnie. Miał może ze dwadzieścia lat. Spuściłam oczy. Odszedł. Zobaczyłam swoje odbicie w szybie. Stałam. Po dwie siatki w każdej ręce. Włosy jak pęczek szpinaku. Co on takiego dostrzegł? Co myślał, gdy się gapił? Żalony widok, nieskończenie żalony. A co ja myślę, kiedy patrzę na siebie w szybie? To ma być życie? Tego chciałam dla siebie? Warto stawiać czoło tysiącom takich dni?

W niedzielę poszłam do kościoła. Nie chciałam słuchać mszy. Chciałam obejrzeć kościół. Ale pomyliłam godziny, właśnie trwała msza. Było czytanie z Księgi Rodzaju, 2, 21–23. Przeczytałam to sobie na nowo w domu: „Wtedy to Pan sprawił, że mężczyzna pogrążył się w głębokim śnie, i gdy spał, wyjął jedno z jego żeber, a miejsce to zappełnił ciałem. Po czym Pan Bóg z żebra, które wyjął z mężczyzny, zbudował niewiastę. A gdy ją przyprowadził do mężczyzny, mężczyzna powiedział: Ta dopiero jest kością z moich kości i ciałem z mego ciała! Ta będzie się zwała niewiastą, bo ta z mężczyzny została wzięta”.

Zaczęłam się zastanawiać. Z tej historyjki wynika, że kobieta powstaje

z mężczyzny, jest jego częścią. A mężczyzna szaleje za kobietą, kocha ją. W rzeczywistości kocha siebie, kawałek siebie, nie kogoś innego. Żyje, kocha się i płodzi dzieci z sobą samym. Miłość skupiona na własnej osobie, która nie ma nic wspólnego z miłością. To chyba najbardziej przewrotny i chory kawałek, jaki kiedykolwiek czytałam. Mężczyzna jest zakochany tylko w sobie. I tak mówi Pismo Święte. Nie chodzi o niższość kobiety. To jedynie sposób, żeby zamaskować prawdę.

Przynależność. Jedna osoba należy do drugiej. Mocą boskiego dekretu. A więc moje życie ma wartość, bo należę do mężczyzny. Bydło, domy, ziemia, kobiety. Należą.

Nigdy nie będę miała dziecka.

Bo urodzi się kobietą.

Nie zasługuje na to. Starczy już jej matka.

Gdziekolwiek jesteś, córeczko, wybac mi. Wybac swojej matce. Nie była w stanie. I nigdy nie będzie. Nigdy...

...ja to już nie ja. Nie jestem sobą. Nie jestem sobą.

...mechanizm do naoliwienia, do poprawy. Ale sztuczka zadziała... nie ma innego wyjścia. Nie mam innego wyjścia.

Na środku ostatniej strony widniało zdanie z bajki Perraulta: *Tomcio Paluch nie martwił się, bo był pewny, że znajdzie drogę do domu dzięki okruszkom.*

Rocco zamknął zeszyt. I dopiero wtedy zrozumiał, co mu nie pasowało. O czym zapomniał. Jaki był ten szczegół ukrywający się w zakamarkach jego mózgu. Kiedy wszystko mu się rozjaśniło, poczuł się, jakby dostał cios w splot słoneczny. Potężny, taki, co odbiera oddech i zwała z nóg. Musiał biec do biura.

– To wszystko poszło za łatwo – mówił do siebie, otwierając drzwi baru.
– Za łatwo. Dureń, dureń, skończony dureń.

Wpadł jak burza do pokoju. Na biurku wciąż leżała kartka z listą ludzi, którzy dzwonili: trzy razy komendant, a przede wszystkim trzy razy Luca Farinelli. Obok stało kartonowe pudło. Przysłał je właśnie szef działu kryminalistyki. Foliowe torebki z papierami. Na wierzchu bilecik: *Rzeczy zabrane z pokoju, gdzie były zwłoki. Sprawdź, czy coś przyda się w śledztwie. Potem zadzwoń do mnie, bo muszę to oddać do archiwum.*

Zaczął przeglądać torebkę po torebce. Dwa rachunki z restauracji, lista zakupów, niezapłacony rachunek za gaz, kwitek z parkingu. Nic takiego. Ale oko uchwyciło coś, co umysł zarejestrował dopiero po paru sekundach. Wziął ponownie do ręki kwitek z parkingu. Szpital imienia Pariniego. Godzina wyjazdu: 8.10. Dzień: piątek, 16 marca.

Kto wyjechał ze szpitalnego parkingu o ósmej dziesięć rano w dniu śmierci Ester? Dlaczego kwitek znalazł się w mieszkaniu?

– Krawat...

Chmury się rozwiały, wyrzało słońce.

- Światło! – wrzasnął Rocco.
Nadbiegł Italo.
- Jakie światło, co się dzieje?
– Jestem kretyńcem, Italo, kretyńcem. Zamknij drzwi.
Italo natychmiast wykonał polecenie i usiadł.
- Możesz mi wytłumaczyć?
– Ester Baudo. Zaprowadziła mnie, dokąd chciała.
– Co ty wygadujesz?
– A ja nic nie zrozumiałem! Słuchaj uważnie, Italo. Sądzimy, że zrobił to mąż, prawda?
– Tak. Udusił ją krawatem, a potem zainscenizował powieszenie na sznurze podczepionym do haka żyrandola.
– I tu jest pierwsza sprzeczność. Światło. Pamiętasz? Kiedy weszliśmy, zapaliłem światło i nastąpiło zwarcie. Jaki z tego wniosek?
– Nie wiem.
– Już to rozgryźliśmy, ale jesteśmy barany. To jasne, że rolety zabójca opuścił po fakcie. I wyszedł z pokoju. Ona się powiesiła na krawacie, sznur był potem. Pamiętasz, co mówił Alberto?
– Nie, byłem poza salą sekcijną, rzygałem.
– Jest siniak szeroki na dwa palce, wywołany przez to, co pozbawiło ofiarę życia, a więc krawat. A potem dookoła szyi węższy ślad sznura. Stwierdziliśmy, że mąż najpierw udusił żonę krawatem, a następnie podciągnął ją na sznurze przerzuconym przez hak żyrandola. Potem przywiązał sznur do nogi od szafy, opuścił rolety i wyszedł. Słuchasz uważnie?
– Tak to się rozegrało, nie?
– Nie! Bo zwarcie wywołaliśmy my, zapalając światło. A co to oznacza? Że kable elektryczne były odsłonięte i się stykały, dlatego po naciśnięciu przełącznika wysiadł prąd. Sznur był przewleczony przez hak żyrandola, więc nawet nie dotykał kabli. No więc jak te cholerne kable mogły się zetknąć? Zostały naruszone przy okazji pierwszego powieszenia.
– Pierwszego? – Italo aż rozdziawił usta.
– Tak, pierwszego. Kiedy Ester wzięła krawat męża, zaczepiła go pod sufitem, owinęła sobie wokół szyi i skoczyła.
– Gubię się. A sznur?
– Ktoś zadziałał już po jej śmierci. Wiesz jak? Zawiązał jej pętlę ze sznura na szyi, zaczepił o hak, odciął krawat i zostawił Ester dyndającą na tym sznurze.
– Czyli ktoś to wszystko urządził. Ale kto?
– Sojuszniczka. Przyjaciółka? Ktoś, kto o ósmej dziesiątej wyjechał ze szpitalnego parkingu.
– Ten ktoś pomógł Ester, kiedy już nie żyła, dobrze rozumiem?

– Świetnie. To mechanizm, który Ester wraz z przyjaciółką oliwiły od dawna. Zbrodnia doskonała, może zaczęły to jako intelektualną grę. Popęłnić samobójstwo i upozorować zabójstwo. Co nam zostawiły? Torebkę ze sklepu, z paragonem i kartką z życzeniami dla męża. Miało nam to wskazać, że ten prezent, czyli krawat, był narzędziem zbrodni. Istotnie, nie możemy znaleźć krawata, znajdujemy tylko samą metkę „Tomei” pod siodełkiem roweru Patrizia. Dziwny zbieg okoliczności. Ona nigdy nie dała mu tego prezentu. Był przeznaczony tylko dla nas, rozumiesz?

– Zaraz, Rocco, muszę to sobie poukładać w głowie. Zaczniemy od nowa. Ester i Patrizio mają kolejną kłótnię.

– Powiedzmy, że Patrizio znowu urządza awanturę i bije żonę. Wszystko dzieje się w kuchni. Dlatego był tam taki bajzel. Ester już nie wytrzymuje, postanawia, że nadszedł ten dzień. Wszystko od dawna miały z przyjaciółką przemyślane. Brakuje jej tylko okazji. Dzwoni do sojuszniczki. Niestety nie odnaleźliśmy karty SIM, był tylko roztrzaskany telefon. To musiała być obłędna rozmowa, wyobraź sobie. Ester mówi: „Nadeszła godzina, zrobię to dzisiaj, wiesz, jak dalej działać!”. I nagle intelektualna zabawa nabiera realnych kształtów.

– Ester popełnia samobójstwo, to znaczy wiesz się na krawacie...

– Dokładnie tak. Nadchodzi sojuszniczka, zakłada sznur, zabezpiecza go, przywiązując do szafy, odcina i zabiera krawat, a martwe ciało Ester wpada w pętlę, która się zaciska. Tamta opuszcza rolety, zamyka za sobą drzwi ciemnego pokoju i wychodzi.

– Opuszcza rolety, ale nie zapala światła?

– Nie zapala. Mówiłem ci. Zwarcie nastąpiło albo dlatego, że przy pierwszym powieszeniu krawat zahaczył o kable i one się odsłoniły, albo gmerała w nich potem ta druga osoba właśnie po to, żeby nam wskazać: zobaczcie, to było zabójstwo, nikt przecież nie wiesz się po ciemku. Rozumiesz?

– Bystra ta osoba.

– Nie, głupia. Bo myślała, że uwierzymy w to, że zabójca był tak nierozgarnięty. Ale to one były niezbyt rozgarnięte, skoro tak zakładały.

– No nie całkiem. Przecież posłałeś męża za kraty.

Rocco udął, że nie słyszy, ale Italo powiedział świętą prawdę.

– Zabójstwo upozorowane na samobójstwo przez powieszenie. Chciały, żebyśmy uznali to za zabójstwo upozorowane na samobójstwo przez powieszenie. Ale ktoś popełnił błąd. Przyjaciółka jest tak poruszona i wstrząśnięta, że gubi coś cennego. Widzisz – wyciągnął torebkę z kwitem – ślad jej obecności w domu. Potem wychodzi niezauważona. Światło zapalimy dopiero my po paru godzinach.

– No więc Ester z tą drugą zostawiły te ślady...

– Żeby wrobić męża. Żeby go ukarać. Pamiętasz baśń o Tomciu Paluchu?

– Tę o okruszkach?

– Tak. Właśnie to z nami zrobiły.
– Kto jest tą drugą?
– Ktoś, kto co rano jeździ do szpitala imienia Pariniego, żeby odwiedzić matkę ze złamaną kością udową. Ktoś, kto chciałby żyć z pisania książek.

– Kto to?
– Adalgisa Verratti. Jedyna przyjaciółka Ester. Jest tak pewna swojego planu, że nie powiedziała mi nic o koszmarniej relacji Ester z mężem. Pozwala, żebyśmy do wszystkiego doszli sami. Wie, że prędzej czy później go dopadniemy.

– Czyli Patrizio Baudo jest niewinny?
Rocco spojrzał na Pierrona.
– Formalnie niewinny. Nie zabił żony. W każdym razie nie szesnastego marca.

– Ale zabijał ją przez siedem lat, to chcesz powiedzieć?
– Tak.
– Co robimy?

Rocco wstał z krzesła. Podszedł do okna.
– Siedem lat to dużo.
– Siedem lat to tylko liczba, Italo.
– No... tak. Chociaż zależy. W każdym razie to dużo.

Wicekwestor szybko wrócił do biurka. Wyciągnął z torebki kwitek. Przyglądał mu się przez chwilę.

– Co chcesz zrobić, Rocco?
Rocco wziął zapalniczkę i spalił kwitek w popielniczce. Cienki papier zajął się natychmiast i już po sekundzie z dowodu rzeczowego zostały tylko czarne zwęglone resztki pośród niedopałków cameli i chesterfieldów.

– Jestem z tobą, brachu... – zadeklarował Italo, który lubił czasami wtrącać żargonowe słówka. – Sztama.

Rocco nic nie odpowiedział. Zamknął kartonowe pudło.
– Oddamy je Farinellemu, niech wrzuci do archiwum.
Italo wziął pudło i skierował się do drzwi.

– Italo?
– Co jest?
– Tylko ja i ty.
– Jak zawsze, Rocco, jak zawsze. – Wyszedł.

Rocco siadł za biurkiem, otworzył szufladę i popatrzył na gotowe skrety. Zamknął szufladę.

Chodził po centrum bez jasnego celu. Niemal przypadkiem znalazł się przed księgarnią Adalgisy. Widział ją niecałą godzinę wcześniej, ale może należało od razu zamknąć całą historię, tak żeby coś się niepotrzebnie za nimi nie wlokło. Wszedł, pokręcił się wśród regałów, w dziale z literaturą dziecięcą znalazł to,

czego szukał. Ruszył do kasy. Stał za nią brodaty mężczyzna.

– Nie ma Adalgisy?

– Nie przyszła dzisiaj. Dziesięć pięćdziesiąt.

Zapłacił i wyszedł z księgarni. Pokonał trzysta metrów, jakie dzieliły ją od domu Adalgisy. Na domofonie było wiele nazwisk, ale jej nazwiska brakowało. Nacisnął pierwszy z brzegu guzik.

– Kto tam? – odezwał się starszy głos.

– Poczta.

Brama się uchyliła. Sprawdził na skrzynkach pocztowych. Znalazł nazwisko Verratti. Mieszkanie numer sześć. Popatrzył na podest pierwszego piętra, zobaczył tam troje drzwi i szybko policzył. Wszedł na drugie piętro. Drzwi do szóstki były uchylone. Pchnął je lekko. W przedpokoju Adalgisa właśnie zmierzała do wyjścia. Prawą ręką ciągnęła walizkę, w lewej trzymała torbę. Na widok policjanta zbladła.

– Wyjeżdżasz?

Przełknęła ślinę. Rocco zamknął za sobą drzwi. Popatrzył na przedpokój. Biały, z wielkim regałem pełnym książek.

– Nie musisz. – Wyjął z kieszeni dziennik Ester i jej podał.

– Przeczytałeś?

– Wystarczająco dużo, żeby zrozumieć.

Schowała go do torby.

– Byłem w księgarni i patrz, co znalazłem. – Pokazał jej zbiór baśni.

– Postanowiłem wrócić do czytania. Zacznę od podstaw, od pięknej baśni, dobra metoda, prawda?

Adalgisa odstawiła walizkę, przełożyła ciężar ciała na prawą stopę.

– Masz jakąś ulubioną baśń?

– Nie... nie wiem.

– Ja mam, o Tomciu Paluchu. Jak odnajduje drogę dzięki okruszkom.

Czasami są okruszki, czasami kamienie. A czasami krawaty.

Adalgisa znów głośno przełknęła ślinę.

– Nie obawiaj się. Chciałem ci tylko powiedzieć, że znaleźliśmy drogę do domu. Także dzięki tobie.

– Co masz zamiar zrobić?

– Nie wiem. Przejdę się. I postaram się zrozumieć, czy to, co robię, ma sens.

– Ja nie...

– Wiesz co? – przerwał jej. – Kiedy rozmawiałem z tobą, ciągle miałem poczucie, że jestem pod mikroskopem. Byłaś świetna. To ja powinienem cię badać, ale byłaś lepsza. Wiesz dlaczego? Bo włożyłaś w to całe swoje serce. A ja tylko rutynę zawodową.

– Nieprawda. Daj sobie to powiedzieć: ty też masz serce.

– Ale jest coś, o co mam żal. Myślałaś, że jestem kretyńcem. I że dam się na

wszystko nabrać. – Zachichotał.

Chichot był zaraźliwy. Twarz Adalgisy się rozluźniła.

– Pierron ma rację. Jestem kretynem, bo przecież dałem się nabrać. A dałem się nabrać, moja droga, bo byłem ślepy. Pozwoliłem działać emocjom, a nie mózgowi. Frustracji, a nie chłodnemu spokojowi. Wiedziałaś, że tak będzie. Według mnie wiedziałaś, że widok ciała Ester wywoła we mnie wstrząs, który mnie oślepi. Znasz mnie lepiej niż tylko z lektury gazet. Niesamowicie, że tyle udało ci się odkryć podczas tamtej krótkiej pogawędki w barze. Jeśli tak dobrze piszesz, jak rozgryzasz ludzi, to masz przed sobą świetlaną przyszłość. Skąd wiedziałaś o moim słabym punkcie?

– Masz na myśli żonę?

Rocco skinął głową.

– Popytałam, także na komendzie. Mam kolegę policjanta.

– Ale to chyba nie Deruta?

– Nie, Scipioni.

– Trzymaj się. I zostań w Aoście. Nikt cię nie będzie niepokoił.

– Dziękuję. – W oczach Adalgisy pojawiły się łzy.

Rocco ruszył do wyjścia. Ale tuż przed drzwiami coś jeszcze wpadło mu do głowy. Odwrócił się.

– Dwie rzeczy. Wyrzuć klucze do mieszkania Ester. Są ci niepotrzebne. A jak zdejmujesz plomby z drzwi, to potem je znów przymocuj. Inaczej zostawiasz oczywiste ślady. Pamiętaj o tym w następnej powieści – powiedział i wyszedł z mieszkania.

Wykorzystany. Poruszany jak marionetka przez martwą kobietę i jej przyjaciółkę. Kobietę, która ze swego samobójstwa uczyniła nie tylko ostateczny akt kończący jej życie, ale i sposób na ukaranie tego, kto jej to życie zniszczył. Gra, która z obszaru fantazji przeszła do rzeczywistości – myślał Rocco.

Ileż razy z kolegami bawił się w taką grę: jesteś sam na wyspie zamieszkaney przez szczury i mewy. Nie masz broni. Jak przeżyjesz? Co zrobisz?

Wyobrażał sobie Adalgisę i Ester na spotkaniach klubu czytelniczego, jak ze szczegółami planują mistyfikację, której częścią jest samobójstwo. Może, by uczynić zabawę ciekawszą, bardziej realistyczną, projektowały zdarzenia w czterech ścianach domu Ester.

A potem wcieliły tę zabawę w życie.

Rocco nigdy nie widział aż takiej desperacji. Całkowitej, nieodwracalnej. To był plan tak absurdalny i zawiły, że mogła go wymyślić i zrealizować tylko kobieta. A kimże był on, żeby teraz to zniweczyć? Nikim, pionkiem, marionetką.

Przechodził właśnie obok sklepu Nory. Zatrzymał się parę metrów dalej, żeby popatrzeć. Zmieniono wystawę. Teraz widniała na niej surowa, elegancka suknia w stylu Grace Kelly. Od ścian kamienicy odbił się głośny śmiech.

Rozpoznał go. Nora. Szła po drugiej stronie ulicy, razem z Anną i architektem Bucci coś tam. Śmiali się, jedli lody. Rocco zdziwił się: lody na taki mróz? Postawił kołnierz. Dostrzegli go. Stanęli w miejscu jak wryci. Nora szeroko otworzyła oczy, Anna uśmiechała się na swój sposób, półgębkiem. Architekt mrugał gwałtownie, wyraźnie zmieszany. Rocco oparł się o mur. Obok przemknął chłopiec na rowerku z bocznymi kółkami, cały skupiony na jeździe. Nora odłączyła się od towarzystwa i ruszyła w stronę Rocca. Ale on odwrócił się i zniknął za rogiem, w myślach życząc jej wszystkiego, co było dobre na tym świecie. Zasługiwała na to.

Pomimo zimna usiadł przy stoliku w altance baru na placu przed łukiem Augusta. Bar był zamknięty. Rocco siedział w ciszy, słuchając wiatru i przejeżdżających z rzadka samochodów. Myślał o Rzymie, o swoim zakurzonym mieszkaniu z widmowymi meblami. Patrzył na chodnik mokry od deszczu, który dopiero co przestał padać. Góry dookoła były jeszcze w pełnej zimowej szacie. Chmury pędziły i co pewien czas odsłaniały ośnieżone szczyty. Jakiś przechodzień pospiesznie zmierzał w kierunku kościoła Sant'Anselmo.

– *Nie ma się z czego cieszyć – odzywa się Marina.*

– *Co ty tu robisz?*

– *Oglądam sobie zachód słońca.*

– *Ale go nie ma. Jest pełne zachmurzenie.*

– *Bądź ufny. To zimne miasto. Ale piękne.*

– *Tak, piękne.*

– *Nie jesteś sędzią.*

Nigdy nie była tak bezpośrednia.

– *Wiem, nie jestem.*

– *Nie możesz zawsze robić tak, jak ci się wydaje.*

– *To też wiem.*

– *I zostawisz tak to wszystko?*

– *Zostawię.*

– *Myślisz, że jest bez winy?*

– *Nie, Marina, nie myślę tak.*

– *Popatrz – mówi Marina. – Jest! Wygląda jak jutrzeńka, pierwszy promień światła. Światło nadziei. Widzisz, że prędzej czy później nadchodzi?*

Rzeczywiście, na samym środku nieba chmury się rozstały. Promień słońca zdołał przeniknąć przez ich grubą warstwę i pobiegł dokładnie pod łukiem Augusta, oświetlając plac i ulicę.

Rocco wstał i ruszył powoli po tej smudze jasnego światła. Poszedłby za nią, chociaż ten jeden raz nie myśląc, dokąd go zaprowadzi.

Do domu. Może.

Podziękowania

Przede wszystkim serdeczne podziękowania dla Piera i Luciana z księgarni Aubert w Aoście. Wasza uprzejmość i życzliwość jest wzruszająca.

Dziękuję także Paoli za wszystkie jej rady.

Nie mogę nie podziękować Mattii, który był tak przywiązany do Rocca Schiavone, oraz Mauriziowi, Florianie, Francesce, Marcelli i całemu wydawnictwu.

Podziękowania niech zechce przyjąć moja rodzina, która wytrwale stoi przy mnie: Toni – „mało co mnie wkurza, ale...”, Giovanna – „sprawdźcie, czy jeszcze was nie ma”, Francesco – „i znów mnie okiwał”, Laura – „zara, słuchawkę założę”, Marco – „co tam słyhać w polityce?”, Jacopo – „świadectwo z paskiem”, Giulia – „Idefiks” i na ostatku, ale tylko dlatego że jest najmłodszy, Giovanni – „w tym roku zdam na pewno”.

Dziękuję serdecznie Fabriziowi, który Rocca zna już lepiej ode mnie.

No i jeszcze Nanà, Smilla, Rebecca i Jack Sparrow, który rozgościł się w moim domu, niosąc ze sobą powiew miłości.

Dziękuję wam z całego serca.

W roku 2013, kiedy pisałem tę książkę, do dnia dwudziestego pierwszego listopada we Włoszech zabito sto dwadzieścia dwie kobiety. Dopóki ta liczba nie spadnie do zera, nie będziemy mogli uznać się za cywilizowany kraj.

A.M.

* Stéphane Mallarmé, *Wiatr morski*, przeł. Ryszard Matuszewski.

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: +4822 6286360

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: MAGRAF s.c., Bydgoszcz

